

Gabriela Zapolska

NOWELE

Tom I I

STAROWNA MYSZKA

"Teatr bez szminek"

Legendy, które o niej krążyły, były niezliczone. Wszystkie osnuwały ją jakby mistyczną siatką baśni z tysiąca i jednej nocy.

Mówiono o niej zwykle — „to ta Lisowska, która była w Egipcie...”

I ten, do którego mówiono, odpowiadał:

— A!... wiem.

Oczy biegły ku niej same i zatrzymywały się na jej sennej postaci.

Robiła wielkie, niezatarte wrażenie, szczególnie gdy

siedziała przy fortepianie i grała Chopina cicho — dotykając klawiszów tak, jakby głąskała struny przewróconej harfy.

Chopinowskie melodie owiewały ją tak jak baśnie, które o niej krążyły.

Były niby kołyszące, a przecież pełne jakiegoś smutku, to znów szarpiącej rozpacz. Lisowska grała — jakby we śnie, nie zmieniając wyrazu twarzy

— oczy błękitne, jak chabry trzymała utkwione przed siebie, jakby widziała daleko coś przed sobą — w niedościgłej dla drugich krainie.

Była nadzwyczaj piękną nawet teraz, gdy już była tylko tragicznym swym własnym cieniem. Profil jej miał delikatność rzeźbionej w muszli kamei.

Nic nie zdoła określić czystości linii jej czoła, nosa, a zwłaszcza czarującego zaokrąglenia podbródka. Rzec można, iż młodość jej została

zaklęta w tym wdzięcznym dołku, który leciuchno zaznaczał się w środku jej brody. Gdy uśmiechała się (rzecz niezmiernie rzadka) dwa dołki

tworzyły się w policzkach, równie wdzięczne i równie dziewczęce. Tylko

cera twarzy przerażała dziwną barwą, a całość skóry na pierwszy rzut oka zastanawiała niezwykłym stanem, w jakim się znajdowała. Pochodziło to z tego, że Lisowska długi czas była emaliowana. Pokrywano jej twarz, szyję i biust jakąś glazurą. Wykonywano tę ceramiczną czynność w Paryżu i gdy Lisowska na świeżo wyemaliowana zjawiała się w kraju, twarz jej lśniąca doskonałą i olśniewającą cerą zachwycała wszystkich. Ona chodziła z tą maską sztuczną nieżywej lalki — nieruchoma, nie uśmiechając się, nie zmieniając wyrazu i dopiero później, gdy nędza przyszła, a emalia opadła — wystąpiły na jaw rozkoszne dołki wspaniale zakonserwowane pod glazurą, jakby pastel pod szkłem. Lecz — z owej emaliowanej twarzy pozostało lisowskiej przyzwyczajenie ciągłej nieruchomości. I dlatego to Lisowska, grając teraz Chopina, miała ciągle wyraz sennej

zadumy, dziwnej, bez wyrazu — bez żadnej zmiany ani w rysach, ani w zmarszczeniu brwi.

Lecz najciekawsze były włosy Lisowskiej. Nikt już nie wiedział, jakiego były właściwie koloru. Gładko uczesane — zaznaczały prześliczny kształt głowy — lecz — było to połączenie wszystkich barw włosów, jakie tylko są pod słońcem. Od siwych jak mleko pasm zacząwszy były tam włosy o zielonawym odcieniu, przecięte rudą i jasnożółtą linią. Zebrane na karku w węzeł, zdawały się kłębkami różnokolorowych jedwabi.

Tylko nad czołem — ciemnokasztanowata rosła pręga, odcinająca się równo od białej, jakby tłuszczem śnieżnym napojonej skóry. Czasem, gdy Lisowska była w dobrym humorze, ukazywała grzebieniem ową pręgę. — Takie miałam włosy! — mówiła cichym, melodyjnym głosem.

Ta kobieta była nadzwyczaj piękna i nadzwyczaj inteligentna. Podobno kiedyś była pokojową u hr. P. Zamierzchłe to dzieje. Rozwinęła jednak swój umysł, nabrała pewnej wiedzy, a wrodzoną widocznie grację pod wpływem kultury przetworzyła w kwintesencję dystynkcji. Rozkoszą było patrzeć na jej senne, powolne gesta i ruchy, które zdawały się miękko ledwo zaznaczać, tak jak ledwo zaznaczał się jej głos, gdy mówiła.

I tu właśnie był cały wdzięk, który płynął z niej na zewnątrz. W jej pobliżu mimo woli uspokajały się nerwy — natomiast budziły uczucia. Z ciekawością istotną spoglądało się na tę milczącą kobietę, która teraz donaszała łaskawie ofiarowane jej stroje przez młodsze aktorki. Często udrapowana w szlafrok Watteau, biadolila, siedziała przy stole kładąc

kabałę. Nie występując nigdzie na scenie, zawsze starała się znaleźć gdzieś „kącik”, tam, gdzie się „dobrze działo”.

— Zajmę się wszystkim! — mówiła z czarującym uśmiechem — możecie być pewni, że we wszystkim was wyęcę.

I z melancholią pewną dodawała:

— O szarej godzinie zagram wam Chopina! Lub gdy nie było fortepianu:

— Opowiadać wam będę o Egipcie. Przyjmowano ją chętnie.

— Ależ naturalnie, pozostań z nami czas jakiś!

I Lisowska instalowała się najczęściej w jadalni „na sofie”. W przedpokoju ustawiała wspaniały, lecz mocno podróżami nadwreżony kufer, który zamykała nadzwyczaj szczelnie.

— Nie będę tu wiekować... tylko wam dom do ładu doprowadzę!

Lecz — nie zajmowała się niczym.

Całe dni siedziała spokojnie na sofie z książką w ręku i oczekiwała na godziny jedzenia. Czasem kładła kabałę. Najczęściej jednak drzemała, a wyraz jej twarzy w tej drzemce miał wyraz nader błogiego spokoju.

Przy stole jadła mało, jakby zaznaczając, że koszt jej utrzymania jest żaden. Gdy zbliżała się szara godzina podnosiła się z sofy i krokiem lekkim, eterycznym podchodziła do fortepianu.

Siadała na krześle i zaczynała grać, a raczej głąskać klawisze. Nigdy silniej nie szarpnęła nerwami słuchaczy. Kaskada ciepłej, miłej, przepojonej czarującą wonią — wody płynęła spod jej rąk. Ściemniało się zupełnie. Gdy wnoszono światło, Lisowska natychmiast urywała i wstawiała od fortepianu. Zasłaniała ręką oczy i wracała na swoją sofę. Tam siedziała chwilę, aż wreszcie wstawiała i proponowała wdzięcznym, cichym głosem:

— Jouons aux cartes, voulez vous?

Przystawano chętnie. Lisowska miała bowiem dar

ożywania najtrudniejszej partii. Widocznym bowiem było, że ta kobieta gra — dla wygrania. I tu stawała się tragiczną.

Zachowywała ciągle gesta pełne gracji — lecz pod skórą jej twarzy zdawały się przebijać dreszcze. Błede — prawie alabastrowo białe policzki pokrywały się purpurowymi plamami, a oczy błękitne ciemniały i

płoneły blaskiem. Od czasu do czasu z delikatnym uśmiechem rzucała jakiś bardzo inteligentny i wykwinny dowcip — a ręce, trzymające wachlarz kart, drżały. Gdy przegrywała, stawiała się prawie zieloną, gdy wygrała, nie umiała ukryć swej radości. Grano przecież o małe kwoty. Lecz nędza Lisowskiej była tak wielką, iż ta drobiazgową sumka stawiała się dla niej ważną kwestią. I wiedziano bardzo dobrze, że gdy wygra, a potem szansa się jej odwróci i zacznie przegrywać — wstanie od gry, mówiąc:

— Mes enfants — całuję stół i odchodzę. Grajcie beze mnie.

Protestowano dla formy, śmiejąc się głośno.

Ventadour odchodzi? co znowu. Jakże grać bez niej. Gra już nie miała interesu. Nie było kogo śledzić i zaśmiewać się, gdy przegrywała.

Lecz Ventadour — była niewzruszona.

— Ktoś rzucił jettaturę — mówiła — już nie siądę dziś do kart.

Rzucono karty.

— Ventadour! opowiedz nam co o Egipcie!

Leciuchna ironia przesuwiała się jak mgła po rysach Lisowskiej.

— Mówiłam tyle razy.

— Nic — nic — opowiedz o wicekrólu!

Lisowska patrzyła z pewną ironią niezrównaną na mówiących.

— O wicekrólu? — cóż chcecie?

— Bardzo się w tobie kochał?

— Spodziewam się. Byłam taka piękna. Chodziłam zawsze lila ubrana. Miałam meble, pościel, wszystko lila... Sypialnia moja obita była liliową ze srebrem materia. Nawet kajuta na statku była obciągnięta lila aksamitem.

— Jak to kajuta?

— No tak... Na tym statku, którym pływałam po Nilu za orszakiem wicekróla. Były tam okienka zakratowane. Dokoła, gdzie spojrzeć, woda. Przed nami płynął cały szereg statków i tonął w mgle. Ledwo dostrzec mogłam królewski statek. Często jednak ze statku na statek przebiegały sygnały i spadały jak gołębie pocztowe na mój statek. To wicekról dawał mi dowody swej pamięci.

— Kochałaś go?

Następowała chwilka milczenia.

Wreszcie z ciemnego kąta, skąd tylko mistycznie na tle wiśniowego aksamitu staroniemieckiej . sofy planowała biała twarz Lisowskiej, dolatywało w formie odpowiedzi:

— Question indiscre`te!

Lecz rozbawione grono nie dawało jej spokoju. — Miałaś dużo brylantów?

Z wielkim taktem i powściągliwie odpowiadała Lisowska:

— Dużo!

— Gdzie są? co z nimi zrobiłaś?

Znów milczenie, a potem z ciemności wyłaniała się biała ręka, która ślicznym gestem, przypominającym roz-

rzucenie kwiatów, biegła sekundę w powietrzu i nikła, jak mgliste zjawisko.

— A twój syn?

Z ciemności dobywało się leciuchne westchnienie.

— We Włoszech — brzmiała odpowiedź.

— Jak wygląda? podobny do ojca?

— Tak!

Podawano Herbatę — Lisowska natychmiast wstawała, aby zbliżyć się do stołu. Potem, gdy jadalnia opustoszała i domownicy wraz z gośćmi przenieśli się do sąsiedniego saloniku, słychać było przez chwilę chrzęst otwieranego cicho zamka w kufrze i jakiś szmer, podobny do przesypywanych orzechów lub rozgryzanych kawałków cukru. Wówczas szeptało ze śmiechem:

— Słuchajcie, Lisowska liczy swe brylanty... — Prawda... o! o!... jak grzechoczą...

— Starowna myszka.

Lecz ktoś odzywał się nagle serio:

— Dajcie spokój — nie żartujcie. Ona naprawdę miała wspaniałe brylanty, gdy przyjechała z Egiptu. W dniu swego występu w Warszawie w Pięknej Helenie wzbudziła należną sensację.

— Jaka!

— Miała sandały na nogach sznurowane tak, że sznury zaczepione były o guzy brylantowe niezwykłej piękności. Guzów tych było kilkanaście na każdym sandale. Na drugim przedstawieniu dyrekcja kazała jej brylanty z kostiumu pozdejmować. .

Grono całe poważniało — te guzy brylantowe przywiezione aż z nad Nilu nabierały ogromnej wagi i trochę imponowały tej drużynie, która ledwo na simili zdobyć się była w stanie.

I powstawała pewna wątpliwość.

— Co ona z nimi zrobiła?...

— Ho! ho!... dawno puściła...

— To niemożliwe. Ona taka taktowna, taka rozumna... ona musiała przecież coś schować na starość.

— Nie zdaje się.

— A zresztą, co ona tak zamyka w tym kufrze. Niedawno jeszcze kazała zamek przerobić. Kto wie? — może tam są owe brylanty.

— Tym lepiej dla niej...

I znów cisza — a tylko z jadalni dolatują owe tajemnicze szmery przesypywanych orzechów lub drogich kamieni... I nagle cichy, dyskretny zgrzyt zamka, a potem do saloniku wsuwa się Lisowska, owinięta szlafrokiem Watteau i pyta uprzejmie:

— Czy chcecie jeszcze trochę Chopina?

Nagle Lisowska zachorowała.

Dostała silnej gorączki.

Pewnego dnia rano znaleziono ją na wpół przytomną na owej staroniemieckiej sofie, z której zrywała się zawsze wczesnym rankiem, aby uprzątnąć jadalnię.

Przywołany doktor radził odesłać ją do szpitala. Zapowiadał się tyfus — w domu, w ciasnym mieszkanku, bez dozoru należytego trzymać niepodobna. Przed nadejściem lektyki należało spakować trochę bielizny. Otwarto więc jej kuferek, skąd wybrać należało, co potrzeba.

Pomimo chaosu, wywołanego chorobą, ciekawość obudziła się w umysłach obecnych.

Co tam jest w tym tajemniczym kufierku, który na wieku, na bolcach — wszędzie nosił całe masy kolejowych kartek z nazwiskami przeróżnych europejskich stacji.

Podniesiono wieko — i wszyscy cofnęli się zdumieni.

Oto — kuferek był prawie pusty. Kilka ubożuchnych sukienek, dwie czy trzy egipskie koszule długie, cieniuch-

ne tak, że można je było przez obrączkę przeciągnąć — oto była zawartość pierwszej przedziałki.

Gdy ją podniesiono — zgniławy, niewyraźny i mdły zapach uderzył powonienie.

Oto — na dnie kufra leżały pomieszane gnijące jabłka, pomarańcze, plasterki cytryny, kawałki świec, cukru, surowej marchwi, pudełka od sardynek, skórki chleba, buteleczka oliwy, odrobina jakiegoś likieru na dnie flaszki — słowem wszystko, co mogła porwać i ukryć bez uszczerbku Lisowska, zwłócząc te bezużyteczne drobiazgi do ukrycia, jakby mysz do nory.

Z pierwszej przegródki wypadła fotografia dorosłego chłopca o czarnej prawie twarzy — z olbrzymimi oczyma, w kostiumie palacza okrętowego. Na drugiej stronie widniała dedykacja:

„A ma tre`s che`re et tre`s lointaine maman”.

I tylko pomieszane ze świecami i kawałkami marchwi widniały na dnie kufra wspaniałe étuis safianowe, wybite liliowym atłasem. Wszystkie te étuis były opatrzone monogramami Lisowskiej i były... próżne.

I ten kufer, to była cała tragedia życia tej kobiety, cały dramat o wspaniałych, błyszczących tęczą brylantów chwilach. A potem jeden smutny jęk — i oto życie włókł ciężkie królewski syn w kazamatach piekielnego żaru okrętowego paleniska — a ona — bladoliliowy kwiat o złotych tycjanowskich włosach, porwana nagle zbyt późnym pragnieniem zabezpieczenia sobie starości — czekała na lektykę szpitalną, odziana w żółtą egipską cieniuchną szatę, przesiąkniętą wonią gnijących jarzyn, sera i świec, które się rozkładały na dnie angielskiego kufra, niszcząc safian i srebrne monogramy wspaniałych — pustych — étuis, wybitych liliowym atłasem.

TAKIE COŚ — W PELERYNIE

Rozbierski — Marceli się nazywa.

A podpisuje się Erem. Nosi się z malarska, w pelerynie zakopiańskiej — „wiecie“. — Niby moda przebrzmiała i tetmajerowska gwara „cosik“ zrzędła, ale „haj“, peleryna peleryną. Zawiesiste to i togowate. A potem, jak się leci, dodaje ważności. A potem, na wszystkie sezony. I w tym cały

grunt. Okryje dokumentnie nie jeden brak. Letnią marynarkę, zimowe spodnie, nieobecną kamizelkę. Bardzo zacny sprzęt.

Wiadomo — zakopiańska.

Rozbierski — Marceli.

Wcale nie Kaffeehauspflanz. Tamto coś od Nowaczyńskiego, coś, co dziewięć lat temu grasowało po Krakowie. Rozbierski Marceli pisze co dzień porządnie, regularnie notatkę dowcipną. Notatka musi być we-

soła — dziennik bowiem chadza na szczydłach, ale od czasu do czasu każe któremuś z współpracowników poklepać czytelnika „po kolanie“. I trzeba żeby się „uśmiano“. — Więc Rozbierski Marceli słynał, że jest hecowny i ma „witzę“ — że ma!... więc dawajcie go przed oblicze samego redaktora.

Rozmówka.

— Pan będziesz u nas pisał?

Rozbierski rad — cieszy się. Już czuje, jak zacznie pisać eseje. To bardzo łatwo, myśli. To jest teren jeszcze nie wydeptany. Bryknę parę razy, parsknę, splunę — niby bajeczne jakieś zrobię wrażenie i oto jestem! Wybiłem się czterema kopytami na stanowisko. Biorę miesięcznie sto blatów — nie... sto dwadzieścia... nie, sto pięćdziesiąt... mam bilet wolnej jazdy do Pontebby i nazad. A głównie piszę eseje. Wykopię jakiego Humphrya Warda, albo jakie poetyczne bydlę esejować będę. O!...

Tak myśli Rozbierski Marceli.

A redaktor naczelny tymczasem kwaśny, bo mu ducha wymiętosił jakiś niepoprawny grafoman, odkrywający właśnie Norwida, decyduje:

— Pan będzie pisał notatki. To będzie się nazywało Notatki. I będzie wesołe, lekkie, ale zarazem przyzwoite... Bo my, uważa pan, na każdym rodzinnym stole...

Przy tym nikogo nie zadrasnąć, cd do polityki, to proszę nic... i będzie pan od wiersza.

Rozbierski Marceli klnie w duchu, ale się uśmiecha obleśnie. Dla dwóch powodów. Ma biedak popsute zęby od dziecka kreozotem, a potem ma.

biedak popsutą duszę w lubej nędzy, w jakiej wywija koziółki, starając się gwałtem „wyjść na ludzi“...

— Dobrze.

— A więc na jutro proszę o notatkę...

Idzie Rozbierski Marcelli po ulicach „Lwowi“ i szuka rzeczy wesołych, przyzwoitych, nie politycznych, nie kłających — słowem ideału rzeczy na notatkę po trzy centy od całego wiersza.

— Psiakość... kropek mu nawstawiam, wykrzykników... choler... rozważuję michał i rozciągnę.

Rozwiewa wiatr peleryną. Nos posiniał, ręce zgrubiały. Porteczki cieniutkie, buty coś tego jakby atramentem zasmarowane. Węszy, węszy — notatkarz. Ano, coś wesołego! Ani węź! Wszystko pochmurne, złe, zirytowane, szkaradne. Od afiszy zacząwszy, skończywszy na psach brudnych i nieufnych. Jedna tylko właśnie ładna i nowa jedzie hyclowska buda i rosłe zdrowe ludzie idą przy niej, jak trzej anabaptyści z proroka, tylko że mają nowe postronki na plecach. Rozbierski Marcelli już zrezygnował z esejów, ale nie chce zaczynać pisać Notatek od cieszenia się, że magistrat dba o nowe ładne budy

w hyclowskim „statku“. Więc idzie i szuka. Żydzi szarpia go za pelerynę i proponują mu tuzin chustek lub ładną panienkę. On nie reaguje. Idzie i szuka rzeczy dowcipnych i wesołych.

Wreszcie się wprawił. Píše tak, ot z powietrza. Najczęściej w knajpie. Píše naprawdę rzeczy wesołe. Ludzie się bawią. Redaktor traktuje rzeczy te „per nogam“, zajęty właśnie najwyższą z najwyższych polityk. Powoli Rozbierski Marcelli dziwi się nawet, czy mógłby pisać coś innego. To nie jest do uwierzenia, ale on wysila swój cały spryt, mózg, talent na tych kilkanaście wierszy, które co wieczór kreśli w knajpie, a rano regularnie, porządnie przynosi do redakcji. Nikt by nie uwierzył, ile zjada człowieka ta notateczka rzucona jak bańka tęczowa, jak śmiech zawisły w powietrzu...

On cały dzień myśli i dręczy się tym, co napisze i jakaś ambicja w nim rośnie, aby ta plwocina była wielka i była „witzem“, który obiegnie całą Karola Ludwika i dalej, i dalej...

Śmiech pusty. Pomysł dziki a przecież ogólnoludzki, bo Szekspirowa wielkość ufundowana jest na tej ogólnoludzkości... Tak myśli Rozbierski

Marceli. Nie porasta w pierze — chadza zawsze w pelerynie, ma tylko teraz potworne, spuchnięte amerykańskie obuwie. Myśli nawet, alby się przerzucić w stronę amerykańsko-angielskiego humoru, ale lęka się, czy zostanie zrozumiany od kolumny Mickiewicza do pomnika Fredry. Odkłada więc to na później.

Oto idzie Wigilia.

Rozbierski Marceli usadził się na jakiś bajeczny koncept. Śmiechu będzie jak nigdy. I jaki śmiech! Nadśmiech. To słuszne. Święto oto wesołe, więc należy. Dla niego to nie 'bardzo. Bo śmiech pomyśleć, ale oto Rozbierski nie ma gdzie iść na wilię. Ano, tak. Rodzice? Matka żyje gdzieś na wsi u kogoś na przedmieściu. Sama na łasce. Rodziny ani poświeć. Więc gdzież takie w pelerynie na tę wilię zapuka?

Ano, do knajpy, na gulasz, czy co tam. Zresztą mniejsza, byle ten kawał... Już w nim taka pycha pisarska się rozwieliżmożniła.

Ale oto pan redaktor oddaje mu świstek przesiąkły kawiarnianą wonią.

— Nie... nie... to na później. A dzisiaj to, widzi pan, ludzie lubią coś rzewnego, coś, żeby to i łezką nawet, panie tego... Proszę więc coś smutnego, żeby i wzruszyło, i usposobiło dobrze do stołu wigilijnego.

Niech no pan to raz dwa... bo już czas...

Rozbierski Marceli siedzi w pokoju redakcyjnym zakutany w swoją pelerynę i czarna rozpacz chwyta go za serce.

— Łezka, psiakość?... po co im dziś łezka? na co dzień śmiech sobie obstalują, a na święta łezka...

Rozwichrzył trochę włosów. Nastroił tony swej duszy. — Poszukał tych — płaczących.

Ach — były rdzą pokryte. I tonu wydać nie chciały.

W NIEDZIELE

Szkic

— Idziesz na mszę świętą? — Ani myślę!

— Karolko!... Karolko!... upamiętaj się!... toć już trzecią niedzielę nogą nie postąłeś w kościele. Karolka szarpnęła się niecierpliwie.

— Wstąpię jutro, idąc do szkoły...

Stara pani Ciemieniwska pokiwała głową.

— Co poniedziałek, to nie niedziela!... dzień Boży... — wyrzekła, zaplatając pięć włosów w cieniuchne warkoczyki mocno ściśnięte na skroniach. — „Wpadnięcie” do kościoła nie wyrówna wysłuchanej całej mszy świętej lub sumy z kazaniem i suplikacjami. Ale!... czego to gadać i gębę sobie psuć nadaremno, ja swoje, a ty zrobisz swoje...

Pośliniła palce u prawej ręki i przylepiła do skroni odstający kosmyczek siwych włosów.

— Jak zresztą zawsze!... — dodała po chwili cichym głosem.

Siedząca koło okna Karolina nie podnosiła głowy i cała zajęta przystrajaniem starego, słomianego kapelusza ograniczyła się tylko na wyrzuceniu przez zęby:

— Jeżeli mama wie, że to, co mówi, to na wiatr, czegóż mama sobie gardło psuje?

— Z obowiązku — odparła stara. — Pan Bóg, dając mi dziecko, włożył na mnie święty obowiązek, aby go przez nauk w świat nie puszczać. Gdybyś ty, Karola,

chciała przeciek zrozumieć, że niedziela to dzień Boży i na chwałę boską stworzony...

Karolina miała teraz kawałki pąsowej materii, usiłując zrobić z niej rodzaj okrągłego pompona.

— Moja mamó — zawołała niecierpliwie — ja się dosyć naharuję cały tydzień w tej przeklętej freblówce z bachorami, ażebym nie miała wytchnąć w niedzielę!

— Wytchniesz w kościele!...

— Pięknie wytchnę! a toć tam zaduch taki, że ile razy pójdę, to wracam ze spuchniętym nosem... Ot! lepiej niech mama mi miejsca przy lustrze ustąpi, ażebym ten kapelusz porządnie przefasonować mogła.

Szybko Karola powstała z miejsca i strzępy jedwabiu, piór i sztucznych kwiatów, strząśnięte z sukni, zawirowały chwilę w przestrzeni i opadły na podłogę tuż pod stopy dziewczyny.

Ciemienieńska załamała ręce.

— Karola!... patrz, jakieś ty naśmiecila! a toć przed chwilą zamiotłam izbę!

Karola nogą obutą w stary kalosz kopnęła kawałek rozfryzowanego pióra i szybko zbliżyła się do lustra.

— Niech no mama puści! — wyrzekła, kładąc kapelusz na głowę.

Gdy stała tak tuż koło okna, jasne światło czerwonego poranku biło na nią łuną złotą i wydobywało wszelką smutną szpetotę tej biednej dziewczęcej twarzy.

Dokoła dużej, upartej i ściętej z tyłu głowy sterczały ciemne, szorstkie włosy, rzadkie i potargane. Twarz śniada, płaska, z nosem zadartym, z małymi oczkami o żółtawych źrenicach, ustach wydętych i sinych, poplamiona była plackami pudru, który uczepiony na brwiach i rzęsach opadał aż na przód flanelowego, brudnego kaftanika cienką warstwą białego pyłu. Piersi zapadnięte i chude,

ściśnięte już od rana szarym i pokrzywionym gorsetem, ciemniały wąskim paskiem lśniącej żółtawej skóry ponad wątpliwą bielą przyramki koszuli. Długa spódnica z popielatej glasy, widocznie służąca dawniej za podszewkę, rozdarta ponad kolanem, z kieszenią wypchaną mnóstwem gałganków, okrywała nędzne uda i spadała na olbrzymie płaskie nogi, na których lśniły się kalosze, obłożone wyszarpanym barankiem.

Dziewczyna była jeszcze młoda, lecz już ku skroniom skóra opuszczała się ku dołowi, a koło kącików ust rysowały się dwie długie szramy.

W ogóle cała postać, źle odżywiana, spaczona, w brzydką pogięta linię, miała zgryźliwy wygląd, właściwy odosobnionym na łąkach kwiatom.

Karola podniosła w górę ręce, długie, kościste, na których żyły przecinały się misternymi, błękitnymi węzłami, i na rozczochraną głowę włożyła wielki jasny kapelusz podniesiony z jednego boku masą zmiętego czerwonego jedwabiu. Okolona żółtym rondem kapelusza twarz jej wydawała się twarzą Mulatki i tylko małe oczy europejskie migotały pod upudrowanymi rzęsami, jak oczy kota patrzącego w słońce.

Ciemniewska tymczasem wzięła szczotkę i zamiatać zaczęła.

— Naśmieciałś, naśmieciałś... i tylko mnie do kościoła opóźniasz — mówiła, schylając się ponad masą świecących gałganków.

Lecz już Karola, jak pantera, jednym skokiem do ziemi przypadła i rozsrożona w obronie swych skarbów stanęła.

— Niech mama tego nie rucha! — krzyknęła — cóż to, nie widzi mama, że to kwiaty? że to pióra? Najlepiej niech mama idzie do kościoła, a mnie w spokoju zostawi!...

Ciemniewskiej wypadła z ręki szczotka. Mała ta

i cherlawa kobiecina bała się nie na żarty swej wyrosłej córki. Wzrost Karoli jej imponował. Oprócz wzrostu, edukacja, sposób używania pudru i mycia paznokci szczoteczką oraz zarabianie dwudziestu guldenów miesięcznie w freblowskiej szkole niemało się przyczyniały do wzbudzenia szacunku dla córki w duszy Ciemieniewskiej. Jakkolwiek od czasu do czasu ośmielała się gderać, jak ot dzisiaj o pójście na mszę świętą, Karola jednym podniesieniem głosu zaprowadzała ład i porządek w domu.

Zabrawszy szczotkę, Ciemieniewska wysunęła się do kuchenki. Chwilę słyhać było delikatny plusk wody, coś jakby kąpanie się wróbla, potem kilka westchnień, zaszeleszczenie wykrochmalonej spódnicy, aż wreszcie nastąpiła cisza przerywana zaledwie szmerem wiązanych wstążek od kapelusza.

Tymczasem Karola jednym kopnięciem zrzuciwszy z nogi kalosze, które ją piekły, zdjęła ze ściany lusterko i usiłowała przejrzeć się w nim, wykręcając głowę tyłem. Zdenerwowana, z ustami nabrzmiętymi przeginała się, zamiatając ziemię fałdami spódnicy. Jedna pończocha opadła jej prawie na pięty i odkryła długą, chudą nogę, okrytą szorstkim, sterczącym włosiem.

Na jednym z łóżek, wysoko pościelą zasłanych, siedząca biała w czarne łaty kotka przypatrywała się temu niezwykłemu zjawisku zmrużonymi ślepiami.

Żółte skrzydła kapelusza powiewały jak olbrzymi latawiec trzymany na uwięzi. Karola zdawała się z daleka wykonywać jakiś mistyczny taniec, a chude jej ciało gięło się w dziwaczne linie pod cienką tkaniną spódnicy. Słońce snopami promieni zalewało teraz cały pokoik biedny i smutno czysty, w którym komoda, zastawiona filiżankami i porcelanowymi figurkami, błyszczała w tym złocie słonecznym jak wielki ołtarz przystrojony na uroczystość niedzielną.

Przed ceratową kanapką mały stolik okryty szydełko-

wą serwetką dźwigał lampę, której podstawa tonęła w włóczkowej patarafce.

Na lampie kanarek z żółtej włóczki miał jedno oko z czerwonej paciorki wywleczone i zwieszające się na nitce. Koło lampy leżał cały stos kajetów w różnokolorowych okładkach.

Były to ćwiczenia, które Karola przyniosła wczoraj ze szkoły do przygotowania na jutro. Ze stosu wyglądały tu i ówdzie błękitne i różowe wstążeczki. Wierzchni zeszyt cały splamiony atramentem nosił na sobie ślady małych, dziecinnych paluszków.

Nagle Ciemieniowska wyszła z kuchni i postąpiła ku córce. Była wymyta i wyszorowana cała, pobladła, z czerwonymi silnie uszami. Na głowie miała czarny kapelusz z bratkiem, na plecach jedwabną pelerynkę, na rękach bawełniane rękawiczki. W garści trzymała książkę do nabożeństwa, różaniec, chustkę do nosa i trzy centy.

Stanąwszy przed córką, spojrzała na ów żółty kapelusz, chciała coś przemówić, zawahała się, aż wreszcie wyrzekła:

— Już idę!

— Chwała Bogu! — odparła córka — niechże mama znów nie zaśnie tak, jak na Boże Narodzenie...

Ciemieniowska oblała się pąsem.

— Nie spałam!... — odparła z energią — medytowałam, a ty wiecznie mi to wytykasz!...

Lecz Karola naprawdę niecierpliwie się zaczęła. — Niechże mama już raz idzie!... proszę mamy!...

— Już idę, idę!...

Podreptała ku drzwiom, powłócząc nogami obutymi w prunelowe trzewiki sznurowane z przodu. Gdy już wzięła za klamkę, nagle zwróciła się ku niej Karola:

— Niech no mama mi kupi na rynku wstążki, ot takiej czerwonej, ze dwa łokcie, na dwa palce szerokości...

— Gdzież kupię, wszak to niedziela!...

— Niech mama nie udaje, moja mamó!... przecież mama wie, że do wszystkich sklepów wejść można tylnymi drzwiami... oto próbka!... a niech mama nie zgubi.

Ciemieniowska wzdychając wyszła, cicho zamknąwszy drzwi za sobą. W pokoiku pełnym słońca pozostała sama Karola i rozpoczęła znów swój dziwaczny taniec przed lustrem, rozwiewając skrzydła kapelusza.

Jęk dzwonów dolatywał czysty i donośny.

Kotka, zeskoczywszy z łóżka na ziemię, w strudze słonecznej tarzać się zaczęła.

Nie pierwszy to ranek niedzielny przestała tak Karola przed skrawkiem lusterka, z ustami pełnymi szpilek i z palcami pokłutymi od druta kapelusza.

W tym ciele zaledwie Obciągniętym ciemną i świecąca skórą fermentowała się i burzyła cała chęć użycia tego szczęścia, które ciasny i burżuazyjny umysł, nie rozszerzony myślą o istnieniu jaśniejszego widnokregu, zamykał w pojęciu utartych wrażeń rozrywek urządzanych ręką ludzką, rozrywek głupich, biednych, śmiesznych i bezcelowych. Cały tydzień Karola trawiła w towarzystwie kilkudziesięciu dzieciaków hałaśliwych i źle wychowanych, prowadząc tę „szkołę” do ogrodu, wydzielając im patyki mające przedstawiać płoty, wykluwając ogoniaste ptaki dla wyszywania włóczką, rozdając tęczę piłek lub kwadraty do budowania lilipucich gmachów.

W sercu jednak miała wieczną gorycz nieszczęśliwego skazańca, któremu kazano spełniać jakąś hańbiącą go posługę. Do czego innego jednak nie była zdolną i w płaskiej swej głowie nie odnajdywała nic, czym by więcej ponad ową freblówkę być mogła. Niemniej przeto czuła się pokrzywdzona ten tydzień cały, długi i nieskończony; czekała owej niedzieli jak wyzwolenia i co sobotę spotykała z biciem serca nadejście wieczoru. Miała jakiś

przesąd, że los jej zmieni się, że owa niedziela przyniesie jej wreszcie wyczekiwaną swobodę — męża — dostatek. Wedle zwyczaju myśl o zamążpójściu była głównym marzeniem jej życia. Urzędnik, kto wie — może doktor!... Kąt własny, cztery pokoje, sługa, kapelusz z magazynu, przyjmowanie gości... To wszystko miała przynieść niedziela... Kiedy? gdzie? nie wiedziała o tym Karola, ale logicznie rzeczy biorąc, jedynie w niedzielę mogła spotkać „kogoś” i ten ktoś mógł zająwszy się nią — ożenić. Dlatego też całe życie Karoli koncentrowało się teraz w owej niedzieli. Od poniedziałku zaczynała liczyć dni, czasem godziny. Od pewnego czasu zwłaszcza wyczekiwała niedzieli z podwójną niecierpliwością. Będąc na wizycie u pani Miedźgiewiczowej, sąsiadki z pierwszego piętra, poznała jej siostrzeńca, młodego doktora, pana Erazma, i od tej chwili zdenerwowanie jej i niepokój wzrastał z dniem każdym. Pan Erazm nie był piękny: mały, szczupły, nosił okulary, lecz Karola postanowiła nie być wybredną i często teraz myślała o panu Erazmie.

Podczas podwieczorku siedzieli przy sobie i rozmawiali o ostatniej powieści Sienkiewicza i o koncercie bandy wojskowej, która pierwszego maja przebiegała ulicę Lwowa, grając walce i mazury.

Panna Karola powróciła do domu rozmarzona i z głową płonąca. Matka traktowała ją rumiankiem lub melissą, lecz Karola za całą odpowiedź otworzyła lufcik i zaczęła na ulicę wyglądać. Było trochę gwiazd, a zwłaszcza jedna świeciła dość silnie i jasno. Karola w duszy obrała tę gwiazdę za swoją i nazwała ją Erazminą. Od tej chwili co wieczór szukała jej na niebie, a pani Ciemieniewska wzruszała ramionami i szeptała pacierze.

Od kilku tygodni wszakże Karola nie widziała pana Erazma. Na próżno zachodziła do pani Miedźgiewiczowej i zaprzyjaźniła się [z] pannami Lesią i Pesią. Pan Erazm nie zjawił się więcej, ale za to panny mówiły o nim często i długo — od czasu do czasu rozmowy te przerywane były chichotem nie tyle rozkosznym, ile bezprzyczynowym. Lesia i Piesia miały wiele respektu dla swego kuzyna, a sama pani Miedźgiewicz, mówiąc o nim, podnosiła palec do góry i dodawała:

— O!... będą z niego ludzie!...

Karola powracała do domu i za całą pociechę wsuwała głowę w lufcik. Erazmina świeciła wiernie i stale, jasna i wspaniała jak brylant zawieszony na dnie szafiru.

Brzydka dziewczyna słała ku pięknej gwiazdzie błagalne spojrzenie. Ścigała wzrokiem... odległy sen!... migotliwy i drżący.

— Niechże się mama śpieszy, ręczę, że już tam są wszyscy na Strzelnicy!

— A przecież tylko trzecia!... dajże mi się trochę zdrzemnąć.

— Właśnie o trzeciej się zaczyna...

— Go zaczyna?

— Festyn!... Niechże mama się ubiera!

Karola znów stoi przed lustrem, ale już ubrana. Na nogach ma duże pantofle z jasnożółtej skóry. Na sobie — suknię szarawożółtą, bardzo opiętą i dość powłóczystą. Gors silnie wywatowany, obciągnięty białą atlasową kamizelką, na szyi czerwona wstążka, na głowie ów sławny żółty kapelusz. Wciąga właśnie rękawiczki świeżo wyprane w benzynie i wytarte gumą. — Włosy pokręcone

i spalane żelazkiem spadają na czoło w licznych skrętkach. Usta lekko pociągnięte purpurową pomadką, oczy podkreślone okopconą szpilką. Ciemienievska zwłóczy się z ceratowej kanapki, na której odbywała poobiednią drzemkę.

— Czy to koniecznie pędzić na tę Strzelnicę? — pyta nieśmiało, szukając pod łóżkiem swych prunelowych bucików — znudzisz się znowu, zmęczysz, jak przeszłej niedzieli!...

Lecz Karola odwraca się szybko.

— Ja nie zabraniam mamie chodzić do kościoła, skoro się to mamie podoba, niechże mi mama tej jedynej rozrywki nie odbiera w niedzielę. Ciemienievska już nakłada sznurówkę.

— Tylko się nie gniewaj! — szepcze, dzwoniąc całą masą medalików zawieszonych na tasiemce — widzisz przecie, że się ubieram i w mig będę gotowa.

Karola zbliżyła się do okna i stanęła przy nim, patrząc na szarą masę dachów, po której snuły się jakby białawe smugi. Za nic w świecie nie chciała dziś opuścić festynu w Strzelnicy. Wczoraj wpadła do Miedźgiewiczów i dowiedziała się od Lesi, że wszyscy wybierają się na Strzelnicę. Lesia podkreśliła ów wyraz wszyscy. Karola teraz przekonana była, że Lesia odgadła jej tajemnicę i pod owym słowem wszyscy rozumiała i pana Erazma. Od rana więc coś w jej sercu budziło się co chwila. Nawet przybrała pewien ton chmurnej powagi. Patrzyła na matkę z dziwnym rozdrażnieniem. Ciemienievska bowiem nie odgadywała nic, co się w sercu jej córki działo. Karola postanowiła po zamążpójściu rozłączyć się z matką... jej trywialność i nawyczki starości raziły ją. Zresztą pan Erazm nie będzie sobie życzył zapewne, aby teściowa przy nich mieszkała...

I z pewnym niesmakiem śledzi Karola teraz spod swej nastroszonej grzywy chudą i małą postać Ciemienievskiej, kręcącą się po pokoju. Stara kobieta usiłuje właśnie wpakować ciasne rękawy stanika na rękawy

barchanowego kaftanika, z którym, pomimo upału rozstać się nie ma odwagi...

Wreszcie jest gotowa.

Zawiązała pod brodę brydy nieśmiertelnego kapelusza i wciągnęła rękawiczki.

Patrzy teraz na córkę nieśmiało, wie bowiem, że ile razy wychodzą razem w niedzielę, Karola w swych przygryzionych wargach ma jakiś wyrzut, niechęć, rodzaj wstrętu za tę mizerną postać w czarnej pelerynce, którą ze sobą wlecze.

Ciemieniowska swym pokornym spojrzeniem zdaje się prosić o przebaczenie za to cherlactwo własnego ciała i prostuje się, jak może, w fałdach swej tybetowej sukienki.

— Chodźmy! — rzuca Karola.

Na ulicy idą obie w milczeniu zupełnym, gdyż Karola układa wargi wymawiając słowo: pomme i za nic owego układu psuć nie chce.

Wchodzą na szkarpy pod cień drzew, co jest wielką ulgą dla samej Ciemieniowskiej. Ma ona bowiem w ręku parasolkę, ale otworzyć jej nie śmie ze względu na popękana mantynę, którą jest pokryta.

Na szkarpach całe sznury ludzi dążą w stronę Strzelnicy. Mrówki różnokolorowe ciągnące do wielkiego gniazda, z którego płyną tony muzyki.

Przy wejściu do Strzelnicy powiewają flagi czerwone i błękitne, całe masy uliczników ugrupowały się opodal. Na widok kapelusza Karoli jeden z pauprów wykrzykuje:

— Srocze jajko w sowim gnieździe!

Chór wybucha śmiechem.

Karola prostuje się udając, że nie słyszy skierowanej do siebie apostrofy. Od chwili, w której wyszła z domu, idzie jakby po fali eteru. Coś ją pcha, niesie naprzód; — W duszy mówi sobie, że to przeznaczenie. Idzie po swój los! Chyba jeszcze nigdy tak wyraźnie swego przeczucia w duszy nie czuła.

Wchodzą do ogrodu.

Dużo ludzi kręci się na placu.

Na tle żółtego piasku figurki ludzkie odcinają się z przedziwną dokładnością. Na lewo, na prawo bielą się namioty. W nich aktorki sprzedają bilety na tombole. Kilku mężczyzn ubranych jasno rozmawia z mimi, siedząc na wyplatanych krzesłach. W chwili gdy Karola wraz z matką przechodzi koło namiotów, rozmowy nagle milkną. Karola instynktem kobiecym zgaduje, że wszyscy na nią patrzą. Przy pierwszym

namiecie czuje się dumną uczynionym wrażeniem, lecz już przy trzecim stoliku daje się słyszeć przyciszony chichot, który uderza w serce Karoli jak grom niespodziewany. Otrząsa się z tego wrażenia i idzie dalej, wlokąc za sobą matkę, lecz już mniej pewna siebie i unikając starannie zbliżenia się do namiotów.

Błądzą tak długo obie, nie mówiąc nic do siebie, patrząc na tłum, wlokący się bez celu pomiędzy nędznymi pniami kasztanów o spalonych rudych liściach. Od czasu do czasu muzyka gra walca lub polkę i słychać strzały poza szczelnie zamkniętym ogrodzeniem. Wreszcie znużone padają na ławkę, którą zdobyły cudem, podstępem i cierpliwością. Karola wyciąga nogi i układa fałdy sukni. Ciemieniowska prostuje się i podciąga pelerynkę. Chwilę siedzą obie prosto z pewną fantazją i energią.

Właśnie muzyka gra galopadę i Karola uśmiecha się sama do siebie.

— Ładna galopka! — mówi Ciemieniowska.

Lecz Karola jej nie odpowiada. Gorączkowo śledzi teraz przechodzące osoby. Wzrokiem szuka, rodziny Miedźgiewiczów.

Lecz całe fale nieznanych osób przesuwają się przed oczyma dziewczyny, a nie widać nigdzie ani Lesi, ani Piesi, ani pana Erazma. Natomiast ten i ów ogląda się i patrzy z rodzajem podziwienia na kapelusz Karoli.

W innym wypadku Karola chwyciłaby gorączkowo owe spojrzenia, nie badając źródeł skąd one pochodzą, lecz dziś, cała przejęta chęcią dojrzenia Erazma, nie zwraca na nie nawet uwagi.

Tłumy coraz wzrastają i teraz już zwartą masą nie płyną, ale posuwają się powoli, drepcząc długo na miejscu. Ściemnia się, tu i ówdzie zapalają lampiony, błyskające wśród liści jak różnobarwne świętojańskie robaczki.

Muzyka gra nieśmiertelnego Gawota Stefanii. Twarz Karoli w tych błękitnawych wieczornych smugach nabiera stalowoszarej barwy.

Kąciki ust zwieszają się coraz niżej. Chwilami jeszcze szepce pomme i zaciska wargi, z których pomadka karminowa zniknęła zupełnie.

Wreszcie odzywa się półgłosem:

— Czy mama ich nie widzi?

Ciemieniowska, która przygasłymi oczyma, myśląc o czym innym, śledziła płynące tłumy, podskakuje nagle na ławce.

— Kogo, duszko? — pyta zdziwiona.

— Czego mama tak krzyczy? tu nie dom!... ludzie się na mamę oglądają. Pytam, czy mama nie widzi pani Miedźgiewiczowej ?

— Nie, duszko!... a czy miała być na Strzelnicy?

Lecz Karola nie odpowiada. Z biciem serca wyciąga szyję. Tak! tak! nie myli się. Oto kapelusz Lesi i Piesi, oto fioletowy kolet samej pani Miedźgiewiczowej. Jacyś panowie idą z nimi, panny śmieją się głośno. Lesia trzyma w ustach zwiędłą różę, gdyż widziała aktorkę grającą Carmen, trzymającą kwiat pomiędzy zębami. Wydawało się jej to „szykowne” i od tej chwili spaceruje trzymając kwiat w ustach. Jest to wyzywające, ale... tym lepiej!

Karola powstaje z ławki w chwili, gdy te panie przechodzą мимо. Witają się dość serdecznie, widoczne jest jednak, że Lesia i Piesia są zdziwione silnie formą kapelusza. Pani Miedźgiewicz tymczasem zamienia kilka słów z mamą Ciemieniowską.

Erazma ani śladu.

Karola uśmiecha się i rozmawia z pannami, ma jeszcze nadzieję, że Erazm chwilowo odłączył się od towarzystwa i zjawi się z jednej z bocznych ulic, lecz Piesia rozwiewa jej złudzenia.

— O mały włos — mówi — nie przyszłyśmy dziś na Strzelnicę.

Musiałymy odprowadzać na kolej Erazma, który dziś wyjechał do Jass.

Karali tchu w piersiach nie staje, ma jednak odwagę zapytać:

— A!... pan Erazm wyjechał? — Tak, do Jass.

— I... prędko powróci?

Obie panny parsknęły śmiechem.

— Powróci, po co?

Lecz już mama Miedźgiewiczowa głos zabiera:

— Erazm pojechał objąć nową posadę... wybornie się złożyło. Doskonała pozycja. Został miejskim lekarzem. Nie

tylko, że nie wróci, ale ręczę, że się tam z jaką Mołdawianką ożeni...

Mówiłam zawsze, że będą z niego ludzie.

Mama Ciemieniowska kiwa głową.

— Tak!... tak!... wyglądał na porządnego człowieka.

Panienki się niecierpliwiają, rade by pójść dalej. — Do widzenia, Karolu!
— Do widzenia!

Widoczną jest rzeczą, że nie mają ochoty, aby Karola przyłączyła się do ich towarzystwa.

Odchodzą i Karola śledzi ich małe marynarskie kapelusze przystrojone białymi skrzydłami, które zdają się płynąć w powietrzu.

Pozostają teraz znów same wśród tłumu, Karola i Ciemieniowska, skurczone na ławce, milczące, popychane przez spacerujących, którzy im deptają ciągle po nogach.

Chwilę siedzą tak pograżone w ciemności i osamotnieniu. Nagle Karola się zrywa i rzuca ochrypłym głosem:

— Wracajmy!

Ciemieniowska podciąga mantylkę i drepcze obok córki rada, że wreszcie powraca do domu.

Ciemieniowska posłała łożka i nastawiła samowar. Na stoliku przykrytym ceratą położyła w drucianym koszyczku kilka bułek, na talerzyku serdelki. Krząta się cicho, jak cień, w starych pantoflach, rozebrana już i prawie do snu gotowa.

Chwilami staje i patrzy z niepokojem na Karolę. Od wyjścia z ogrodu nie zamieniły ze sobą ani jednego słowa. Gdy Karola weszła do pokoju, zerwała z głowy kapelusz i rzuciła go na ziemię, rozpięła gwałtownie stanik i zbliżyła się do okna. Otworzyła lufcik i położyła na listwie okna głowę. Stoi tak, nie mówiąc ani słowa, a Ciemieniowska niepokój miota. Co jej się stało tak nagle? czy ubodło ją to, że panny Miedźgiewicz nie zaprosiły ją do swego towarzystwa? Gdyby Karola się zastanowiła, to by

zrozumiała, że ona a panny Miedźgiewicz to zupełnie różna sfera.

Ciemieniowska bowiem była akuszerką, a pan Miedźgiewicz jest radcą w Namiestnictwie. Chciałaby to wszystko powiedzieć córce, zapytać, pocieszyć, uspokoić, ale się nie śmie zbliżyć. Patrzy tylko na okrągłe plecy Karoli, sterczące pod lekką tkaniną sukni, na jej głowę tonącą w cieniu. Ponad tą głową w kwadracie lufcika, na ciemni szafiru widzi jasno płonąca gwiazdę, która przykuwa jej uwagę.

Mój Boże!... te gwiazdy!... ludzie mówią, że to światy. Co ludzie wiedzą, to po prostu ludzkie dusze naokoło boskiego tronu rozsypane.

O ramę okna oparta Karola myśli i zagłębia się coraz więcej w rodzaj czarnej przepaści, otwartej przed swymi stopami. Czuje się nagle nędzną, biedną, brzydką, śmieszna i opuszczoną. Widzi przed sobą wyraźnie swą przyszłość, przyszłość starej, brzydkiej panny, wycierającej cudze kąty i latającej rozpadające się na strzępy spódnice. Me myśli głównie o odjeździe Erazma, gdyż ten jeden cios dołącza do całego szeregu goryczy, z których się jej nędzne życie składa, lecz jest w tej chwili tak zrozpaczona, tak biedna, tak mała, iż kurczy się i drży jak małe szczenię w mróz na rozstaje rzucone.

Nagle uczuwa delikatne ciepło.

To Ciemieniowska ostrożnie i cicho zarzuciła jej na plecy włóczkową chustkę.

Karola odwraca się i w świetle niewielkiej lampki ukazuje matce swą twarz szarą, pomarszczoną, brzydką, twarz cierpiącej kobiety.

Chwilę patrzą na siebie te dwie istoty stanowiące

jedną całość rozerwaną na dwa strzępy, aż wreszcie córka wyciąga swe chude ręce i woła ze łzami w głosie:

— O! mamó!... mamó!...

Ciemieniowska nie pyta, nie bada, lecz cudownym instynktem wiedzona otwiera ramiona i zamyka je poza głową córki, odgraniczając ją na chwilę od smutku i nędzy życiowej.

NA PIERWSZY BAL

Boże! — więc jadę na pierwszy bal...

Nie wiem, czy zdążą z tą suknią. Ma być biała, gazowa. Miałam ochotę, ażeiby wystąpić w kolorze vest nil, ale mama mówi, że — jak świat światem — panienka, idąca na pierwszy bal, musi być białą ubrana. Będę więc biała — cała splisowana od góry do dołu, stanik także splisowany, na ramionach motyle splisowane — z tyłu długa szarfa biała, splisowana. Wyprosiłam sobie tylko konwalie z długimi zielonymi liśćmi. Tak lubię zielony kolor. To bardzo modernę... Chciałabym być długa, cienka, wąska — secession — ruda, z uszami zakrytymi, a jak na złość jestem niska,

drobna, mam ciemne włosy i te szkaradne rumieńce, których się pozbyć nie mogę. — Piję od kilku dni ocet, jem kwaśne pomarańcze, cytryny, ale to nic nie pomaga. Skoro nadchodzi godzina lekcji Julka i wiem, że... on... ma przyjść — to jestem cała czerwona, jak... nie wiem co i aż twarz do szyby przykładam, żeby trochę ochłonać. Dużo mi to pomaga! Całą godzinę, a czasem dwie, podczas... jego lekcji z Julkiem, jestem taka czerwona. Mama to widzi — teraz nie wolno mi siedzieć w pokoju, kiedy Julek ma lekcję. Ale na wieczorku u państwa Trawińskich... on... mi mówił, że będzie na balu u pani Mołonieckiej, to jest — może będzie, bo na razie nie ma jeszcze zaproszenia... Wczoraj modliłam się gorąco, żeby dostał to zaproszenie.

Chciałabym, żeby mnie widział, jak będę ładnie ubrana. Będziemy tańczyć... ciągle. Na takim dużym balu to mama chyba nie dopatrzy. Ach Boże! jaka ja będę szczęśliwa, szczęśliwa. Tak się cieszę na ten bal. Do tej pory kręciłam się tylko na jakichś tam herbatkach tańczących, pączkach, byle czym, ale — to bal! bal!...

Nie widziałam... go... od kilku dni, ale on dotrzyma słowa, zaproszenie dostanie i na balu będzie. Boże! dzwonią. To fryzjer. Mają mnie uczesać o trzeciej, bo później fryzjer zamówiony. — Suknia niegotowa — pantofle za duże, zlatują mi z nóg, zmienić je trzeba... Co to będzie! co to będzie!... Drzę cała ze strachu i szczęścia. Boże! jakiś ty dobry, żeś mi tej chwili dożyć pozwolił!

Jeszcze mam chwilę czasu. Mamcia kładzie rękawiczki, a gdy mamcia kładzie rękawiczki, to długo potrwa. Dopisuję więc w dzienniczku te słowa: „Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa!...” Piszę stojąc, bo nie wolno mi usiąść i będę w karecie podobno stojąco jechała. I tak splisowanie niedobrze się trzyma. Boże! ten bal! ten ohydny bal!

Wolałabym, żeby mnie do piwnicy powlekli i zamknęli.. Suknia się nie udała. Sterczy dokoła jak krynolina, żadnej linii, o secesji marzyć nie ma co! Konwalie są, ale czysto białe, bo mamcia liście powyjmowała.

Okazało się, że jestem chuda, jak półtora nieszczęścia, że mam żółtą szyję. Tak mi było przykro, bo mamcia aż ręce załamała, kiedy się ubrałam i zawołała ciocię, Melkę, Julka i tatę. Wszyscy się zeszli — kiwali nade mną głowami, a Julek zaczął skakać i krzyczeć: „Nina ma solniczki!” — Już zaczęłam płakać, aż ciocia zlitowała się nade mną i przyniosła szeroką

białą wstążkę. Zawiazali mi ją na szyję, opięli konwaliami i podobno nawet — ładnie wyglądam. Ja tam nie wiem! Co mnie to. obchodzi! Jestem taka ściśnięta i zesnurowana, że o mało nie zemdleję. Mamcia mówiła, że gdy szła na pierwszy bal to miała 42 centymetry w pasie i chciała koniecznie, żebym ja miała choć 45 centymetrów. Ale to było niepodo-

bieństwem, choć wzywali z kuchni Walentową — bo jest bardzo silna — i ta mnie przez ręcznik ścisnęła w pasie, a ciocia i mamcia każda za jedno sznurowadło — ciągnęła. Julek tak się z tego cieszył, że aż upuścił chleb z powidłami na dywan, a mnie oczy po prostu na wierzch wylaziły. — Ale to mniejsza. Ja byłabym i to przeniosła. Ja byłabym już i taka ściśnięta pojechała na ten bal i nic nie mówiła, że mi fryzjer włosy popalił, a szpilki tak powtykał, że mnie kłują, i że te konwalie także mi. szyję drapią, i że ta wstążka mnie dusi — to wszystko nic, ale... on nie będzie! ja... jego nie zobaczę! Boże! Boże!... Dlaczego mnie tak ukarałeś? Przecież ja się tak modliłam... Nie wolno mi nawet płakać, bo mamcia pozna. Jeszcze... mu lekcję wymówią. Ja słyszałam rozmowę mamci i cioci. Kiedy mnie już usznurowały, mówi do mnie mamcia: „Proszę Niny, żeby ciągle siedziała koło mnie i uważała, czy poprawiam kolczyki!“ Odpowiedziałam: „Dobrze, proszę mamci“ — ale zrobiło mi się zimno, bo już tak jest między nami umówione, że, gdy mamcia poruszy kolczyk, to mam stanowczo odmówić tancerzowi, proszącemu mnie do tańca, nawet wirowego. O innych panów mi nie chodziło! ale o... niego! o... niego, bo ja wiedziałam, że mamcia będzie ciągle się trzymać za kolczyk, ile razy on przyjdzie. Ale już zrezygnowałam. Powiedziałam sobie: „niech tam! tańczyć z... nim nie będę, ale go zobaczę — on będzie stał niedaleko, będziemy cały wieczór blisko siebie“. Nagle — słyszę, jak ciocia szepce do mamci: „...znów może z nim tylko będzie tańczyć, uważaj! taki student to kompromituje... odstręcza ludzi poważnych...“ A mamcia na to do cioci, także szepcem: „Nie bój się... postarałam się o to — nie zaprosili go!...“ Patrzyłam wtedy w lustro i zobaczyłam się nagle strasznie bladą. Zamknęłam oczy i tak już zostałam przez chwilę. Czułam, jak przez sen, że mamcia i ciocia wpinają mi kwiaty w stanik, układają włosy i coś mówią... Potem — wyszły. Ja stoję tak ciągle na miejscu i łzy mnie

dławia, bo co mi po tym balu, skoro... jego tam nie będzie!... jego tam nie będzie!...

MAŁŻEŃSTWO TECI

Nie było to nic nadzwyczajnego ta Teczka.

Dziewczyna rosła, trochę pochylona. Profil buldoga, a oczy smutnej sarny. Urodziła się gdzieś w chałupie pod Nowym Targiem, w chałupie z belek złotych, obciosanych grubo, a tak miejscami gładkich, że jak w tafli zwierciadła przeglądały się w nich zielenie dalekich polan lub liliowy błękit nieba.

Służyła w pensjonacie zakopiańskim; dla pozorów cywilizacji zamknęła piersi w tanią sznurówkę, spłaszczyła je i barbarzyńsko ścisnęła bujną kibić górskiej dziewczyny.

Przyodziła się w czarne łachmany, a na szyję wiązała gorącożółtą wstążkę. Spała w suterenie i szorowała usilnie co dzień paznokcie, aby była „czysta, gdy służy do stołu”.

Ten i ów w beczynności kuracyjnej zwrócił uwagę na łatwą zdobycz. W sezonie letnim żółte wstążki Teci zmieniały się często.

Z ciemni nocnej wynurzała się rosła postać Teci, obiegała fontannę, nikła w czerni świerków. Wreszcie zatrzymywała się między limbami. Wiatr halny rozpalał na jej policzkach żar przelotny. Teczka chłoneła gorący wiew. Przed nią wykwitał cały klomb, cały kosz sennych maków. Padały z nich liście na parter nasturcji złotych i rezed o czarującej woni.

W pawilonach gasły z wolna światła.

Jedno po drugim okno przestawało czuwać złotoczerwonym blaskiem.

Tylko w suterenie Maciek podśpiewywał cicho lada jaką piosenkę — co to ani w niej słów, ani melodii...

Piosenkę jakby pochwytaną [w] pajęczą nić cienką, nieuchwytną, co się mota koło dusz ludzkich, koło ludzkich serc...

Teczka patrzy na maki, piosenki słucha. I jej profil dobrego w gruncie, a na pozór srogiego buldoga nabiera miękkich linii roz tęsknionego dziecka.

W swych modnie skrajanych, przez Żydówkę uszytych wełnach, zdławiona żółtą wstążką, ściśnięta gorsetem — stoi góralska dziewczyna i pije halny wiatr, pije halną woń...

I myśli.

Myśli, że już ma dwadzieścia osiem lat, że musi za męża iść...

Hej!...

Do sutereny, gdzie tak tęsknie Maciek zawodzi, otwierają się drzwi i wchodzi zgrabny mężczyzna.

Tecia widzi go dobrze przez klomb maków, bo suterena oświetlona jasno, a duże okna otwarte, aby „powietrze weszło”.

Franek podchodzi do tapczana, na którym ma legowisko. Rusza się dobrze, niemal lepiej niż niejeden z gości zakładowych. Na ścianie wiesza zegarek i systematycznie nakręca stojący obok łóżka na paczce budzik.

Tecia patrzy na niego z uczuciem dziwnie skombinowanym. Ciągnie ją coś jak żelaznym hakiem za serce do tego człowieka, a przecie i wstręt, i gniew szarpie nią jednocześnie.

Przed chwilą powiedziała mu „nie chcę”, wyrwała mu się z ramion. Teraz poszła patrzeć na niego pod suterenę i patrzy tak, jakby patrzył człowiek, widzący przed sobą nagle... przeznaczenie swoje.

Franek w tej chwili siedzi na tapczanie i przeczesuje grzebieniem włosy, które ma gęste, piękne i jasne. W ogóle jest to jeden z tych mężczyzn, za którymi kobiety „latają”. Więc pewna brutalność, ciągła przechwałka wokoło ust silnie zarysowanych, duża siła w spojrzeniu i ta pewność, że wystarcza wyciągnięcie ręki, aby znaleźć ciche poddanie się i radość z doznanej łaski. Franek nie jest jednym z tych, którzy o ciszy wieczornej tulą się ze spojrzeniem dobrym oczu biednych i zmęczonych do dłoni kobiecych; on raczej porwie sam i zgniecie w jakimś pastwiącym się uścisku, ogarnie ramionami, wchłonie w siebie przejmując trwogą.

A potem spod rzęs przymkniętych spojrzy, jakby chciał wybadać, co się da jeszcze wziąć z tej istoty, w której sercu, na dnie — drży od bólu duma i przyległa zdławiona nienawiść.

Patrzy i — oblicza.

Tecia wie to wszystko, wie, że ma jeszcze po „ojcach” kilkaset papierków i że Franek po ślubie chce za te pieniądze jechać do Ameryki. Nie ma w nim sentymentu. Czuje, wie, iż za morzem dorobi się majątku. Umie nawet wymówić słowo business tak, że całe sutereny się dziwią, jak mu to gładko idzie.

A on — nic, bestia. Podrzuci śliczne włosy, wydmie wargi i mówi business, aż Maciek przestaje grać na harmonii i siedzi bardzo zdziwiony. Dziewczęta, te „od stołu”, gdy przykucną przy oknach sutereny, cieszą się także i dziwią. Niektóre zazdroszczą Teci, inne podśmiechują się i potracają wzajemnie.

Wszystkie jednak zgadzają się na jedno.

Tecia musi wyjść za mąż.

Ma dwadzieścia osiem lat.

Musi już iść za mąż.

Przez senne maki — na skrzydłach spojrzeń płynie biedna myśl Teci w głąb sutereny.

Tam jest jej przeznaczenie i dusza dziewczyny trwoży się, i lęka.

Instynktem nieufnej góralki wyczuwa najgłębszą warstwę tego związku, który powlecze ją przez bezmiar wód w inny świat, przed którym drży.

Ani halnego wiatru, ani szmeru i jęku smreków, ani chałup ciosanych jak topazy, w których grają tęcze, ani mgieł różowobiałych, rozpiętych po szczytach gór...

I — tej zakładowej ciżby, gwaru, muzyki, szczerku talerzy, śmiechu w suterenie, majowych nabożeństw w kaplicy o wiosennych wieczornych godzinach...

Serdeczna Matko, a potem Zdrowaś Maria — i ta litania szemrana całą masą głosów kornych, nieśmiałych.

Tak, to wszystko pozostanie poza nią — to biedne kółko jej życia. Musi z niego wyjść po to, aby wejść w jakąś czerń, w coś nieznanego i groźnego.

Odarta ze wszystkiego, co było jej ubogą własnością i treścią, powlecze się w ślad za mężczyzną, dla którego jest „potrzebna” jako podstawa jego egzystencji. Prawo, zwyczaj, sakrament zwiąże ją nierozzerwalnym łańcuchem. Dojrzałość jej cielesna zmusza ją do zupełnej abnegacji z tego, co się składało do tej chwili na środowisko, w którym istniała. Odrzucić precz musi od siebie tę warstwę przyzwyczajień, pragnień, ulubień, zmartwień i uśmiechów

i ponieść wszystko w daninie człowiekowi, którego prawie nie zna, który po zaułkach kurytarzy wstrząsa nią łamiącym kości uściskiem i przeraża butą, z jaką mówi o morskiej przeprawie i „naciąganiu” — Amerykanów. Taka przed Tecią czerń i coś tak jakby łąkało w tej czerni, jakby się trzepotał jakiś zraniony, spętany ptak.

A to coś, co łka, co się tam w nieznanym trzepocze — wiąże się z nią tak silnie, jakby to ona była sama.

Tylko to jest drobne, słabe, biedne — tragicznie biedne — jeszcze biedniejsze, niż ona w tej chwili.

Po. spalonych od żaru kuchennego i prostego mydła policzkach Teci płyną dwie duże łzy.

Dziewczyna zepsuta, kto wie przez co przewleczona — z głębi serca wykwitła najczystszyimi łzami.

Przesłoniły jej głębię suterren, tapczan, jasne włosy Franciszka, czerwony punkt jego wirginii — mgłą dziwną przesłoniły jej wiele.

Nie przesłoniły tylko sennych maków i limb, i smreków, nie przesłoniły wyczutyh w dalekości gór, ani źleń, w których srebrzy się śnieg...

Idzie Tacia w teorii dziewcząt, idzie od kuchni do sali jadalnej — jedna z procesji odzianych w czarną weńę sylwetek, rozwianych bielą fartuchów.

Wchodzą cicho na salę jadalną, gdzie długimi szeregami pochyliły się twarze różne i w różnicach tych niepokojące nad czystą porcelaną talerzy, które z rozrzuconych liści jesionów i kwiatów gwoździków się wydostają. Dziewczyny idą — obojętne, czasem ironiczne, przystrojone w zniszczone wstążki — wszystkie jednakowe linią identyczną wyciągniętych rąk, na których srebrzą się półmiski.

Wchodzą wolne, uważne, cierpliwe, o grzbietach pochyłonych i rozchodzą się czarnymi cieniami w jasności złotych ścian sali.

Jedne już automatycznym gestem podają srebro półmisków i biel różową piany jabłecznej wyciągającym się ku nim rękóm — inne jeszcze wchodzą wolne, ciche i posłuszne, zmęczone jednostajnością ciągłej posługi bezmyślnej.

Tacia jest prawie na czele szeregu. Idzie smutna bardzo, pochyłona więcej niż inne.

Na szyi jej żółta wstążka kryje źle siną plamę, wycalowaną przez brutalne usta, powieki jej zasnuły oczy, które więcej niż kiedykolwiek mają wyraz smutnej, zrezygnowanej sarny.

Jutro jej ślub — zaprosiła nawet „państwa”. Wesele będzie sute, policjantów dwóch zapłacono, aby stali całą noc, żeby trupa nie było, bo że noże i ciupagi błyskać będą, o tym wiadomo.

Jakże by inaczej porządne wesele się odbyło!

Jutro Teczka nie wejdzie z teorią dziewcząt, niosąc sennym gestem srebrny krąg półmiska na czysto umytej ręce.

Jutro o słonecznym południu zawiozą Teczka i jej gości do kościoła dorożki, ubrane w pęki bibulanych, jaskrawych kwiatów.

Dorożek tych będzie cały szereg, a w nich ustrojone w muśliny dziewczęta „od stołu” — i same „cepry” w surdutach, a górali może trzech, czterech co najwyżej.

Teczka mieć będzie białą sukienkę i welon. Na głowie mirt świeży i woskowe, pachnące gromnicą kwiaty. Rękawiczki białe bawełniane dał jej Franek, bo on jako lokaj ma kilka par w zapasie. Na weselu grać będzie muzyka i dużo będzie wódki i piwa. Surdut Franka robił miejscowy krawiec i ma najdłuższe poły i najszersze klapy ze wszystkich surdutów gości weselnych. Buty żółte nowe, skrzypiące, o jedwabnych sznurowadłach, krawat czysto jedwabny, słowem, wszystko...

I za to zapłaci Teczka swoją biedną „po ojcach” została własnością.

Przyniesie mu w daninie swoją uległość, swoje mienie, swoją całą istotę. I będzie już wiecznie do niego należała ona — jej przeszłość zniszczona i przyszłość, ukształtowana według jego woli i pojęć. To wszystko stanie się w jeden dzień, w słoneczny, cichy dzień, w którym się odbędzie Teczki smutne wesele...

LEWEK

Małe to było, brzydkie, krępe, na krzywych nogach osadzone, z głową kudłatą i z bezczelnym spojrzeniem w zielonawych, świdrowatych oczach, których usiłowaniem najgorętszym było rzucać piekielne, podbójcze błyski.

„Demoniczny jestem”, mawiał pukając się w wypukłe piersi okryte wykrochmaloną koszulą „demoniczna bestia jak chyba nikt na świecie”. I pakował gałkę od laski w szerokie usta, które oblizywał ciągle grubym, sinawym językiem. Nogi obute w płytkie lakierowane pantofle wyciągał

przed siebie, ohydny, trywialny, śmieszny pod jasnym blaskiem porannego słońca, filtrującego złotawe światło przez liście kasztanów nad ławkami się zwieszających.

Spoglądał na przechodzące kobiety z lekceważeniem pozornym a z utajoną lubieżnością. Kiwaniem nogi, wydęciem ust zdawał się mówić jak sułtan rozparty na sofie w haremie:

„No! Któraż tam!... Pan czeka!...”

Lecz w myśli powtarzał sobie:

„Ach! ... żeby też która! ...”

Lecz kobiety omijały go szybko, nie zwracając nań najmniejszej uwagi.

Czasem zasłaniały się parasolkami, aby uniknąć jego natrętnego i bezczelnego spojrzenia, które on uważał za szczyt demoniczności. Często — gdy zniecierpliwiony, rozdrażniony, wstawał z ławki i z arogancją zaglądał pod rondo kapeluszy mężatek pilnujących dzieci lub następował na pięty dziewcząt, uśmiechających się w promieniach słonecznych — ta i owa mruknęła przez zaciśnięte zęby:

— Błazen!

On wtedy zaciskał zęby z wściekłością, przybierając pozornie rozpromieniony wyraz twarzy. Siedzący bowiem na ławie przyjaciele sierzili go z uwielbieniem, patrząc, jak „zachodzi” — i jak kobiety rzucają mu w przelocie jakieś słowa, które on, szczęśliwiec! z uśmiechem niedbałym przyjmuje. Gdy powracał do ławki kołysząc się na swych krótkich, kaczyczych nogach, gołowąsy młodzieniaszek w świat podbojów wchodzący, zapytywał:

— I cóż? I cóż? Co one powiedziały? ... Ireneusz wydymał dolną wargę:

— Ha! Lecą na mnie!

Po ławce rozchodził się szmer uwielbienia.

Wiadomo bowiem, że Ireneusz należy do tych wybrańców, którzy mają szczęście u kobiet! Już w czwartej klasie miał taką reputację, gdy za brązowymi spódniczkami pensjonarek gonił, spocony, czerwony, kroplami potu na krótkiej, niekształtnej szyi okryty.

Pensjonarki pluły, złościły się, obrzucały go różnymi epitetami, on to wszystko ze stoicyzmem znosił — wiedząc, że w oczach kolegów rośnie na zjadacza serc panięńskich, na donzuana, na kobieciarza!

Podtrzymując reputację swoją pracował i nadal w tym kierunku, zamieniwszy tylko teren swych manewrów, wiecznie w pogoni za kobietą,

zawsze głodny a udający przesyconego, drżący na szelest krochmalnej spódnicy pokojówki, a ziewający na widok koronek wyłaniających się spod sukni szykownej strojnisi.

Szlachectwo obowiązuje!

Reputacja Irka była ustalona.

Demoniczny i szczęśliwy do kobiet! ...

Tylko tyle.

Godność tę trzeba było dźwigać na swej kwadratowej głowie pod grozą śmieszności i odstąpienia podbójczego berła komu innemu.

Tego Irek byłby nie przeżył.

Chował więc „błazna” — do kieszeni i mówił zapalając papierosa :

— Lecą na mnie!

Lecą! Och!

Akuszerka, odbierając Irka, zaopiniowała w dwie minuty po urodzeniu się tego rozkosznego dziwotworu w następujących wyrazach:

— Chłoptaş szelma, śliczny jak lalka, do mamy podobny jak dwie krople wody. Będzie miał szczęście do kobiet!

Ojciec — suchy, biedny, zawiedły urzędnik — stojący pod piecem z pieluszkami w ręku, uśmiechnął się blado.

— Jak Boga szczerze kocham — przyświadczała akuszerka, wodę na kąpiel szykując — będą za nim hrabiny latały, już ja się znam na tym.

Słowa pani Malinkiewicz, powtarzane często w obecności już podrastającego Irka, głębokie nań wywarły wrażenie.

— Powiedziała! O! Powiedziała! ... musiała coś przecież wiedzieć, z palca sobie tego nie wyssała.

Uczył się, ale za to był bezustannie w fałdach kobiecych spódnic, wcześniej roznamietniony i ofiarowujący się z miną znudzonej przymusowym dziewictwem kobiety. Odpychano go jednak, tak był wstrętny, z oczyma zielonawymi, powleczonymi mgłą namietności, z ustami wpółotwartymi, o zaślimaczonych kącikach. Przez grzeczność, w obecności rodziców, dziewczęta znosiły go pomiędzy sobą, unikając dotknięcia jego rąk zimnych i wiecznie spoconych. On — połykał upokorzenia, znosił przycinki znajdując dziwną rozkosz w słowach obcych, widzących go w gronie dziewcząt.

— Irek ma szczęście do kobiet! patrzcie! ... zawsze jest pomiędzy nimi! ...

Gdy podrósł, zaczął się zastanawiać, czym właściwie można podbijać kobiety.

Czytał wiele, zatrzymując się zawsze nad opisami bohaterów, którzy, szczególnie obdarzeni od natury, uwodzili po sześć kobiet dziennie, porzucając je później na pastwę tęsknoty i rozpacz.

Bohaterowie ci mieli przeważnie „czoło wyniosłe, otoczone kruczymi kędziorami, twarze pociągłe, blade, nozdrza namiętne, rozdęte”. Jeden z bohaterów Balzaka, uwodziciel urzędowy, miał wargę dolną lekko obwisłą, „świadczącą o zmysłowości...”

Zaczęły się więc tortury ciała Irkowego.

Włosy smażyły się i piekły na żelazku od rurkowania spódnic, nieruchome i mięsiste nozdrza, rozciągane palcami, nabrały pewnych ruchów przy wciąganiu powietrza, warga zaś dolna — ta nieszczęsna warga, miała rzeczywiście pozory zmysłowości „szalonej”.

— Irek, co robisz z ustami? — wołała matka, cicha, potulna kobiecina, nie mogąca pojąć, jak zaszczytne stanowisko zająć ma jej syn w społeczeństwie.

Projekt na „lwa” — tymczasem wargę ciągnął i nozdrzami ruszał, tworząc sobie w ten sposób maskę podbójczą, niezwalczoną...

Wzrósłszy w lata i w ciało, krępy i nabity, rozsadzający pełnością kształtów jasne garnitury, aplikował u jednego z adwokatów, wypełniając ciasną kancelarię trywialną, ostrą wonią chypru. Lokował się przy drzwiach salonu, aby za każdym ich otwarciem rzucić w głąbię przenikliwe spojrzenie, samą adwokatową mające na względzie.

Pani ta jednak, jakkolwiek w niebezpieczną trzydziestkę wkroczyła i miała lekki puszek na wierzchniej wardze, posiadała tylko jedną namiętność, to jest... rurki czekoladowe napelnione kremem. Pochłaniała ich ilość obfitą, zmysłowe rozkosze na bok odkładając, namiętne przeto drżenie nozdrzy Irka zostawiało ją zimną, nawet nie zdziwioną w jej łakomym, kremowym rozleniwieniu.

Demoniczny natomiast młodzian, obserwowany, popychany przez kolegów, widząc, iż nic nie zyska, przybrał... minę zwycięzcy i często w pustą głąbię salonu rzucał porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy; „ku wielkiej radości całej dependenckiej rzeszy.

— Wzięła się! wzięła! — szeptali do siebie, głowy z plik papierów wyściubiając.

Irek brwi marszczył i rękę patetycznie wyciągał.

— Proszę was — mówił — zaprzestańcie tych żartów. Podobnymi podejrzeniami obrażacie mnie i kobietę, która obdarza mnie sercem zaufanym!

— ...I której honor jest mi drogim!

Było w tym głosie to „coś”, które drga zawsze w głosie mężczyzny, ile razy zapiera się miłostek z jakąś kobietą. Mówi „nie” — a słyszy się najwyraźniej „tak”!

Wreszcie — następował teraz — bukiet, wieńczący zwykle podobnego rodzaju rozmowy.

— Daję wam na to... słowo honoru!

Wszystko tam było — i honor (och, ten nieszczęsny), i ręka na kamizelce położona, i przymrużanie oczów, słowem — cała lira.

Mimo to, a właściwie mówiąc, dlatego — dependenci mówili w kilka dni później w gronie swych zaufanych przyjaciół:

— Irek poleciał teraz na grandę, mężatka, szyk kobieta! Nie — on ma dziwne szczęście do kobiet! ...

A zapytywani przez rodzinę o panią adwokatową, odpowiadali:

— Phi! ...kobieta nieszczęśliwego prowadzenia się! Podobno Irek... i to nie sam!... nie on jeden!

Adwokatową tymczasem, kremem cała ubielona, ani przypuszczała, jak czernieje jej dobre imię, jaka smutna przyszłość gotuje się dla jej córek, których matka niedługo w opinii całego miasta zostanie „taką, co przez całą kancelarię męża przeszła!”

Powoli — Irek rozzuchwalał się coraz więcej.

Tu i ówdzie jakaś pokojówka rozuzdana, sklepikarka lub dystrybutorka spragniona miłosnych wrażeń — zsuwała mu się w objęcia. On — wygłodzony, miłostki skwapliwie przyjmował, dekorując je później w wytworne barwy w opowiadaniach swych wśród kilku przyjaciół.

Franusia z drugiego piętra, cuchnąca mydlinami, była w tych opowieściach — panną „z bardzo przyzwoitej rodziny” — odwiedzającą go o szarej godzinie z panną służącą. Biedactwo! Przybywało zawsze splecione i drżące. Narzuciło mu się prawie samo, a teraz on — z litości nad biedną, stosunek ten przeciągał, który, nawiasem mówiąc, nużył go niewypowiedzianie. Czuł bowiem, do czego to zmierza, panna chce

koniecznie doprowadzić go do ołtarza, lecz on, Ircio, bynajmniej tego nie pragnie!

Tym bardziej, że... niedawno zaplątał się jeszcze w znajomość z pewną wdową, mającą, posiadającą handel na jednej z pryncypalnych ulic, o! ... wiecie! Sklep wspaniały, jubilerski, pełen brylantów, turkusów, rubinów. On — uległ także temu kaprysowi, pociągnięty wielką pięknnością wdowy, lecz teraz rad by się wywinać uczciwie, jak na przyzwoitego człowieka przystoi.

Wdową tą tymczasem — była dystrybutorka, rozlana w czterdziestce, którą przekroczyła, żółta i nędzna, za skromnym kontuarem ubogiego sklepiku na jednej z najbardziej oddalonych ulic miasta.

Przyjaciele Irka cisnęli się teraz do niego, pełni tej dziwnej łatwowierności, jaką mają mężczyźni wobec miłosnych błag patentowanego przez nich samych bezezelnika.

— Irek! .. Irek! ... powiedz, jak się nazywa?

Irek łyżeczką kawę mieszał z tajemniczą miną.

— Nie wymagajcie! Honor kobiety!...

Lecz oni nacierali, pełni niezdrowej ciekawości starych plotkarek.

— Czy znamy ją? Powiedz? Irek ramionami ruszał.

— Może... — rzucał z niechcenia.

— Pani Strzelecka?

— A... cóż znowu!

— Pani Jacksohn?

— Ależ ...

Uśmiechał się dwuznacznie, oczami demonicznie błyskając.

— Ależ tak, ona, ona, nikt inny!

Lecz on porywał się nagle, godności pełen:

— Proszę, zaprzestańcie tych domysłów. Gdyby nawet tak było ... honor milczeć mi nakazuje!

I nagle wdowa po jubilerze zostawała kobietą, kompromitującą się z jakimś dependentem” — istotą zgubioną, nie umiejącą nawet szanować pozorów... Ta i owa, w chwili oburzenia, wróciwszy z „Pod, Raka”, gdzie grywa rozstrojona orkiestra a gabinety zbudowane są z dziurawych desek

— mówiła:

— Wszystko przecież można ... ale zachować trzeba pozory! ... Koło kobiety robiła się pustka, której ona wytłumaczyć sobie nie umiała i nie mogła, a lewek Irek powtarzał tymczasem:

— Gdyby nawet tak było — honor mi milczeć nakazuje!

Och! ... ten honor mężczyzn, lwów, broniących czci kobiety, którą sami zszargali, ten honor dzwoniący jak fałszywa moneta — „qu'allait - il faire donc, dans cette gale`re?”

Powoli Irek rozzuchwalał się jeszcze więcej.

Trzeba było słyszeć tę potworę, mówiącą o kobietach w ogóle, zwłaszcza gdy wypił filiżankę czarnej kawy z figową cykorią pod werandą dystyngowanej cukierni.

— Kobiety! ...hm... wiedział on dobrze, co znaczy to słowo!

Trzysta czterdzieści siedem razy grał komedie miłości... tak! ... tak! ...

trzysta czterdzieści siedem! Ani mniej, ani więcej! Zna więc do gruntu te istoty, które bez wielkich wysiłków przykuć do siebie na zawsze można.

Gorący pocałunek, w ucho na przykład, zupełnie wystarcza! On to próbował nieraz i żadna mu się nie oparła! A ileż ich przez ręce mu się przewinęło! Blondynki, brunetki, rude, ba!... nawet jedna siwa, lecz młoda i piękna! Wybierał zawsze bowiem piękne i dobrze zbudowane... wszak tyle jest tego na świecie! ... mój Boże — ręką tylko sięgnąć... już jest i to nie byle co, szyk, elegancja, inteligencja! Wszystko!

Cóż? — Kobieta? — istota słaba, bez woli, lgnąca do trochę przystojniejszego mężczyzny na oślep. Tak zwanych „uczciwych” — phi! ... to okazy do wypchania, nie ma ich po prostu. Irek takich nie znał, wreszcie... on za nikogo, za żadną by nie ręczył!

Podkreślił te słowa, przybijając tym słuchaczy. A wreszcie — gdyby oni byli na jego miejscu i przeszli to, co on przeszedł — widzieli kobiety na pozór zacne, święte, nieskalane... szalejące w chwili ekstazy miłosnej w jego objęciach jak kurtyzany! — tak! tak, jak proste kurtyzany!

Od pewnego czasu upodobał sobie wyraz „kurtyzana” — i szastał nim na prawo i lewo, wsłuchując się w dźwięk tego teatralnego słowa.

— Zresztą — ciągnął dalej, paznokcie sobie oglądając — życie trzeba brać, jak jest! Kobieta jest przyjemnym narzędziem rozkoszy i miłą rozrywką. Tylko ...

Tu składał ręce jak do modlitwy.

— Na Boga, panowie, nie żądajcie niemożliwego! Nie chcecie widzieć w kobiecie istoty na wieki do was przykutej, bo w ten sposób życie będzie dla was męczarnią. W młodości mej... wiedziałem coś o tym!
Pozował się, melancholijnie głowę na dłoni wspierając.
— Tak! ... tak!... — kończył cichym, przytłumionym głosem. —

Początkowo brałem komedię miłości na serio. To mnie zabijało. Dziś nie kocham! Pozwalam się kochać... i czuję się o wiele szczęśliwszym. Uśmiechał się usta oblizując — w kącikach mu kawa pomieszana ze śliną czerniała.

— Teraz, już trzysta czterdzieste ósme przedstawienie nie kosztuje mnie nic i bez najmniejszego wzruszenia o schadzce wieczornej myślę. Ot, spędzić wieczór z kobietą jest dla mnie to samo, co... filiżankę kawy wypić.

Pełen dezinwoltury, wspaniały, nadzwyczajny, sączył resztę fusów osiadłych na dnie filiżanki. Słuchano go z religijnym skupieniem. Swadę miał i widoczną gruntowną znajomość przedmiotu. Czasem miał odpowiedzi, które po prostu historycznymi się stały, rywalizując ze słowem Cambrone'owi przypisywanym.

Przykład:

Jeden z młodzieży, wkraczający dopiero w dziedzinę galanterii, zauważył nieśmiało, że pomiędzy „szwaczkami” wiele się znajduje dowodów szczerego przywiązania i miłości.

Dyskutowano trochę, ten i ów opozycję zakładał, wreszcie zwrócono się do Irka, który ostentacyjnie jakiś list, na różowym papierze nabazgrany, czytał:

— Jak pan sądzisz? __szwaczki? co?

Irek oczy zmrużył.

— Szwaczki — odpowiedział po chwili z niezrównanym roztargnieniem — szwaczki?... je n'en sais rien!... nie znam!...

Od pewnego czasu używał francuszczyzny, ucząc się zdań pojedynczych i rozmówek pani Boccniel.

— Nie znasz pan szwaczek? — pytano ze zdziwieniem. On demoniczny wzrok wkoło ciskał:

— A, od czegoż... damy? — zapytał.

Razem z latami wzrosła w tym mężczyźnie dziwna zaciekleść udawania kochanka każdej choć trochę wybitniejszej lub bardziej znanej kobiety.

Zwrócił się przede wszystkim do — teatru.

Poznał jakąś nędzarke, chórzystkę — obarczoną kilkorgiem dzieci, zaglądał często do jej biednego mieszkania i teraz nagle, zaczął pastwić się nad aktorkami.

Od owej chórzystki — wyciągał niektóre szczegóły co do artystek stojących na stanowisku i szargał je w błocie rozpusty, obmawiając w najcyniczniejszy sposób.

Pisywały do niego! o! tak — nawet bardzo często, cierpiąc po prostu na manię listów! Lecz on, jakkolwiek chwilami znajdował pewne upodobanie w towarzystwie „tych pań”, umiał postawić się na odpowiedniej stopie.

Mój Boże!... wiadomo bowiem, jak przewrotną jest kobieta, a cóż dopiero aktorka! Tej ostatniej głównie chodzi o świecidełka, błyskotki. Rzuca się więc jej ten okup i flirtuje wesoło w jej buduarze. Co jeszcze mają najlepszego w sobie aktorki — to umiejętność urządzania buduarów.

I dyskretnie dawał rozmaite szczegóły.

U tej na przykład buduar, cały różowy, ma na szezlongu rzuconą białą niedźwiedzią skórę, u tamtej buduar w kształcie orientального namiotu — u innej znowu lustra i lustra.

Jeszcze inna nie miała buduaru, przyjmowała zwykle w saloniku, w którym była zaciszna alkowa, wybita liliową draperią. Aktorka miała jasnozłociste włosy, zwykle rozpuszczone i wielkie koronkowe rękawy, którymi zamiatała ziemię.

Nawet na nim, na Irku robiło to pewien efekt, dlatego przesiadywał tam często, powtarzając z „tą panią” — jej rolę.

Ależ tak — tylko rolę, a wreszcie...

Tu — był już dyskretnym.

Dobra wiara, którą zaszczycono go od lat kilku, wyrobiła w nim

Bezczelność, posuniętą do niemożliwych granic.

Opinia aktorek, szarpana zwykle przez wszystkich, dla tego lwa była prawdziwym kęskiem królewskim, na który rzucał się z całą zajadłością.

Aktorki!... fiu! ... wszystko kurtyzany!...

Rzecz ceny — nic więcej!

Ramionami wzruszał, usta wydymał, pełen szlachetnej pogardy dla istot ujranych za ledwie z daleka, wśród blasku gazu, w szeleście jedwabnych spódnic i całej fali koronek.

Serce mu biło gwałtownie, gdy ujrzał którą przechodzącą ulicą.

Jeśli nie był sam, pociągał gwałtownie swego towarzysza i przechodził na drugą stronę ulicy.

— Dlaczego to robisz? — pytał towarzysz — patrz, idzie Morelka, przywitasz się z nią... może mnie przedstawiś?

— Dziwny jesteś — odpowiadał — nie wiesz, że od dawna nie znam tej pani?

Lub zapuszczał się dalej w efronterię, mówiąc junacko:

— Witać się z nią? cóż znowu, przecież ja nie mogę się tak kompromitować!

Przechodził szybko, głowę do góry niosąc, z ustami wydętymi pogardliwie, ironicznie, pogwizdując jakąś urywaną melodię.

Aktorka tymczasem szła powoli, nie przypuszczając, że po drugiej stronie chodnika szedł człowiek rzucający na nią błotem, dający jej miano „kurtyzany” i mówiący z pogardą:

— Ta pani, to rzecz... ceny.

* * * * *

Nieźrównaną miał fantazję ten kreowany przez akuszerkę pożeracz serc kobiecych. Wyjeżdżał raz do Wiednia i zawadził o Wenecję. Było to już po śmierci matki i trochę klejnotów przez nią pozostawionych przeszło w ręce Żydów dla opłacenia kosztownej dla Irka w świat wycieczki.

Lecz za to z powrotem ileż legend opromieniło demoniczną postać lewka!...

Wiedenki — hm... cóż! Wiedenki — namiętne, rozmarzone, wysiadujące na ławkach Stadtparku podczas księżycowych nocy.

Sentymentalizm straszny... samobójstwo w perspektywie! zapewne — sensacje nowe i dość miłe, lecz dla człowieka, który trzysta czterdzieści siedm razy grał komedię miłości — zanadto wstrząsające.

Wspanialsze o wiele Włoszki, weneckianki, tajemnicze, pełne ognia i nieopisanej zmysłowości... A gondole! Ach!

Irek głową w takt wiosła kiwał i oczy przymykał uśmiechnięty, pełen rozkosznych wspomnień. Czasem... barkarolę Troschla nucił fałszywie i powtarzał jak papuga:

„T'amo!”

Raz — w chwili zwierzeń wyznał, iż przechodząca placem Św. Marka dojrzała go pewna księżna karmiąca gołębie i wieczorem — w gondoli swej uwiozła.

Na Canale Grandę nauczyła go słowa — T'amo!

W rzeczywistości Irek mieszkał w Wiedniu na Leopoldstadt, został w Stadtparku zwymyślany przez jakąś maderl wracającą z „Waschanstalt”, a w Wenecji, wynudziwszy się nad cuchnącym kanałem, na próżno usiłował pozyskać względy dziewczyny, posługującej w hotelu, grubej, trywialnej Włoszki, czeszącej się raz na trzy tygodnie...

W kilka miesięcy później Irek kupił sobie wąskie porte-bonheur i kazał je zakuć na rękę.

Było to szczytem elegancji i szyku.

Wysuwał teraz rękę spod mankietu i błyskał złotem bransoletki, drażniąc ciekawych niezwykłym tym zjawiskiem.

Gdy go pytano, wymijał zręcznie odpowiedzi, honorem się znów zastawiając ...

Szczególnie w teatrze imponował bezustannie, bransoletkę na rękę naciągał i nią pod oczy siedzącym w krzesłach kobietom świecił.

Niektóre mówiły:

— Patrz — to monstrum ma bransoletkę!

Inne, zaciekawione istotnie, rzucały badawcze spojrzenia.

Irek — uszczęśliwiony, nadymał się jak żaba, porte-bonheurem o szpinki dzwonił i przeginał się z nonszalancją przez barierę krzesel.

W tym czasie przeczytał „Siostry Rondoli” i „Safo”. Mówił przeto wiele o francuskiej literaturze i o głębokości studiów nad kobietą, dokonanych przez Maupassanta i Daudeta.

Rozmarzywszy się raz fałszowaną chartreuse'ą, ułożył nagle cały romans o jakiejś tajemniczej, czarno ubranej kobiecie, która od kilku dni przychodziła do niego o zmroku wieczornym.

Miało to być „coś z arystokracji” — spowitego w batyst i blondyny (!) i pragnącego u stóp Irka pozostać do śmierci.

Słuchacze zainteresowali się tą opowieścią i przez kilka tygodni tajemnicza dama unosiła się jak mistyczne zjawisko nad głowami mężczyzn. Powoli — zapomniano o niej. Irek przestał mówić, znużony własnym kłamstwem.

Minęło kilka miesięcy.

Nagle przypomniano sobie tajemniczą damę i, rzecz naturalna, zapytano o nią lewka. On przez chwilę stał osłupiały, nie mogąc przypomnąć sobie, o co tu właściwie chodzi.

Wreszcie pamięć mu wróciła.

Do diabła! Cóż teraz zrobić z tą całą historią! Płatać ją dalej, jak? — konceptu mu zabrakło.

Nagle wspaniała myśl zaświtała mu jak gwiazda zbawienia.

Uśmierci ją!

Tajemnicza dama umrze...

I z ponurą twarzą, grubym głosem opowiedział, pochylony nad swoją kawą — że — czarna dama umarła w Nicei... na suchoty, miesiąc temu, a ostatnie jej słowo było „Ireneusz”...

Powiedziawszy to, zamyślił się głęboko, smutny i znękany.

Słuchacze uszanowali jego boleść — ogólnym milczeniem. Od tej chwili aureola cierpienia otoczyła czoło Irka; zaczął chodzić zgarbiony, jakby smutkiem do ziemi przyciśnięty.

Pluł wzdargą na wszystkie kobiety, tęskniąc do tej jednej, szacunku i miłości godnej, która „odeszła w dal ciemną, pod błękitnym niebem Italii”.

— Cóż znowu — pocieszali go przyjaciele — trudno ginąć z tęsknoty dla trupa. Miej siłę, oprzytomniej, Irku!

Lecz Irek pozował teraz coraz więcej, drapując się w szatę tragiczną, fikcyjna kochanka zaczęła dlań przybierać kształty. Po upływie pewnego czasu nabrał przekonania, że — czarna dama rzeczywiście istniała.

Teraz w węzeł krawatu wpinał szpilki w formie trupich główek, ubierał się ciemno, cały żałobny jak karawaniarz.

Chwilami miał chęć sprawienia sobie krepy przy kapeluszu.

Słowem był to wdowiec, wdowiec oplakujący istotę, która, nie istniejąc, śmiercią swą pogrzyżyła go w bezmiarze bóleści.

I często z zamglonymi oczyma siadał w gronie swych przyjaciół, aby wywnętrzyć ból swój drżącym od wzruszenia głosem.

Jeśli go kto w życiu kochał, o! to pewno ta jedna! ... Była mu cała oddana pomimo odpychającego chłodu, z jakim miłość jej przyjmował !

Uderzał się w czoło z rozpaczą.

— Byłem względem niej niegodziwy — wołał — lecz czyż to była moja wina! Popsuły mnie te wszystkie inne, popsuły, bo trzysta czterdzieści siedem razy musiałem grać z nimi komedię miłości. A czy która z nich była warta tego?...

— Przecież adwokato... — przerywano mu półgłosem.

— Och!... ona! .. — i tu Irek mścił się za lekceważenie okazywane mu przez amatorkę kremu. — Och! ona szczególnie! ... głupia, zła, gadatliwa, narzucająca się, nudna i chuda! ... o, tak, chuda w przerażający sposób. Stanikiem dobrze zrobionym okłamywała ludzi ... lecz on — Irek, wiedział, czego się ma trzymać.

Nie kępował się już teraz w słowach, rozbierając brutalnie kobiety, o których istnieniu wiedział za ledwie. Podniecony, wściekły — mścił się za każdą obelgę, każde odepchnięcie, wyrzuceniem z siebie całej masy kłamliwych szczegółów piętnujących kobietę jak rozpalonym żelazem, na dowód przytaczając tajemnicę alkowy, sekrety ciała, ukryte wady lub wdzięki.

I tylko dla nadania sobie pozy i uroku powracał ciągle do zmarłej wysławiając ją jako ideał piękności i wdzięku.

— Włosy miała czarne jak kruk i do pięt sięgające — mówił potrząsając głową — oczy szafirowe, twarz bladą... nie! — opisać jej nie podobna, a wreszcie, chcecie? — pokażę wam jej fotografię.

Radość w tłumie powstała ogólna.

— Ale, przysięgnijcie mi na honor, iż nigdy żaden nie da poznać po sobie, że widział ten portret w rękach moich!

Słuchacze, powstawszy, na honor przysięgli.

* * * *

Gdy Irek do domu powrócił, uczuł kłopot niemały.

Przyrzekł pokazać fotografię zmarłej — hm!... dobrze, ale skąd fotografię dostać?

Nie wypada nic innego, tylko kupić jakiś „gabinet” — i przyjaciołom przed oczyma błysnąć. Nazajutrz, wczesnym rankiem, pobiegł Irek do atelierów fotograficznych.

Podał się za heliominiaturzystę-amatora, chcącego nabyć kilka fotografii celem robienia studiów.

Podano mu całe stosy wybiórków, portretów osób, które nie zastrzegły sobie sprzedaży publicznej.

Irek szukał długo, wreszcie — wybór jego padł na silną brunetkę o wielkich ciemnych oczach, owiniętą masą białej gazy.

Wydała mu się nadziemską w tym jasnym obłoku. A — zjawisko, widmo zmarłej, a nieznannej kochanki.

— Kto jest ta dama? — zapytał. Fotograf pokręcił głową.

— Nie pamiętam prawdziwie — odparł — fotografia ta zdejmowana już lat kilka temu. Zdaje mi się jednak, że to ktoś z prowincji.

— Nietutejsza?

— O! za to ręczyć mogę!

— Tym lepiej!

Zapłacił, fotografię zabrał i, cały przejęty ważnością chwili, dzień spędził w gorączce i oczekiwaniu.

Co chwila fotografię wyjmował i przyglądał się rysom brunetki. Była przystojną, choć cokolwiek mało miała dystynkcji. Jakiś uśmieszek w kącikach ust się błakał; za wiele widać było piersi.

Gaza ratowała jednak wszystko.

Z nadejściem wieczoru Irek do cukierni pędzi — i pomiędzy zebranych już mężczyzn wpadł.

Porwali się wszyscy, zaciekawieni jak stare baby, wyciągając ręce.

— Fotografia? O! pokaż! pokaż!

On — stał teraz boleśnie wykrzywiony i powoli kopertę odchyłał. Portret wyjąwszy spojrzął i westchnął.

— Tak! ... to ona! ... moja święta — jakby przemówić miała!... I fotografię najbliższemu podał, a sam, jakby boleścią przybity, na krzesło się usunął.

Lecz nagle serdeczny, wesoły śmiech, rozległ się w powietrzu. Jeden z grona mężczyzn, świeżo z Łodzi przybyły, machał w rękę trzymaną fotografią „świętej zmarłej” zanosząc się ze śmiechu. — Ależ to Wikcia! — wołał — Wikcia z Grand Hotelu w Łodzi — ta... co się tu w Warszawie teraz puszcza! Lewek głowę podniósł i ogłupiałym wzrokiem na śmiejącego się patrzył.

KUKUŁKA

- Tiens! tiens! c'est du propre! — mruknął przez zęby pan Seweryn, gdy rządcą wyszedł już z pokoju.

— Wyprowadzić się? Tak, toud'un coup... ni stąd, ni zowąd wyprowadzać się z tego mieszkania, urządzonego z takim staraniem, opuścić te kąty, w których meble stoją jakby przyrośnięte do lśniącej: posadzki! Wyprowadzić się i to dla tej błahej przyczyny, że gospodarz żeni się i pragnie połączyć dwa sąsiadujące z sobą lokale i sprowadzić się do nich z żoną!

Seweryn wzruszył ramionami.

Żenić się!

Także mądra instytucja! Żenić się! Po co? Na co? — Wszakże o wiele wygodniej można urządzić życie en garçon, wygodniej i weselej ...

Żenić się!

Dzika myśl Sewerynowi nie powstała nigdy w głowie, choć trzydzieści pięć lat skończył przed miesiącem. I dobrze mu w tym brakonierskim stanie, w tej włóczędździe po cudzych zagonach, które zwiedza z ciekawością dobrze rozwiniętego samca, poszukującego zaspokojenia swych chęci. Wstaje rano bez troski o życie całej rodziny, bez pisku dzieci, swarów mamki z kucharką i braku guziczka z tyłu koszuli.

Wszystko jest w porządku, buty wyczyszczone, woda przegotowana, zmieszana z tinkturą benzoesową do umycia twarzy, mydło Houbiganta odwinięte z obłonek, krem migdałowy tuż obok flakonu gliceryny, a ocet Bully'ego, świeżo przyniesiony, ma już markę oderwaną i kofeczek lekko uchylony.

Koło łóżka, na małym stoliczku przygotowana filiżanka ziółek Jambard; obok leży ręczne lustro znacznie powiększające i fiszlin do języka. Zmaczana w letniej wodzie i napojona esencją wer-

weny serweta wisi na poręczy łóżka tuż obok pary jedwabnych, przewróconych na lewą stronę i opylonych lekko proszkiem Viguiera, skarpetek. W całym pokoju cisza i półcień dyskretny. Portiery ciemne brązowe, łóżko szerokie francuskie na podwyższeniu pokrytym ciemnym dywanem.

W kącie toaletka, cała gra szczotek z kości słoniowej, wielkie flaszki z ekstraktem cordialisu i bzu białego. Tychże zapachów woda do włosów i niezliczona moc małych pudełeczek brylantowego proszku do paznokci. Pomiedzy nimi — pilniczki, siodełka, nożyczki spiczaste i zagięte. W kącie — tuż przy poduszczyce, pełnej szpilek, pudełko z veloutiną ambre, puszek łabędzi i jakby ze wstydem wciśnięte kilka wideł szylkretowych kobiecych do spinania greckich fryzur. Oprócz tych „wideł” — wszystko zresztą w najwyższym porządku poukładane, świecące, błyszczące jak samowary Żydówki. Wielka lampa w stylu bizantyjskim, wysadzana kamieniami, zwiesza się od sufitu, nadając tej sypialni fałszywy ton kaplicy. W lustrzanej szybie szafy odbija się stojący pod ścianą niski szezlong Marie Antoinette — pokryty aksamitną draperią. Na aksamicie, jak wąż mikroskopijny, leży w łuk skrecony kawałek błękitnego, jedwabnego sznurowadła, zerwanego silną a nerwową ręką...

Opodal — na dywanie nie dojedzone maluchne ciasteczko z wygryzioną konfiturą i zlizanym lukrem.

Seweryn podniósł się na łóżku i sięgnawszy ręką po filiżankę ziółek, zrzucił na ziemię pudełko pate des prelats, który nadawał alabastrowy ton rękom.

Był zdenerwowany i silnie podrażniony przez tę niespodziewaną wizytę rządcy wypowiadającego mu mieszkanie.

Trzeba szukać nowego lokalu.

Hm! Ale czy to tak łatwo ...

Wreszcie tu — kamienica dyskretna, lokatorowie nie zajmują się plotkami, zdają się nieżywi poza uroczyście zamkniętymi drzwiami głównego wejścia. Kto wie — na co trafi Seweryn i czy nie wyniknie z tego cały szereg przykrych zajść i kolizji.

Sięgnął ręką po skarpetki i wolno wstawać zaczął.
Spojrzał w okno.

Dzień był jesienny, ciepły jeszcze, ale trochę pochmurny. Jakieś szare, smutne światło płynęło przez szyby przysłonięte japońską siatką, po której latały z podniesionymi skrzydłami dziwaczne ptaki.

Seweryn skrzywił się i trochę przygasłymi oczami powlókł dokoła. Jakkolwiek szarawe cienie włóczyły się po kątach, mieszkanie to wydawało mu się po prostu rajem. Taka cisza, taki spokój panujący nawet poza oknami! Nieledwie słychać było kroki rzadkiego przechodnia, idącego wzdłuż domów.

Od czasu do czasu zaskrzeczała papuga siedząca na balkonie przeciwległego domu.

To było wszystko.

Seweryn kładł teraz na siebie komplet z białej flaneli w niebieskie paski i włożywszy ręce w kieszenie od kurtki, przyglądać się sobie począł.

Pomimo lekkiego znużenia w oczach, miał cerę zdrową i świeżą.

Wyciągnął język, potem przyjrzał się uważnie gałkom ocznym, wreszcie, wyciągnąwszy muskularne ramiona, stał tak chwilę, patrząc zmrużonymi oczyma w lustro. W tej białej, puszystej flaneli wydawał się o wiele tęższym i bardziej rozrośniętym, niż był w rzeczywistości.

Uderzył się po piersiach rękami i klatkę naprzód wysunął w niezwykle sposób. Po czym kurtkę na sznury zapiął i, obróciwszy się profilem, wygiął się jak panna na wydaniu. Przyglądał się rysunkowi łydek, które pod miękką tkaniną flaneli wyraźnie się zaznaczały. Pomacał się po udach, syknął lekko i poruszając torsem, począł próbować solidność bioder...

Tak! Tak — był w całym rozwoju siły i zdrowia. Herbata Jambard utrzymywała mu żołądek wybornie, a brak wszelkich ekscesów nie wyczerpywał go ani na jotę. Odłożył sobie właśnie tyle, ile mógł zużyć bez naruszenia zdrowia... Używał bez wstrząśnień i wzruszeń niepotrzebnych, a czytając Catulle Mendesa, wzruszał ramionami przy opisie wyczerpujących walk miłosnych.

— Cest idiot! — decydował zamykając książkę. On systematycznie wypijał rozkosz pocałunku tak jak swą przecyszczającą herbatę. Gdy nadchodziła chwila miłosnej schadzki, wyjmował z szafy koszyczek z drobnymi ciasteczkami i butelkę, przygotowywał ocet Bully'ego,

szpilki, puder i najspokojniej usiadłszy w saloniku, oczekiwał zjawienia się kobiety. Gdy spóźniła się cokolwiek i wpadła zadyszana, zmęczona, szepcząc słowa usprawiedliwienia, on spokojny, uśmiechnięty zdejmował z jej twarzy woalkę, którą się szczelnie osłaniała i mówił trochę ironicznym głosem:

— Cóż wielkiego! spóźniłaś się — to rzecz bardzo naturalna.

Po czym szedł ku drzwiom i uchylwszy je, rzucał do przedpokoju zawsze jedno i to samo zdanie:

— Karol! Nie ma mnie w domu! Z przedpokoju wydobywał się bezdźwięczny głos:

— Dobrze, jasnie panie! — i zasuwka drzwi wchodowych opadała z suchym łoskotem.

W ten sposób rozpoczynała się każda schadzka, w równie spokojny kończyła się cała miłośćka.

Seweryn bowiem zawiązywał stosunki jedynie z... mężatkami, mając w tym stały system, od którego nigdy nie odstępował. Były to najczęściej żony przyjaciół, dobrych znajomych, którzy, rozmarzeni chartreuse'ą lub koniakiem w czarnej kawie, z łokciami opartymi na stole, roztaczali tajemnice alkowy małżeńskiej, na wzór króla Candaula i w zamian za swą wiarę otrzymywali wprawdzie nie pchnięcie śmiertelne, lecz szczerbę w honorze i miłości żony. Seweryn bowiem skwapliwie chwycił za włosy każdą okazję i umiejętnie czynił legion kochanek z tych mężatek spragnionych nowości, ciekawych występku, a kryjących dyskretnie łzy i rozpacz w chwili zerwania. "Wybór jego padał zwykle na kobiety dbające o pozycję zajmowaną w świecie i miejsce w domu męża; wiedział, że tego rodzaju kochanka nie odważy się na sceny, ha ucieczki, na opowiedzenie w chwili podrażnienia wszystkiego mężowi... Wiedział, że gdy chwila stanowcza nadejdzie, chwila nieuniknionego zerwania, po chwilowej burzy przywitają się znów z uśmiechem i spokojem wobec zwróconych na nich czujnych oczów towarzystwa. Wspaniałomyślnie — podczas trwania miłości — pozostawiał wolność kobiecie, nie kontrolując stopunków z mężem — owszem, popychając ją nieledwie w objęcia smutnego rywala. — Trzeba mieć furtkę w razie wypadku...

Kilkakrotnie „furtka” ta okazała się deską ocalenia. Kobiety z uśmiechem wdzięczności przyznawały Sewerynowi słuszność, dziecko miało nazwisko i prawo do majątku, matka nie straciła względów, i szacunku świata, a prawdziwy ojciec usuwał się w cień, zacierając ręce!...

Jedna tylko żona urzędnika kolejowego stawiała mu się opornie i wprawiała go przez pewien czas w kłopot niemały swym głupim, sentymentalnym postępowaniem. Ale była to kobieta nie z towarzystwa, spotkana przez Seweryna w Alejach, w chwili nerwowego rozdrażnienia. Podbiła go od razu dziwnym spojrzeniem bladych, błękitnych oczów i twarzą Madonny. Gdy, wbrew swemu zwyczajowi, poszedł za nią i przemówił przyciszonym głosem — stanęła, spojrzała mu w oczy i wyciągnęła doń rękę obnażoną, na której błyszczała obrączka.

Seweryn rękę podaną ujął, nie mogąc zrozumieć, co go ciągnęło w ten wieczór wiosenny do tej źle ubranej i trochę pochylonej kobiety, narzucającej mu się nieledwie pod cieniem szumiących drzew.

Stosunek ich trwał parę miesięcy. Seweryn nie był nigdy w domu Anny, znał tylko jej życie z opowiadań kochanki. Wprędce znudziła go brakiem elegancji i cienkiej bielizny, a raziła zbytkiem uczucia, w którym dopatrywał się przesady.

Ona, zakochana do szaleństwa w tym wspaniałym mężczyźnie, którego każde zbliżenie mieszało ją i słodką rozkoszą przejmowało, była niezręczną jak każda zakochana kobieta. Przynosiła mu za gorsetem z grubej szarej dymy paki fiołków lub skrapiała włosy olejkiem peruwiańskim. Nosła niskie buciki z powyciąganą gumą i podwiązki pod kolanami.

W dodatku uparła się być mu wierną, wierną do głupoty i mówiła mu o tym bezustannie, kładąc głowę na piersi.

On, zdenerwowany, powtarzał słowo „furtka” po raz setny i przemyślał o sposobie zerwania z tą niewygodną kochanką, cichą i uległą, przysięgając sobie nigdy nie wykraczać z przepisanych granic postępowania. Pewnego letniego wieczora Anna, rumieniąc się i jękając, wyszeptała Sewerynowi do ucha tajemnicę, która ją radością przejmowała.

On drgnął cały i porwał się z miejsca.

— Co teraz zrobisz?

Ona spojrzała na niego słodko i uśmiechnęła się spokojnie. — Będę twoją do śmierci. Jutro dom męża opuszczę! Na czoło Seweryna wystąpiły krople potu.

— Dlaczego?

— Przecież teraz, jako matka twego dziecka, mieszkać z nim nie mogę...

— Dlaczego?

Nastąpiła chwila milczenia.

Głos nagle zamarł w piersiach kobiety, klęczała ciągle obok szezłonga, na którym leżały porzrzućane szpilki wypadłe z jej włosów, kapelusz i rękawiczki; twarz nagle pobladła zwróciła ku Sewerynowi, który przebiegał pokój wzdłuż i wszerz, potracając meble.

— A mówiłem o furtce, mówiłem tyle razy — ale cóż, pani chciałaś się bawić w sentymentalizm, w wierność! Tiens... c'est du propre! c'est mignon! ...

Z okrucieństwem mężczyzny, który widzi nagle porządek swego życia zakłócony niepotrzebnym zdarzeniem, wyrzucał z siebie Seweryn cały potok słów, które jak chłosta spadały na pochyloną głowę kobiety.

— Czyż to nie czyste szaleństwo było z mej strony — mówił dalej tonem, na jaki tylko niekochający mężczyzna zdobyć się może — czyż to nie była demencja brnąć dalej i nie przewidzieć, do czego mnie pani doprowadzić możesz! Ale ja umygam od wszystkiego ręce... To nie moja wina. Tirez vous de cette affaire vous meme... Voila!...

Stał tuż przed nią, pochylając nad nią swą maskę rozzłoszczonego „viveura”, mając wielką ochotę kopnięcia tej kobiety, która dawszy mu tak słabą i niewyraźną rozkosz, miała śmiałość wkraczania w wygodnie urządzone życie z dzieckiem w dodatku!

Nie, tego było za wiele! — wszystkie inne, te, które miał poprzednio, oznajmiały mu podobny wypadek z dyskretnym uśmiechem, a on — przybierał minę rozczulonego papy, wiedząc, że nic nie ryzykuje, i szeroko otwartą furtką może wyjechać, nie tylko wyjść naj-

spokojniej; ta jedna! — ta — głupia mieszcza — uparła się przy swej wierności; jakby on tego wymagał! ...

Bizantyjska lampa zawieszona u sufitu rzucała różnokolorowe, pokrajane światło. Przez zielone kamienie trupie prawie padały blaski.

W blaskach tych podniosła się nagle Anna, blada, z szeroko rozwartymi oczyma. I z włosami rozwianymi, z rękami naprzód wyciągniętymi ku drzwiom kierować się poczęła.

Seweryn postąpił za nią kilka kroków.

— Tirez vous de laffaire! ... — powtórzył, lecz ona, nie odwracając nawet głowy, otworzyła drzwi i zniknęła w ciemnej głębi salonu.

Po chwili trzask zamykającej się bramy doleciał przez półuchylone okno. Seweryn chciał biec za tą kobietą, której bladość i milczenie dziwnie nań podziały, lecz... egoizm przemógł. Z uczuciem niewysłowionej błogości usiadł na fotelu, oddychając ciężko.

Ach... umknął nie lada niebezpieczeństwa, kobieta wykręci się z tej matni, a on przysięga sobie nigdy nie bawić się w sentymeny, lecz czerpać dalej rozkosze w cudzych, a dobrze znajomych mu gniazdach. Czekał jeszcze dni kilka, sądząc, że Anna powróci lub parę słów napisze. Nic — milczenie zupełne.

Teraz Seweryn odetchnął pełną piersią. Uczuł się ocalonym rzeczywiście i na dobre.

Od tego zdarzenia upłynęło lat siedem.

Przez te lata Seweryn miał znów kilka intryg; a przechodzące przez Ogród Saski, uśmiechał się na widok małej dziewczynki, bawiącej się kamyczkami i kasztanami zbieranymi wśród żwiru.

Dziewczynka miała ciemne oczy i kręcone włosy Seweryna, a linia jej łydek wyginała się w charakterystyczny sposób.

Niańka, zapytywana o nazwisko rodziców malutkiej, odpowiadała uprzejmie:

— Państwo Wanderkraft. — A dziewczynka uśmiechała się do przechodniów uśmiechem, który przypominał chwilę najwyższej kokietery podbójczej Seweryna.

Czasem sama pani Wanderkraft siadała obok niańki i prezentując swe silnie rozwinięte biodra w obcisłej fularowej sukni, dozorowała zabawy dziewczynki.

Gdy Seweryn zbliżał się do ławki, kobieta uśmiechała się przyjaźnie pod purpurową osłoną rozpiętej parasolki i głośno przywoływała córeczkę.

— Sewerciu! przywitaj się z... panem!

Dziecko dygało wyciągając tłustą łapkę, a kobieta spoglądała pogodnie w twarz mężczyzny, który odpowiadał jej również tym spokojnym, prawdziwie męskim uśmiechem. Cudzołożna żona i jej współnik jak dobrze wychowani ludzie załatwili całą sprawę!

Furtka była otwarta.

Furtką tą wsuwało się kukułcze piskłę do cudzego gniazda.

Ainsi va le monde!

Pani Wanderkraft postąpiła w tym wypadku jak każda światowa i dobrze wychowana kobieta postąpić powinna. Dała dowód taktu i uszanowania własnej godności.

Dlatego Seweryn przeciągał ten stosunek i czuł się zupełnie zadowolonym.

i dziś — dziś — właśnie, kiedy wczorajsza schadzka powiodła się znakomicie, żołądek funkcjonuje wybornie, a żółte plamki pod lewym okiem znikają pod działaniem „Anti-Bolbosu” — dziś właśnie wymówiono mu mieszkanie...

— Nie! — cest du guignon! tien de plus.

I nachmurzony odrywa się Seweryn od kontemplacji własnej osoby, a przegiąwszy się w tył woła:

— Paul!

Spoza przymkniętych drzwi salonu odzywa się ochryply głos:

— Słucham, jaśnie panie!

I oto na progu, w szarawym oświetleniu, ukazuje się Paweł — w pantoflach i białym fartuchu, sięgającym mu aż pod brodę.

Jest to mężczyzna lat trzydziestu, wybladły i wychudły, obnoszący swą twarz zniszczonego rozpustą ulicznika w obramowaniu rudych rzadkich faworytów.

Seweryn w tej chwili przegląda się w lustrze, wyszczerzając zęby.

Paweł czeka na progu, zimny, spokojny, utkwivszy wzrok przygaśły w przeciwległą ścianę.

Wreszcie Seweryn zmienia pozycję i usiłuje dojrzeć maluchną plamkę czerwieniejącą się pod lewym uchem:

— Nic innego, tylko ta Klara... a prosiłem... prosiłem. — Paul!

— Słucham, jaśnie panie!

— Zobacz! co ja mam pod lewym uchem.

— Plamkę, jaśnie panie.

— Plamkę?

— Plamkę.

— Pewnie mnie... coś ukąsiło!

— Pewnie jaśnie pana coś ukąsiło?

— Daj kremu ogórkowego, może zniknie!

— Może zniknie, jaśnie panie. Nastąpiła chwila milczenia.

Seweryn wycierał szyję białą, tłustą masą, odchyliwszy dobrze kołnierz kurtki i flanelowej bleu de France koszuli.

Błady promień słońca przebił się w tej chwili przez chmury i, przyciemniony gazą rozpiętą w oknach, oblał żółtawym blaskiem tęgi i potężny kark zwycięzcy, triumfatora w zapasach miłosnych.

— Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Musimy się wynosić!

— Musimy, jaśnie panie.

— Trzeba szukać mieszkania! — Trzeba, jaśnie panie!

Seweryn ujął powiększające lustro i postąpiwszy do okna, bacznie się szyi przyglądał.

— Znika? Co? Paweł zbliżył się także.

— Znika, jaśnie panie.

— Przygotuj wodę!

— Dobrze, jaśnie panie.

Seweryn położył lustro i rozpinać począł kurtkę.

Paweł rozesłał na podłodze ceratę, po czym rozwinął i ustawił gumową balie, a przy niej rodzaj polewaczki z kauczukowym wężem.

— Peniuar wygrzany? — Wygrzany, jaśnie panie!

Seweryn powoli zdjął kurtkę i za chwilę tors jego muskularny, wspaniały, lśniący zabłysnął w półcieniu pokoju.

Promień słońca ślizgał się po tym różowym ciele o ciemnowych, sinawych tonach.

Wąska ścieżka kręconych włosów przecinała tors na równe dwie połowy.

Wtedy oczy Seweryna padły na leżące na ziemi na wpół rozgniecione ciastko. Zmarszczył brwi, jakby dojrzał coś nieprzyjemnego.

— Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Patrz!

Nagim ramieniem wskazywał dywan klęczącemu na ceracie sługi
SOWI.

— Sprzątnij!

Paweł na klęczkach posunął się po dywanie i podniósłszy ciastko, drugą ręką sięgnął po zostawione na sofie błękitne sznurowadło.

Po czym wstał i ciągle spokojny i niewzruszony, plecionkę dyskretnie położył obok szylkretowych szpilek w kącie toalety, a ciastko cisnął zrećźnie skrzeczącej na balkonie papudze.

* * *

Od dwóch tygodni poszukiwał Seweryn mieszkania.

Zrobił pięćset osiemnaście piętér i nie mógł zdecydować się na wybór.

Wszędzie bramy były zanadto widne, za wiele drzwi wychodziło na klatkę schodową, lokatorowie zdawali się zanadto ruchliwi.

W dwuznacznej pozycji, jaką Seweryn sobie w życiu obrał, były to rzeczy nadzwyczaj ważne. Do tej chwili lawirował szczęśliwie wpośród znieważanych mężów, którym ścisnął uprzejmie ręce i oddawał drobne usługi.

Nie miał ochoty poznać tragicznej strony medalu.

Wesoła wystarczała mu zupełnie.

Toteż szukał i szukał odpowiedniej bramy, w której cieniu mogłaby jak w przepaści zginać biegnąca do niego kochanka.

Paul ze swej strony dokładał, starań niemało. Obydwaj wieczorami schodzili się w sypialni, zniechęceni, pożółkli, ze skórą dziwnie na twarzy wciągniętą..

Snadź podobne forsowne przechadzki obu tym viveurom nie dodawały zdrowia.

I gdy Seweryn, kładąc się, owiazywał głowę fularem, twarz nacierał magnoliną, a ręce pastą kardynalską, spoglądał żałośnie na Paula, skraplającego mieszaniną octu toaletowego i wody kolońskiej firanki otaczające łóżko.

— Nic nie znalazłem — mówił jęczącym głosem;

— I ja także, jaśnie panie — odpowiadał lokaj.

— Rozpacz!

— Rozpacz, jaśnie panie.

I Seweryn jęcząc zakładał na twarz rodzaj maski irszanej; napojonej goldcremem, a faworyty podwiązywał długim kawałkiem fularu skropionym wodą portugalską.

— Może... jutro — bełkotał przez wąski otwór, wykrajany W szmacie irchowej.

— Może... jutro, jaśnie panie — odpowiadał lokaj. Tymczasem przechodziło jutro bez żadnego rezultatu i tak samo dni następne.

Pewnego jesienno popołudnia Seweryn zdenerwowany włókł się wzdłuż kamienic, zatrzymując się przed każdą wywieszoną kartą.

Wstąpił już do dwóch domów, pomimo że ulica nie przypadła mu do gustu.

Ruchliwa była, co chwila, przeleciała przez nią dorożka, to znów o kilka kroków grała katarynka wyjątki z „Carmen”.

Jakiś mały piesek usiadł na trotuarze i wył podnosząc do góry Spiczastą mordkę.

Seweryn dnia tego czuł się w dziwnym usposobieniu.

Obudził się z niesmakiem w ustach i w duszy.

Cała skóra go bolała na ciele i czuł nieledwie każdy włoszek swych faworytów, które dziś sterczały suche i bez żadnego połysku.

Usposobienie jego wewnętrzne było szare i znużone. Czuł mimo woli jakiś przesynt i wspomnienie ciała Klary, które go prześladowało, było mu wstrętne nad wyraz wszelki.

Spotkał ją w Saskim Ogrodzie przechodzącą z córeczką. Nie rozumiał, dlaczego coś go pchnęło ku dziecku, które było krwią jego krwi, jego własnym płodem.

Lecz — mała — rozkapryszona, zdenerwowana, odwróciła się, nie chcąc się przywitać z „panem”. Chciał nalegać, schylił się, aby ująć ją za rączkę, pragnąc dotknięciem się tego świeżego, dziecięcego ramienia obronić przeciw jakiejś tęsknocie, która go trawiła.

Lecz niańka ujęła dziecko, wołając:

— Sewerciu! patrz... tata idzie!...

Dziecko odwróciło główkę i wyciągnęło ręce w stronę nadchodzącego mężczyzny.

Seweryn cofnął się i przeszedł szybko, zamieniając lekki ukłon z przyjacielem.

Zaczął znów szukać mieszkania. Szedł prostując się z całej siły woli i przybierając obojętną minę.

Lecz piosenka „Garmeny” i wycie psa wstrząsnęły nim do głębi.

— Ach, te nerwy! — pomyślał.

Szybko wszedł do bramy, przy której widniała kartka.

Za chwilę dzwonił do drzwi parterowych, przed którymi leżała zużyta słomianka.

Drzwi otworzył mały chłopiec, najwyżej lat sześciu, dobrze rozwinięty, szeroki w ramionach, z karkiem doskonale osadzonym.

Otworzywszy drzwi, pochylił główkę, jakby oczekując wytłumaczenia.

— O mieszkanie... — wycedził Seweryn.

Chłopiec, stukając gwałtownie obcasami, zniknął w ciemni przedpokoju.

Za chwilę słychać było donośny głos dziecięcy:

— Mamo! ... jakiś o mieszkanie!

—To pokaż! — odezwał się głos kobiecy, z głębi mieszkania wychodzący.

Seweryn wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi wchodowe.

Zapach gotującej się brukwi i topionego masła uderzył go na wstępie.

— Kuchnia musi być blisko — wyszeptał z zadowoleniem.

Lecz nie miał już czasu oddawać się dłuższym uwagom nad rozkładem mieszkania, bo drzwi prowadzące do saloniku otworzyły się z impetem i w jednej smudze światła ukazał się chłopiec, a potrząsając energicznie głową, zawołał:

— Proszę pana za mną. Mamcia nieubrana, a tatki nie ma. Dzieci mają lekcję i nie ma nikogo starszego, tylko ja jeden.

Mówiąc, to, wydymał w dziwny sposób klatkę piersiową i uderzał się po niej z zadowoleniem.

— Salon! O! — wyrzekł wyciągając szyję —. niech pan wejdzie, choć pan zabłoci, nic nie szkodzi, jutro będą froterować!

Seweryn spojrział dokoła.

Dziwnym mu się wydawał ten „salon”, pełen szydełkowych kap i serwetek, które wszędzie czepiały się jak rój nocnych czepków

mieszczanki, opadłych na ciemną wełnę mebli, na jesionowe stoliczki, na trzcinę etażerek, na pudło nędznego fortepianu. Przed kanapą, na płaszczyźnie stołu pokrytego siatkową szarą serwetą, sterczała lampa, której podstawa tonęła w patarafce ze strzyżonej włóczki i szklanych owoców.

Mała, czworograniasta czapeczka okrywała szkiełko.

Chłopiec stał teraz na środku pokoju, rozstawiając nogi. Małe, szare oczy o stalowych błyskach utkwił w twarzy Seweryna, który z pustych ścian saloniku wzrok swój mimo woli przeniósł na źrenice dziecka. I przez krótką chwilę te dwie pary oczu o jednakowym, ciemnym a przejmującym połysku tonęły w sobie, jakby zlewając swe stalowe promienie w jedną chłodną, szarawą smugę.

Wreszcie Seweryn ocknął się pierwszy.

— Czy jest jeszcze co więcej? — zapytał.

— Jest, proszę pana, pokój mamy i taty, dziecinny, jadalny, kuchnia, pasaż i schowanko — recytował mały.

Przez uchylone drzwi, prowadzące do dalszych pokojów, wyjrzała mała dziewczynka.

Chłopiec przybrał poważną minę.

— Niech Maryi idzie do kuchni, do Magdaleny — wyrzekł mrużąc oczy, a odwróciwszy się w stronę Seweryna, dodał ze śmiechem: — moja siostrzyczka!

Malutka schowała się czym prędzej, nie omieszkawszy pokazać nieznanemu końca różowego języka. Chłopiec Wzruszył ramionami.

— Pan daruje, ale to jeszcze małe! — wyrzekł otwierając drzwi na roścież — proszę pana, jadalnia! ...

Seweryn przestąpił próg i stanął koło ściany, opierając się o nią plecami.

Przed nim, na sosnowym dość dużym stole, okrytym ceratą, stały talerze z grubego fajansu o żółtawych, gliniastych cieniach, grube szklanki zieleniły się w odstępach, serwetki starannie wyprostowane i pozwijane, wsunięte były w czarne, blaszane kółka.

Pod ścianą kredens, na wpół otwarty, z wysuniętym blatem, ukazywał ubogie wnętrze wypełnione blaszanymi puszkami cukru, kawy i herbaty.

Wielki bochenek chleba, świeżo napoczęty, rozkładał wśród masy okruchów swe ciemnawe wnętrze, okolone brunatną spieczoną skórą;

Pod oknem maszyna do szycia, na wpół przykryta sztywną merłą zszywanej spódnicy, i krzeselko wyplatane odsunięte na środek pokoju. Dokoła stołu kilka krzesel wyplatanych i dwa wysokie foteliki dziecinne z zasuwanymi linijkami. Na jednym poduszczyk czerwona perkalowa i przewieszony przez poręcz śliniaczek szydełkowy, nawleczony czerwoną tasiemką. Wszystko to jednym rzutem objął Seweryn. Jakieś dziwne przygnębienie ogarniało go wśród tych ścian pustych, przed tym ubogim stołem, pośród tej duszącej woni kuchennej i stukotu tasaka o stolnicę, dolatującego spoza drzwi źle przymkniętych.

Cała nędza rodzinnego życia, smutnego, pełnego poświęceń, prywatności i obowiązków — zdawała się spływać tu z trywialnością trosk codziennych. Tylko różowa i uśmiechnięta twarzyczka chłopca miała w sobie świeżość małego egoisty, zabierającego w swe płuca najzdrowsze cząstki powietrza, a w usta największy kęs mięsa i największy kawałek chleba.

I znów oczy Seweryna spoczywały na drobnej a dobrze rozwiniętej postaci dziecka, które, pogwizdując lekko, wyszarpywało z bochenka chleba kawałek ośrodka i maczając go w solniczce, zajadało ze smakiem. Seweryn przypomniał sobie, że dzieckiem będąc, lubił namiętnie chleb z solą i zakradał się przed obiadem do sali jadalnej, aby wyprosić u lokaja kawałek ośrodka.

Wspomnienie to sprawiło mu pewien rodzaj przyjemności.

Mimo woli uśmiechnął się do chłopca uśmiechem koleżeńskim, przyjemnym, porozumiewawczym.

Malec nie został mu dłużnym.

Jakby w zwierciadle odbił się na różanych ustach dziecka uśmiech mężczyzny.

To samo zadrganie nerwowe kącików, to samo zmarszczenie brody.

— To dobre przed obiadem — bełkotał chłopiec i uderzył się znów po klatce piersiowej, smarując przód flanelowej białej bluzki tłustymi rękami. Seweryn stał ciągle przy ścianie, obserwując dziecko. Poddał się bezwiednie pociągowi ku tej małej, kędzierzawej główce, kręcącej się przed nim w mgławym świetle dnia jesiennego. Chłopiec ten zaciekał go i śledzić wzrokiem za sobą kazał. Szare źrenice spod długich rzęs błyskały mu pożądliwie, gdy skubał ośrodek chleba... tęgi kark odsłaniał się z szeroko rozwartego kołnierza bluzy, kark o zarysach wspaniałego w przyszłości samca, podbijającego kobiety siłą sprawianej rozkoszy.

Na karku tym zatrzymał się dłużej wzrok Seweryna, zdawało mu się, że gdzieś już widział podobny szmat ciała, tylko większy, grubszy, porośły krótkimi włosami, mającący we mgle zestawionych umiejętnie luster... i osłonięty draperią białej flaneli.

— Teraz pokażę panu dziecinny pokój, później mamci i kuchnię! Z łoskotem malec szarpnął drzwiami i przed oczyma Seweryna ukazał się pokój podłużny, zastawiony pod ścianami małymi łóżeczkami, okrytymi kołderkami z pałowego wytartego kaszmiru. Duży stół, zarzucony książkami i zabawkami, czernił się na środku. Koło pieca suszyło się prześcieradełko, na ziemi leżała naga lalka, z której sypały się trociny.

Jakieś gorąco wilgotne panowało tu, wyziew mokrej bielizny i rozlanych na podłodze mydlin.

Pod stołem siedziała malutka dziewczynka, wydzierająca kartki z wielkiej książki.

Pod oknem na obdartym skórzanym koniu huśtał się czteroletni chłopczyk, chudy, anemiczny, wybladły.

Chłopiec oprowadzający Seweryna jak szalony rzucił się ku dziecku; kołyszącemu się na koniu.

— Złaż! To mój koń! Złaż natychmiast!

I silny, z pasją wyrytą na drobnej twarzyczce, strącał młodszego brata, który z pokorą dziwną zlażł z siodła, zaczepiając się powiązane sznurkami strzemiona.

Chłopiec, cały purpurowy, z krwią nabiegłą do oczów, rzucił się teraz pod stół i wyrwał dziewczynce książkę.

— Ty, oddaj, to moje!

Książkę rzucił na łóżko, po czym, porwawszy za łeb konia, wsunął go w kąt tuż przy łóżku, które zapewne było jego miejscem spoczynku.

Dzieci — milczące przytuliły się do siebie, nędzne, drobne, małe — poddając się brutalnej przemocy, jaką wywierał nad nimi ten chłopak, zdający się rządzić tu bezpodzielnie, brać pod swe panowaniewszystko, co było jeszcze do wzięcia w tej nędzy urzędniczej, w tych ubogich sprzętach, powleczonych kurzem trywialności.

Seweryn znów oparł się o ścianę i śledził wzrokiem drobną postać chłopca, który z wysiłkiem pakował konia za łóżko.

I zdawało mu się, że dziecko to jest mu doskonale znajome, zewidywał je codziennie dawniej i teraz odnalazł nagle wraz ze wszystkimi ruchami, tonacją głosu, karnacją skóry...

Wreszcie — rzecz dziwna, Seweryn odczuwał, jakby z jego wnętrza coś się oderwało i poruszało teraz w małych a silnych członkach tej istoty, nurtowało tę kędzierzawą główkę, objawiało się w suchych, urywanych zdaniach, wyrzuconych z tej klatki dziwnie wydętej pod cienką tkaniną białej flaneli.

Nagle — drzwi w przeciwległej ścianie otworzyły się na roścież i stanęła w nich kobieta okryta ciemnym flanelowym szlafrokiem, wiszącym luźno na wychudłym jej ciele.

Stanąwszy w ramie drzwi, które poza nią rozwarły się szeroko, ukazując profil łóżek okrytych brązowymi kapami i przedzielonych małą, ciemną szafką, wyciągnęła rękę ku hałasującemu dziecku.

— Maniek! — wyrzekła suchym, bezdźwięcznym głosem — nie hałasuj, wiesz, że mnie głowa bo...

Reszta słów uwiązała jej w gardle.

Dostrzegła Seweryna i obiema rękami schwyciła się za piersi.

Pobladała jak ściana i na chwilę oczy przymknąwszy, oparcia ciałem szukała.

On — poznał ją także, poznał od razu, jakkolwiek straszną zmianę te lat siedem naznaczyły na jej twarzy.

Był to szkielet Anny — tej Anny, która podniosła się wśród blasków bizantyjskiej lampy, milcząca i blada — i odeszła z płodem cudzołożnym w łonie, nie wymówiwszy ani słowa do swego współnika.

Teraz stali przed sobą, oboje bladzi — mając pomiędzy swymi ciałami całą przeszłość pieśczęt, zmysłowych porywów' i chwilę rozstania gorzką i gwałtowną, z początkiem brzemienności kobiety.

Wreszcie — ona odzyskała przytomność i podniosła głowę.

W wyblakłych jej oczach, otoczonych sinawymi cieniami, zadrgała cała gama nienawiści głuchej, tajonej wśród nocy bezsennych, na szafocie małżeńskiego łóża, wśród których, do krwi gryząc wargi, tała wyznanie prawdy, rwące się na usta w porywie bezdennej rozpacz i cielesnego obrzydzenia.

Wszystko to mignęło w jej oczach i padło na twarz Seweryna jak uderzenie biczem cienkim, a wiązany w silnie zadziergnięte węzły.
— Czego? — zapytała.

Mężczyzna milczał nie mogąc zdobyć się na odpowiedź. Ta kobieta wydała mu się w tej chwili straszną, tragiczną, wielką w swym gniewie.
— Czego? — powtórzyła. Czuł, że odezwać się musi.

— O... mieszkanie — wyjąkał pocierając jedną łydkę o drugą. Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

— To mieszkanie nieodpowiednie dla pana, wyjść proszę! ... Wyciągnęła drżącą rękę w kierunku drzwi.

Seweryn stał jednak ciągle, zmieszany, z oczyma spuszczone w ziemię.

— Wyjść proszę! — powtórzyła kobieta.

Lecz on powoli, nieśmiało wzrok swój od ziemi oderwał i na chłopca stojącego koło łóżeczka przeniósł.

— To... on? — zapytał cichym, ledwie dosłyszalnym głosem. Na twarz kobiety wystąpił rumieniec.

— Wyjść proszę! — powtórzyła przyciszonym głosem. Seweryn patrzył wprost już w twarz chłopca, który, odstąpiwszy od łóżka, znalazł się pomiędzy nim i matką, a wsadziwszy ręce w kieszenie od kurtki, łydki wygiął, pierś naprzód podał i z uśmiechem na Seweryna spoglądał.

I był to on, on sam w zmniejszonym formacie, on — egoista, on — samolub, on — brutalny samiec tyranizujący wszystko! Kukułcze piskłę zagarnęło gniazdo dla siebie, rozpierając się w nim z zuchwałością bękarta...

W oczach kobiety szklily się łzy, głowę oparła o ramę drzwi i ponuro patrzyła przed siebie.

Seweryn machinalnie rękę ku dziecku wyciągnął.

Sięgnął jak po swoją własność, zapominając, że w nikczemnym egoizmie swoim stracił prawo do istoty spłodzonej przez siebie i podrzuconej nieznanemu człowiekowi.

Lecz Anna nagle jak hiena porwała się ode drzwi i schwyciwszy dziecko jedną ręką, drugą, chudą i drżącą, wyciągnęła z wspaniałym gestem silnej w swym prawie kobiety.

Spoza zaciśniętych zębów wybiegło jedno jedyne słowo:

— Precz!...

I słowo to było tak silne, tak tętniące obietnicą niecofnięcia się przed niczym, iż Seweryn po raz pierwszy w życiu ustąpił nędznie przed wzrokiem kobiety, kurcząc się i cofając ku wyjściu jak znikczemniałe, wypędzone z cudzego legowiska zwierzę...

KRZYŻ PAŃSKI

Skąd się to wzięło takie biedne, krzywe, mizerne w tej rodzinie rosłej, rumianej, dobrze odżywionej, prosto sformowanej?

Dość, że było.

Miało to siedem lat, nie więcej, a wyglądało na cztery. Uszy były duże, przezrocyste, przypięte po obu stronach głowy trochę spiczastej (głowy garbatych ludzi).

Te uszy rzucały się przede wszystkim w oczy patrzącemu, a potem jeszcze jakiś dziwny wyraz całej twarzyczki, wyraz nieśmiały tych, co przechodzą powoli, cicho pod murami, co chcieliby, ażeby ich nie widziano.

Nasuwają na siebie anielskie skrzydła, które za nimi tworzą białe tło. Są jakby na tych skrzydłach innym ludziom podani. Ale ci inni ludzie tego tła nie widzą. Oni tylko dostrzegają duże uszy, pokręcone ciało i mówią:

— Tylko zdrowi są estetyczni!

I wystawiają butnie naprzód swoje klatki piersiowe, niepomni, że często w maleńkiej, ubożuchnej klatce, na pręciku, w kącie przypadł ptak o cudownym głosie, podnoszącym hymnem swym ludzkie dusze w wyżyny, gdzie ból jest rozkoszą, smutek — urokiem chwil samotnych, a radość olśnieniem niespodzianym, hałaśliwym i zło wróżącym.

— Tylko zdrowi są estetyczni!

* * *

Mietek był chory, zawsze chory. Gdy matka wyczuła krzywiznę kręgosłupa przez koszulkę „źle rosnącego chłopca”, podniósł się w całym domu lament i wrzask,

— On będzie garbaty!

Ojciec ze zmartwienia przez kilka dni nie chodził „do handelku” na śniadanie. Matka nie zastanawiała się nad kolorem wiosennego

en-tout-cas. Garbaty! Ich syn! Tak higienicznie chowany! Najlepszy dowód: inne dzieci. Cacka! Prościuchne lalki w garniturkach marynarskich, jak ametysty w złotej oprawie lśniących loków, albo dziewczynki białe boules de neige, całe śnieżne, różowe, z nóżkami-poematami w białych kamaszach. Aż wiało od nich zdrowiem.

Tylko — ten... Mietek.

A potem — nowy wydatek. Trzeba rozpocząć leczenie. Instytuty ortopedyczne i tam dalej. Prostują, wyłamują, wyciągają. Może co poradzą. I codziennie, najprzód z matką lub ojcem, potem mniej uroczyście, z guwernantką albo służką idzie szaro ubrany Mietek „do pana doktora”. Idzie cicho, milcząc, bez opozycji. W sali pełnej dziwnych przyrządów, stołów i pasów leżą małe dzieci, takie jak on blade i nędzne. Leżą, stoją, wiszą na pasach, rzemieniach, deskach, w smutnej atmosferze i żółtawym świetle sali o ścianach szarych, lśniących lakierem, nieprzytulnych.

Bez protestu na zaciśniętych ustach, same będące tragicznym protestem przeciw tej Grze wielkiej, rozpacznej, która się życiem nazywa. Mietek zajmuje pomiędzy nimi milcząc swoje miejsce. Czuje, że to jest jego świat — jego ludzie. To coś jakby odcięte od świata, nie złączone z nim niczym na chwilę. Zawieszają go na pasach. Zdaje mu się, że podniósł go ktoś na moment jeden ponad ziemię. Chwyta go zawsze strach i rozkoszne uświadomienie, że będzie tak sam, ponad wszystkich choćby, sekundę jedną. I gdy go zdejmą i postawią na ziemię, olśniony, ze wzrokiem jakby zmaconym, ma w swej twarzyczce wyraz tych, którzy spojrzeli na świat z oddali, z drugiej strony grobu i odsłoniły się przed nimi zasłony dziwne, na których były pomalowane tylko sceny z życia — podczas gdy prawdziwa treść była za tymi zasłonami ukryta.

* * *

Rodzice Mietka mają nawet szczerzy zamiar wysłać go nad morze.
— To mu dobrze stanowczo zrobi! — mówi ojciec. Matka mówi tak — i w myśli jej przesuwają się plaże Ostendy, Lida — wszystkich tych nadzwyczajności, o których czytała i słyszała tyle.

— Tak... trzeba — mówi z przekonaniem. I myśli:

— Czy ranny plażowy kostium będzie lepszy z gładkiej flaneli czy w paski.

— Ale i my pojedziemy! — wołają inne dzieci.

— Nie. Tylko Mietek.

— Dlaczego? . Przecież my jesteśmy grzeczne. My się uczymy, a on, próżniak, nic nie robi.

— Cicho! — mówi surowo ojciec, porając się z cygarniczką. Rodzeństwo z zawiścią spogląda na Mietka, który kurczy się i rad by wbił się w ziemię, aby już więcej nie było mowy o morzu, o tym wyjeździe, o niczym, co jego dotyczy.

A on błądzi po piasku i fale cichutko mu u nóg się kładą.

Nie boi się morza, nie boi się tej masy wody. Przeciwnie, zdaje mu się, że ktoś śpiewa kołysankę, a jakieś miękkie ramiona tulą go ku sobie.

* * *

Lecz rodzice Mietka oswajają się powoli z tą myślą, że jeden z ich synów będzie „do niczego”. Przestali go nawet posyłać do instytutu ortopedycznego — a tylko Mietek teraz sypia z jakimś dziwacznym przyrządem przyczepionym do nóg. Dziecko podaje sama wychudłe nóżki pokornie, jakby przepraszając, że musi trudzić kogoś, aby je torturował. I potem leży spokojnie, zaciskając oczy, udając, że śpi. Dokoła niego wre hałas gniazda układającego się do snu, on już pokończył swoje dzienne rachunki i teraz ma prawo do siebie samego. Chce myśleć o morzu, ale oto ściska mu się serduszko.

Rodzice nie mówią już o morzu.

Przestali.

A nawet jest mowa, że ojciec jedzie do Karlsbadu, a mama z najstarszą siostrzyczką do Krynicy.

O nim już nikt nie mówi.

Fale morskie będą lśnić srebrem, ale on już ich nie zobaczy. I ktoś będzie w oddali śpiewał kołysankę, ale nie dla niego i ramiona te przytulne... i to wszystko ...

Dzieci się teraz kłócą pomiędzy sobą. Zmówiły pacierze, a te raz się kłócą.

— Ja silniejszy...

— Nie, ja.

— O! Pytlasiński...

— Cyganiewicz...

Jak dwa koguty rozżarte, śmieszne, stoją naprzeciw siebie w swych długich nocnych koszulkach, podnieceni brutalnością wstrętną cyrkowych zapasów, a których wrócili. . Radzi by rzucić się ha siebie, bić, poniewierać po ziemi, aby wykazać swą siłę.

A. Mietek myśli cierpiąc tortury w swych przykutych do ciężarów nóżkach:

— A morze... morze... takie srebrne ... takie cudne... i żagle białe... i tak tam musi być cudownie... tak cicho.

* * *

Rodzice poszli do teatru. Wzięli ze sobą dzieci, bo grają „Jasia i Małgosię”. Miejsca w łoży było właśnie tyle, ile na rodziców i dzieci bez Mietka.

— On chory, on w domu zostanie.

— Dobrze, mamusiu!

Wylecieli z szumem, hałasem, wrzawą. Dziewczynki postrojone biało, chłopcy w nowych gamiturkach. Nie pożegnano się nawet z Mietkiem, który jednak grzecznie odprowadził ich do przedpokoju. Guwernantka wzięła go za rękę, manifestując tym, że się nim zaopiekuje. Mama w ładnym gazowym kapturku odwróciła się z uśmiechem ode drzwi.

— A niech Mieteczek będzie grzeczny.

— Już ja go przypilnuję — odpowiedziała panna Julia.

I gdy wszyscy wyszli, zamknęła drzwi, włożyła kapelusz i poszła do przyjaciółki, która obok mieszkała.

— Niech służące uważają na dziecko! - powiedziała surowo do sług, robiących piekło stróżowi o klucz od strychu „który się gdzieś podział”.

W pokojach Mieczek błędził koło szyb, z których padały smugi światła z ulicy i myślał:

— Co ja mógłbym zrobić złego? Dlaczego mamcia to powiedziała? Gdybym chciał być niegrzeczny, to nie wiem, jak się to robi! ...

* * *

Powoli — ta samotność, ta ciemnica salonu, jadalni, gabinetu ojca, w której ginęły tajemniczo meble, zaczęła go przejmować jakimś dziwnym wzruszeniem.

— W lesie jestem! — myślał — w lesie! Zgubiłem się... dokoła mnie drzewa... krzaki...

Usiadł na fotelu.

— Tak dobrze, tak cicho!

Jakaś radość spłynęła mu do duszy. Zrozumiał, iż życie ma dla niego cudowne chwile.

— Gdy dorosnę, będę zawsze tak sam! Będę taki szczęśliwy!... — Światło latarni zabłysło ukosem i oświetliło otwartą paszczę fortepianu, na którym najstarsza dziewczynka odprawiała codziennie łamańce.

— I któż mi będzie ładnie grał? — marzył dalej chłopczyk — ale grał cichutko, z daleka, nie tak, jak gra mamcia albo Tyńcia...

Wstał i jak lunatyk postąpił do fortepianu.

— O tak mi będzie grał...

Położył na klawiszach rączki. Nie znał ani jednej nuty. Więc uderzał na prawo i lewo, na oślep. Była to straszna kakofonia. Ale Mietkowi się zdawało, że jest to... melodia. Bo grała mu pieśń dziecięcych, prymitywnych ułud. Grał mu las, a potem cała przestrzeń jasna morza, poznaczona srebrem i bielą żagli. Grały mu fale w tych klekotach szarpanych i tłuczonych klawiszy. Była to wniebowzięta chwila złudzenia. A on sam stał nad brzegiem, jakiś silny, lecz nie tą siłą cyrkowych atletów, produkujących muskuły i klaszczących siebie po karku, lecz siłą, której nie rozumiał, a tylko odczuwał. Była ona Mocą tych, którzy potrafią

przez to samo, iż istnieją, przez dobroć w sobie zawartą, powstrzymywać innych od czynie-

nia źle. Właściwie oni są bohaterami życia, choć nikłym widmem suną po ziemi...

W Mietku wzrastała owa Moc. Oczy jego się rozszerzyły, pierś nieforemna podała naprzód. Fale mu się garną do stóp, fale-ludzie, gnane rozpędem losu-ziemi, zbuntowane gryzące brzeg, gryzące serca i istnienia. Lecz go wyczują, gdy do stóp mu przypadną, cofają się kornie i tylko jęczą z cicha...

Ręce Mietka dławiają klawisze takim jękiem, fortepian wyje, struny drżą.

— Tak płaczą... tak płaczą! ... — powtarza Mietek.

I nie wie, czy to fale, czy to jakieś tłumy ludzi garnących się dokoła niego.

— Chcieli być źli... nie dałem... grozili, chcieli zabijać... niszczyć... teraz się skarżą— Lepiej, niech płaczą...

Te fale, czy ci ludzie.

* * *

Nagle drzwi szarpnięte. Smuga światła. Brutalny głos sługi:

— Co Mietek wyprawia? Ci państwo z góry przysłali, co się tu dzieje!...

Mietek psuje fortepian... wali kułakami ze złości, że go do teatru nie wzięli... Szkaradny Mietek... — Zła, czerwona, opuszcza ciężko drzewo fortepianu na ręce Mietka. Jemu zdaje się, że go ktoś strącił z wielkiej wyżyny w szare, bezbrzeżne, beznadziejne i smutne.

Więc on walił kułakami w fortepian? Psuł klawisze? A jemu się zdawało! Idzie cicho do dziecinnego pokoju. Coś jakby go dławiło. Coś jakby zostawił za sobą, coś bardzo miłego.

— Nogi niech Mietek wyciągnie — założę Mietkowe frykasy — mówi drwiąco gruba, brzydka dziewczyna — a że Mietek rozwaliał fortepian, to będzie dłużej w nich leżał! ...

Na drugi dzień „państwo z góry” przysłali do rodziców Mietka długi list, w którym dowodzili, iż działy się straszne rzeczy, całe piekło, że dzieci waliły pięściami, a potem chyba kijami w fortepian, że wszystko się trzęsło... Zakończony był ten list słodko-kwaśną nauką co do chowania dzieci, czuwania troskliwie nad dzieciarnią, i ostrzeżeniem, że jeśli się to jeszcze raz powtórzy, uciekną się ci państwo do „innych środków”, aby sobie spokój zapewnić.

Rodzice Mietka czuwali bardzo pilnie nad tym, ażeby mieć nieposzlakowaną opinię ludzi cichych, doskonale wychowanych i ułożonych. Rozpacz ich była wielka.

Załamali ręce i patrzyli na siebie.

Przez uchylone drzwi widział ich Mietek i tchu nie miał ze strachu i smutku.

Wreszcie przemówiła matka, cała różowa w fałdach szlafrocza koloru brzoskwini:

— Będziemy mieli z tym dzieckiem! Będziemy mieli! ... Och, jak nas Pan Bóg pokarał! ...

A ojciec, goląc się starannie, odrzucił:

— Co chcesz moja droga! ... Garbaci są złośliwi, to dlatego.. „ A matka z westchnieniem dodaje i rezygnacją:

— Krzyż Pański...

I pudruje się welutina ...

KOZIOŁ OFIARNY

Pan Wentzeł zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

— Proszę o spokój! — wyrzekł ochrypłym głosem.

— Oko brandeburskie! — odpowiedział natychmiast Julusiek.

— Z perską źrenicą — dorzucił Marian, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzei podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najeżonym włosom, i spojrział na porozkładane na krzesłach dzieci.

— Proszę o spokój! — powtórzył, a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

— Patrzcie!... panu „Wentzlemu” spuchła z lewej strony twarz — zawołał Julusiek mrużąc powieki.

— To od tych papierosów, które po kryjomu pali, a nam nawet zaciągnąć się nie da — odparł flegmatycznie Marian, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

— Nie palę papierosów — wyrzekł energicznie — nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Marian wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

— Nie palisz pan? — zapytał wydymając czerwone i pełne policzki. — Phi!... to taka prawda, jak to, że pan atramentem dziur w butach sobie nie czernisz...Zaprzecznij pan temu!

— Zaprzecznij pan temu! —zaskrzeczał jak mały psiak Julusiek i w ekstazie triumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Marian wciąż kołysał się na krześle, patrząc spod oka na nauczyciela. Pan Wentzei był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj, smarował rano bielące się wśród czarnej skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu.

Milcząc ujął w rękę jedną z ciemnooprawnych książek, których stosy leżały na stole.

— Zaczniemy wykłady od „Historii świętej” — wyrzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym triumfem i cały, wlaźł na stół, strącając zabłoconymi nogami książki i zeszyty na ziemię.

— Wziąłeś pan patyk... o, tak! ... umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

— Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcję...

— Wielka będzie szkoda... — mruknął Marian. Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

— Jedź pan — wyrzekł — mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdurzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać kartki ozdobione rycinami.

— Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów — zaczął poły kając ślinę
— wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

— Musiała to być szykowna kobieta — mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie. — Prawda, Marian?

Lecz Marian zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela — zapytał.

— Jak pan sądzi? Brunetka była? Co?...

— Nie wiem! — odparł nauczyciel.

— Daj pokój, Marianie! ... — wrzasnął Julusiek, — Albo on się zna na tym!

— Hm! ... — odrzekł Marian — jest przecież mężczyzną.

— E! Taki tam! Boże się zmiłuj! ... Pan Wentzel zerwał się z miejsca.

— Cicho! — krzyknął uderzając książką o stół — cicho!... bo...

Głos mu uwiązł w gardle.

Marian i Julusiek., mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.

Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ściśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął połykając łzy i upokorzenie.

Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do nosa, tyranizowało go i kark mu do ziemi chyliło.

Co począć miał?

Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże, wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...

Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony...

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.

— Może byś pan kończył lekcję! ... — odezwał się nagle Marian, znudzony milczeniem, nauczyciela.

— To się wie — dorzucił Julusiek — pan zbijasz baki jak jaki radca. Nic pan w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko spuchnie! — Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył się do stołu. Na twarzy jego malowała się

smutna rezygnacja. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

— Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął...

— Albo to prawda — przerwał Julusiek uśmiechając się sceptycznie. Marian poprzestał na ironicznym wzruszeniu ramionami. Pan Wentzel ciągnął dalej:

— Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

— E, to taka prawda jak to, że Ewa jabłko zjadła... — przerwał znów Julusiek.

— Pokonani zostali... — brzmiał głos nauczyciela. Teraz Marian poruszył się na krześle.

— A Adam ogryzkiem się udławił... — wyrzekł śpiewającym głosem.

— I gdyby nie Dalila, która...

Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały jedynie chyba dla niego samego. Dzieci, podbudzone w swej przekornej wesołości, jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie legendy, podawane im przez nauczyciela za fakta. Dla nich, dla tych rozbudzonych przedwcześnie umysłów, nie istniał już żaden urok naiwnej wiary — ze śmiechem i drwinami szarpali treść Pisma, nie mogąc jeszcze zrozumieć przerośnięci.

Pod gradem tych słów wyziewanych przez drobne, dziecięce usta, które zda się stworzone były do szeptania modlitwy — pan Wentzel siedział przybity, bezsilny — z głową na piersi zwieszoną. Codziennie powtarzało się to samo.

Codziennie nauczyciel i jego słowa były przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.

Julusiek leżał już teraz na stole, wywijając z radości nogami, Marian napawał się spokojnym triumfem i pełen nieopisanej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

— Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

— Albo z tym Dawidem!

— A Zuzanna? Co?...

Płomienie przebiegły zmysłową twarz Mariana.

— Tak! Tak! ... Zuzanna! ... to pyszny kawał! ...

I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

„Hopsztynder! ... Madaliński

Fiuta! ... z kopyta! ... Szara, ciach, ciach! Tańczy sobie Z Barabaszem mazura! ..."

— Proszę o spokój! ...— jęczy błagalnie pan Wentzel.

„Hej kolęda!... kolęda!...

Podobał się Jewie! Jeździ na cholewie,

A bosu go znać! ... znać!... znać! ..."

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

„A bosu go znać! ..."

Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

— Co się to dzieje? — pyta pani domu, chuda, płaska blondynka, nosząca na schylonych ramionach fałdziste szaty wdowie.

— Cest atroce! — odzywa się druga odpinając żwawo guziki zniszczonego płaszczyka.

— Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego?! Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty. Czuje, że wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

W przekonaniu matki — „dzieci" są trochę rozpuszczone, ale ostatecznie można na nich lekarstwo znaleźć i do posłuszeństwa doprowadzić.

Wprawdzie ona sama nigdy dokazać tej sztuki nie mogła, ale... przecież... pan Wentzel jest mężczyzną! Powinien umieć nakazać szacunek dla swoich słów i osoby.

Więc — słodko-kwaśnym głosem mówi to wszystko, a słowa jej jak uderzenia bicza smagają zboląłą głowę nauczyciela.

Tak! Tak! .. pani ma zapewne rację — każdy inny na jego miejscu poradziłby sobie z pewnością, tylko on! on! Nie wie, nie umie poskromić swych uczniów, nakazać ciszę i potrzebny spokój.

— Uważasz pan... — ciągnie dalej pani Szymczyńska, a głos jej płynie łagodnie jak szmer strumyka — Julusiek i Marian są dzieci wyjątkowe, należy więc z nimi postępować w wyjątkowy sposób. Tymczasem pan! Wyjątkowe dzieci z niezrównaną ironią spoglądają na pana Wentzla, który zmieszany, drżący, spłoniony — szorując nogami po podłodze, ustępuje przy stole miejsca guwernantce, która, wytarty płaszczyk

ostrożnie na łóżku Julusia złożywszy, przystępuje do krzesła z bardzo wojowniczą miną.

Matka tymczasem zachwyconym wzrokiem ogarnia pełne policzki Mariana i żółtą głowę Juluśka, który zdecydował się wreszcie zsunąć ze stołu i usiąść na poręczy krzesła.

— Tak! Tak! Wyjątkowe dzieci! — powtarza machinalnie i po bladych jej ustach przebiega uśmiech zadowolonej macierzyńskiej próżności.

Pan Wentzel pochyla pokornie głowę i odwróciwszy się, drżącymi rękami szuka w pudełku, zastępującym mu szafę, czystej chustki i swej wytartej portmonetki. Pudełko to stoi pod jego łóżkiem, biednym, smutnym posłaniem opuszczonego wyrobnika, narzuconym dla d e c o r u m szafirową kapą, stanowiącą własność pani domu, którą skromny kocyk biednego chłopca raził i harmonię przyzwoitego umeblowania dziecinnego pokoju psuł zupełnie.

W pudełku — pan Wentzel nie znajduje chustki, ale za to wydostaje zdechłą mysz, uczepioną przy zameczku portmonetki, w której kilka miedziaków się kołacze. Jest to sprawka „wyjątkowych” dzieci, które duszą się ze śmiechu na widok bladej twarzy nagle twarzy pana Wentzla.

Wiedzą o tym, że pan Wentzel boi się konwulsyjnie myszy i udanie się rozkosznego figla uczuciem błogim napętnia ich serduszka.

Lecz siedząca przy stole Francuzka marszczy brwi i groźnie, podniósłszy rękę do góry, woła ochrypłym głosem:

— Attention, sales gamins! ou je vais vous ficher des claques!

Chłopcy milkną i kołyszają się na krzesłach z mniejszym niż zwykle zapalem. Matka zaś przesyła dyskretny półuśmiech w stronę Francuzki, która przesłicznym żargonem z Montmartre rozpoczyna wykład greckiej mitologii.

I powoli fałdzista suknia matki-wdowy znika we drzwiach, spoza których dolatuje wystukiwane na fortepianie jakieś „Reverie” Aschera. Pan Wentzel tymczasem szamocze się ze zdechłą myszą, starając się odczepić ją od portmonetki. Pot pokrywa mu skronie, wyraz wstrętu maluje się w jego smutnych, wielkich oczach.

Trwa to długą chwilę — dzieci ciągle spod oka obserwują nauczyciela, triumfując wewnętrznie.

Wreszcie Julusiek dłużej wytrzymać nie jest w stanie.

— To ci pan Wentzel zdeseniał! ... — woła podrywając się na krześle.

— Jak karaluch w tataraku!... — dorzuca śpiewająco Marian.

Lecz Francuzka uderzeniem pięścią w stół przerywa wybuchy radości miłych chłopczyków.

— Taisez vous, tas des salauds! — I nagle, sięgając do bocznej kieszeni sukni, wydobywa dość duży rewolwer, którego otwory pozaklejane są umiejętnie kulkami z chleba.

— Na! — mówi kładąc rewolwer na stole — fespere, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire! ...

I dalej ciągnęła wykład przy wzorowej ciszy ze strony obu chłopców, po których twarzach przemknął nawet cień szacunku.

Pan Wentzel tymczasem uporał się z myszą i wzięwszy ze stolika wytarty i zrudziały kapelusz, gotował się do wyjścia. Z rodzajem zazdrości spojrział na zniszczoną twarz Francuzki i na leżący na stole rewolwer.

Tak! Widocznie inni ludzie posiadali dar wpływania dodatnio na te... wyjątkowe dzieci — on jeden tylko nie, on jeden! ...

Stłumiwszy westchnienie, ujął cicho za klamkę i wysunął się z pokoju.

— Junon, devoree par la jalousie, epiait Jupiter... — mówiła Francuzka ochryplym głosem, wykrzywiając przy tym swą twarz na kształt maski kłowna — et Jupiter aimait /o...

Zagłębiła się teraz w miłostki Jowisza z całą lubością bulwarówki; po jej ustach igrał od czasu do czasu uśmiech, a ręka machinalnie poprawiała rzadką na czole grzywkę.

Julusiek, trochę znudzony, gonił czasami migające po suficie słoneczne plamy i usiłował zwinąć język w łuk, zwany „klops”. Tylko

Marian, zasłuchany w słowa Francuzki, ślizgał się wzrokiem po jej piersi, rysującej się dość wyraźnie pod opiętym stanikiem. Patrzył, oczy mrużył i usta wydymał...

— Chwilkę, panie Wentzel, proszę tylko o krótką, chwilkę!__

I Ewelinka powstawszy od fortepianu potrząsnęła głową ubraną w całe pęki loków.

— Gdzie pan uciekasz? Nigdy nie masz czasu... a ja tu samą tak siedzę! ...

Ostatnie słowa podkreśliła znacząco powłóczystym spojrzeniem.

Pod wpływem tego spojrzenia pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej niż na widok myszy.

O! Gdyby wiedział, że Ewelinka obecnie „marzy” w salonie i fortepian...

„gniecie”, jak mówił Julusiek — byłby z pewnością umknął przez kuchnię, choć i tam kucharka witała go niedwuznacznym mruczeniem i dowodzeniem, że „rosół się jej utrzęsie w garnku, skoro choroba pana Wentzla bez kuchnię niesie” ...

Lecz pan Wentzel stokroć wolałby już narazić się na gniew kucharki, niż poddawać się magnetycznym spojrzeniom Ewelinki, dopełniającej w ten sposób pensyjnej edukacji i próbującej siły swych wdzięków na nieszczęsnym nauczycielu swych braci.

— Zagram panu Aschera... — wyrzekła sznurując dość duże usta — przewracaj mi pan kartki...

Pan Wentzel rozpaczliwie zaczął przestępować z nogi na nogę,

— Chcę iść... na pocztę — wyjąkał cichym głosem.

— Poczta nie ucieknie — szeptała panna przechylając się w łuk dla uwydatnienia wypukłości bioder — a wreszcie, ja proszę!__

Ostatniemu słowu towarzyszyło znów wymowne spojrzenie.

W chorej piersi pana Wentzla serce zabiło gwałtownie, krew uderzyła mu do głowy i czerwonym płomieniem oczy zasłoniła.

Ewelinka uśmiechała się zadowolona. Chciała doświadczyć, czy „powłóczyste” spojrzenie „działa” i przekonała się, że istotnie jest to dobry lep i nie kosztujący zbyt wiele zachodu.

Lecz pobudzona w swych doświadczeniach kokieteryjnych, pragnie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

— Pan mnie unika, panie Wentzel — zaczyna znowu, grając dość fałszywie „mokturno” — pan mnie unika, o! ja to czuję! ...

Pan Wentzel nie śmie zaprzeczyć. Stoi jak słup soli, zaciskając konwulsyjnie pięści. W gardle czuje dławienie, usta mu drżą nerwowo.. Tymczasem dziewczyna przechyla głowę i mrużąc lekko oczy, wpatruje się w swą ofiarę.

— Pan ode mnie ucieka, a ja cierpię! ...

„Nokturn” rozplywa się w przyciszonym akordzie. Ewelinka z wdziękiem opiera głowę o pulpit i pozostaje w tej pozycji chwil kilka, żałując, że nie może widzieć siebie samej i ocenić w całej malowniczości sytuację, w której się znajduje.

Pan Wentzel tymczasem mieni się na twarzy wszystkimi kolorami; tęczy. Boże mój! ona..... przez niego cierpi, a on stoi jak wkuty w dywan, nie mając siły, aby powiedzieć słowo na swoje usprawiedliwienie! ...

Ewelinka obserwuje go spod oka.

Cieszy się serdecznie rozpaczą wrytą na chudej twarzy chłopaka.

Cierpi! Mężczyzna cierpi z jej powodu.

O radości!

Me wie jednak, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Czy, podawszy rękę, zmusić go do ukłęknięcia, czy oddalić się jak „senne zjawisko”, pozostawiając po sobie „szmer jedwabnej szaty”.... Wybierała to drugie, odkładając triumf zupełny na później i zerwawszy się z wdziękiem z taboretu, przebiega salon z szelestem świeżych spódniczek, a odwróciwszy się na progu, rzuca osłupiałemu! Wentzlowi dwa słowa:

— Do wieczora! ...

Lecz scena ta ma świadka w osobie matki-wdowy, która suwa się jak cień po całym mieszkaniu, udając gorliwie wypełnianie swych obowiązków.

Przed wrytym w ziemię Wentzlem zjawia się teraz nagle surowa, sztywna, pełna godności

— Co pan tu robisz, panie Wentzel — pyta majestatycznie — proszę się nie zapominać! Nie za-po-mi-nać! ...

I odwraca się, jakby z jednej sztuki wykuta, owijając nogi nieszczęsnego nauczyciela w fałdy swej długiej szaty.

Pan Wentzel skłania się nisko i cofa się tyłem w stronę przedpokoju.

Otwierając drzwi słyszy brzęk szkła i odwróciwszy się dostrzega Justysię, pokojówkę, strącającą szczotką pogruchotane kinkiety.

— Wszystko przez pana — mruczy pokojówka — szarpnąłeś pan drzwiami, że się we mnie wszystko zatrzęsło...

Pan Wentzel na palcach sunie przez przedpokój.

— Czysto jak zmora, albo hałasuje, albo milczkiem lezie...

Pan Wentzel przy drzwiach prowadzących na schody podnosi zasuwkę i ujmuje klamkę.

Justysia, oparta na szczotce, patrzy z pogardą na jego wytarty surducik i wąskie ramiona.

To ci mężczyzna! — szepce podciągając nosem. — Ni do Boga, ni do ludzi... Pan Wentzel gorączkowo zaczyna zbiegać po schodach.

Tymczasem w pokoju Ewelinki cicho odbywa się scena. Pani Szymczyńska uznaje za stosowne przestrzec córkę przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża pozostając sam na sam z mężczyzną.

Lecz Ewelinka smaruje sobie nos kremem Simona i pogardliwie wzrusza ramionami.

— Z jakim mężczyzną mnie widziałas? — pyta odymając usta.

— Z panem Wentzlem! ...

— A!...

— No ... zaprzeczysz temu, że nie byłaś z nim przed chwilą... w salonie — mówi jakając się matka, której zimna krew Ewelinki i jej wzgardliwe miny prawie od chwili urodzenia córki imponują i pewność siebie odbierają.

Ewelinka teraz pudrem Simona bieli się na potęgę. — Byłam... — odpowiada wreszcie — byłam, ale taki pan Wentzel przecież się nie liczy...

— Przecież jest mężczyzną... Ewelinka spojrzała na matkę z litością.

— Mężczyzna? ... to nędzna imitacja — nie żaden mężczyzna! ... I poszła odwijając z cienkich obłonek mydło Simona, mające własność „udelikatniania naskórka”.

„I ftobie jednym czała nasza nadzieja, synu najmilszy, com cię własnymi piersiami wykarmiła i sboleniem sercowym wyhodowała...”

Pan Wentzel rękę przesunął po oczach, bo jakaś mgła wilgotna źrenice mu przysłaniać poczęła. Ten kawałek grubego, ordynarnego papieru, zakreślony krzywym i niewprawnym pismem, szarpie mu duszę na kawałki.

Odebrał przed chwilą z poczty ten list od matki, ubogiej sklepikarki w małej podgórskiej mieścinie, gdzie i on spędził swe dziecinne lata. Gdy listy przychodziły dawniej do domu pani Szymczyńskiej — „wyjątkowe” dzieci na dobre bawiły się „koszłonami”, z jakich złożony był adres. Od pewnego czasu więc pan Wentzel odbiera listy od matki z biura pocztowego i siada w małym ogródku, otaczającym gmach pocztowy, dla odczytania i odcyfrowania hieroglifów, z jakich się zwykle listy te składają. I teraz siedzi na wilgotnej ławce, tuż pod krzakiem bzu, który dopiero pączki wypuszczać zaczyna. Dokoła kilka chudych drzew wznosi swe bezlistne gałęzie, pies jakiś błąka się po trawnikach, grzebiąc łapami w czarnej ziemi, poprzecinanej wąskimi paskami zieloności.

W powietrzu unosi się ciepła wilgoć, która piersi smutkiem tłoczy i moc wspomnień nasuwa. Pan Wentzel raz jeszcze powoli list przeczytał, po czym, pochyliwszy na piersi głowę, myśleć począł.

W nim jednym cała nadzieja!

Cała nadzieja tych dwojga starców, zgiętych od pracy, nędzy i smutku! Jak w tęczę tak patrzą w niego ci rodzice, którzy, odmawiając sobie kawałka mięsa, chwili spoczynku — do szkół go wysłali i teraz czekają plonów z tej mozolnej, ciężkiej pracy.

On wie, on to czuje, że jemu ustawać w pracy nie wolno, że wszystko, co znosi w domu pani Szymczyńskiej, nadal znosić powinien, bo ma ką, w którym stoi łóżko jego, ma dach nad głową, bo łyżka strawy, która mu nieraz przez ściśnięte gardło przejść nie może — trzyma go przy życiu — jego i tamtych dwoje...

I widzi ich w czarnej jamie sklepika pomiędzy workami kartofli, beczką nafty, pękami drzazg, widzi ich schylone postacie, słyszy kaszel ojca, stękanie matki, woń stęchlizny i wilgoci owiewa dokoła...

Biedni! Biedni starzy! ...

Lecz on? On sam czyż nie cierpi, czyż te upokorzenia, te tortury, które codziennie z Julusiem i Marianem przebywa, te noce bezsenne spędzone nad książką, te ranki, wśród których znużone ciało domaga się chwili snu, te zaparcia się wszelkich uciech młodości, uśmiechów, swobodniejszej myśli! ... czyż to się zliczyć daje?

Zresztą, dość spojrzeć na niego, gdy tak siedzi, nędzny i blady, W jasnych promieniach wiosennego słońca. Twarz ma żółtawą z zielonawym, prawie

trupim na skroniach odcieniem, piersi wklęsłe, plecy wypukłe, nogi wychudłe.

Jest brzydki, nędzny, śmieszny — wie o tym, czuje to i jest bardzo nieszczęśliwym. A jeszcze w dodatku serce mu bije gwałtownie i coś się przed nim majaczy, jakiś uśmiech dziewczyny, jakiś akord „nokturna”, zasłyszanego przed chwilą...

Wszystko to gnębi go i dręczy nad wyraz.

Ciasna klatka piersiowa nie może pomieścić tylu wrażeń, które razem z ciepłą wonią wiosenną do jego piersi się cisną. Coś go dławi w gardle, oddech mu tamuje. O! Ta wiosna!... czyż ona istnieć powinna dla takich jak pan Wentzel nędzarzy?!... Pies, płaczący się po trawniku, zbliżył się teraz do ławki i przed nogami Wentzla przesuwając się począł. Był tak jak i Wentzel nędzny, wychudły i oddychał ciężko. Chłopiec nachylił się nad zwierzęciem i brudne jego kudły delikatnie gładzić począł. .

Bezdomne zwierzę oparło łeb o kolano człowieka, wpatrzyło się w bladą twarz, pochyloną nad nim i nagle przeciągle zawyło.

Wówczas z ciemnych, smutnych oczów pana Wentzla stoczyły się dwie wielkie łzy...

Gdy „wyjątkowe” dzieci weszły do salonu wraz ze swoim nauczycielem, kilkanaście osób na wzór manekinów zapełniało fotele i kozetki. Był to jour fixe i pani Szymczyńska uważałaby sobie za straszne uchybienie, gdyby przynajmniej ze sześć brzydkich jak noc panien, takąż ilość wychudłych mężczyzn i odpowiednia liczba mam nie wynudziła się wśród ścian jej salonu.

Pan Wentzel wprowadzał zwykle swych uczniów drżąc na myśl wystawienia na światło licznych kandelabrow wyplamionego tużurka i gumowych kołnierzyków.

Była to dla niego najcięższa chwila w całym tygodniu.

Zwykle Marian i Julusiek, ukłoniwszy się gościom, zwracali się z dowcipnymi uwagami w stronę swego kozła ofiarnego.

Lecz dziś pan Wentzel był stokroć więcej zmieszany niż zwykle. List matki, poranne przejście z panią domu, a wreszcie scena z Ewelinką odebrały mu resztę przytomności. Ewelinka w gronie panien rozpoczęła właśnie zajmującą rozmowę emancypacji kobiet, pragnąc ją oprzeć na całkiem nowym gruncie, bo na darwinowskiej przemianie gatunków.

Ewelinka lubiła popisywać się ze swą „głęboką wiedzą”, nie zaniedbując przy tym powłóczyстых spojrzeń. Wypróbowała je rano na panu Wentzlu, była więc pewna swego gradem ognistych spojrzeń obsypywała młodziuchnego blondynka, który jak wiśnia rumienił się i obrywał guziki u rękawiczek. Pan Wentzel, wciśnięty w kąt, stał opierając się plecami o ścianę. Ponad nim płonęły świecę kinkietu i oblewały go złotawym blaskiem i kroplami stearyny. Marian zajął jedno z lepszych miejsc tuż

obok dobrze wydekoltowanej mężatki i włożywszy ręce w kieszenie, patrzył i usta wydymał.

Julusiek zatrzymał się chwilę przed panem Wentzlem.

— Cóż pan tak tkwi koło ściany? Nie może pan usiąść? ...

Pan Wentzel obejrzał się za fotelem, czując, że parę osób zwraca na niego uwagę.

W pobliżu właśnie stał wspaniały fotel, obrzucony makatą. Pan Wentzel osunął się na niego machinalnie. Julusiek wzruszył ramionami.

— Na fotelu? — zaskrzeczał podskakując na jednej nodze — jak jaki obywatel? ... nie możesz pan na krześle? ...

Osoby siedzące bliżej zaczęły się uśmiechać.

Julusiek uczuł, że odnosi sukces, i podniósł głowę z prawdziwym triumfem.

Pan Wentzel zacisnął usta i nie śmiał oczów oderwać od ziemi.

Wniesiono herbatę.

Julusiek porwał z tacy filiżankę i zbliżył się z nią do nauczyciela.

— Napij się pan herbaty! — mówił pakując się na kolana Wentzlowi — wyglądasz pan jak śmierć angielska... pij pan...

I potracił filiżankę, wylewając gorący płyn na ręce i tużurek Wentzla.

— Potem powiedzą, żeś się pan u nas zagłodził... — dodał wykrzywiając się jak stary pajac.

Pan Wentzel ujął filiżankę i oglądał się za łyżeczką.

— Czego pan szuka?

— Łyżeczki!

— A to po co?

— Zamieszać!

— A nie możesz pan palcem?

I zląwszy z kolan nauczyciela, „wyjątkowe” dziecko zmieszało się z tłumem gości depcząc po jedwabnych trenach dam i lakierkach mężczyzn. Pan Wentzel pozostał w swoim kąciku z filiżanką herbaty w ręku.

Przed nim jakaś tęga brunetka prezentowała swą pełną szyję w oświetleniu płynącym z góry. Jej obnażone ramiona, fałda ciała na karku, fałda pełna tajemniczego cienia, mieszała pana Wentzla i napełniała jakąś bojaźnią. Sam, nędzny i chudy, lękał się dobrze rozwiniętego kobiecego ciała. Zapach wydzielający się z sukien brunetki odurzał go do reszty.

Przy tym głos Ewelinki, donośny, trochę nosowy, jej śmiech nerwowy, nadto dobrze „ułożonej” panny, wstrząsał mu serce. Uczuł się bliskim zemdlenia. Nagle z tego półsnu zbudził go skrzeczący głos Juluśka.

— Czyś pan kiedy kochał?

To wyjątkowe chłopię w ten sposób interpelowało rumianego blondynka, siedzącego obok Ewelinki. Mimo woli rozmowy ucichły. Julusiek miał własność śmieszenia całego towarzystwa, oczekiwano na coś bardzo dowcipnego.

Malec uczuł się panem sytuacji. . Potrzęsnał żółtą czupryną i rozstawił szeroko nogi.

— No! powiedz pan, czyś już się kochał?...

— Nie... — wybąknął blondynek — jestem jeszcze za młody... Julusiek szeroko otworzył oczy.

— Phi! — skrzeknął — a pan Wentzel młodszy od pana, a już się kocha. Wszystkie oczy zwróciły się ku nauczycielowi, który otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz głosu mu zabrakło.

— Ja bym panu powiedział, w kim — ciągnął dalej Julusiek — ale uprzedzam pana, że oni mnie zaraz za drzwi wyrzucą, bo prawdę powiem. O! Jewelinka i pan Wentzel to się mają ku sobie...

Purpurą oblała się twarz Ewelinki.

— Panie Wentzel! — zawołała drżąc cała ze złości — proszę Julka wyprowadzić i zamknąć się z nim w dzieciennym pokoju...

Pan Wentzel podniósł się, czepiając poręczy fotela. Żyły mu na skroniach nabiegły, wyglądał jak pijany.

Chciał podejść do Juluśka, lecz malec szedł już ku drzwiom, dumny, zadowolony z uczynionego wrażenia, mrucząc ciągle:

— A co? Nie mówiłem, że gdy powiem prawdę, to mnie za drzwi wyrzucą?!

W dzieciennym pokoju pali się niewielka lampa, przysłonięta zielonym abazurem. Julusiek i Marian, zdaje się, śpią spokojnie w swych, łózkach, ponakrywanych stosem kołder i kołderek.

Koło stołu siedzi pan Wentzel kurcząc pod stołem nogi w zaplamionych atramentem skarpetkach. Przed nim leżą nożyczki, gruba igła, motek nici i kilka guzików. Pan Wentzel zabrał się do łątania swej codziennej kurtki i jakoś mu idzie niesporo. Kłuje się w palce, ścięgi daje monstrualnych rozmiarów! Miał zamiar sprawić sobie nową kurtkę na wiosnę, ale namyślił się — zrobi inaczej. Pieniądze te pošle rodzicom, właśnie matka pisała, że sklepik nic nie przynosi, ojciec coraz słabszy ...

Pan Wentzel matce odpisał, guldeny w list włożył i teraz, szyjąc, spogląda z rozrzewnieniem na kopertę, która za dni parę w sozernia łych od pracy rękach matki będzie. I wśród tej ciszy nocnej w wyobraźni swej widzi pomarszczoną twarz ojca, wybladłe lica matki, którzy z radością się nad listem pochylą i sylabizować literę po literze będą.

Biedni! Biedni starzy! ...

Pan Wentzel prawie uśmiechać się zaczyna. Na chwilę zapomina o swej nędzy, ciesząc się, że radość innym sprawia.

Nagle jakby na komendę z dzieciennych łózek podnoszą się dwie rozczochrane głowy i rozlega się wrzask, od którego pan Wentzel drzeć blednąc poczyna.

„Hopsztynder! Madaliński!

Fiuta!... z kopyta...

Szara, ciach, ciach! ... tańczy sobie

Z Barabaszem mazura!

Hej kolęda!... kolęda!..."

KONKIETA

Pan Radziechowski był stanowczo przystojnym człowiekiem. Gdy szedł powoli ulicą Karola Ludwika (od hotelu śp. Żorża aż do Kasy Oszczędności) i dalej na Jagiellońską, ta i owa oglądała się za nim, a w oczach błyszczały nawet iskierki zachwytu.

Tak myślał pan Radziechowski i dlatego nosił bardzo ładny cylinder — w zimie czapkę barankową przekrzywioną na bakier, świeży krawat, rękawiczki angielskie i wcale niebrzydką laskę.

Ponadto golił się starannie, wąsy podkręcał w górę — troszkę, ale tylko troszeczkę czernił brwi szpilką i usta (niby chroniąc je przed mrozem) smarował różaną pomadką.

Tyle — co do oznak zewnętrznych.

Co zaś do „moralnej istoty” — naga dusza pana Radziechowskiego miała grubą lupinę z przeciętno-filistersko-urzędniczej waty i w wacie tej czuła się dobrze, miło i swojsko.

Tak było do pewnego okresu, to jest do chwili, w której pan Radziechowski dobił się już pewnego stanowiska.

Bo pan Radziechowski był urzędnikiem. Gdzie, jakim, mniejsza z tym! Słowem był — urzędnikiem, to jest jednym kółkiem więcej w maszynie państwowej. Och! nie hofratem ani znów conceptpraktykantem. On był solidnym „urzędnikiem” — obecnie już prawie, prawie na stanowisku. Lata całe poświęcił, aby dojść wreszcie do owego punktu, z którego urzędnik zaczyna nos zadzierać do góry, wystawiać naprzód klatkę piersiową i dbać nawet o godność swych kaloszy. Lata całe odmawiał sobie wszystkiego, nie wiedział, co biby, druhy, a nawet wesołe miłostki... Starął się być correct i nieposzlakowanym. — Wiedział, że taka mumiovatość w biurokracji jest zaletą — starał się być mumią i... dojść... Doszedł i stanąwszy przed lustrem z radością zauważył, iż „porządne życie” zakonserwowało jego urodę i świeżość.

— Teraz się puszczę! — powiedział sobie i kupił zaraz w pobliskim bazarze flaszeczkę angielskich perfum i pół tuzina batystowych kolorowych chusteczek. Ze stałym postanowieniem „puszczenia się” zaczął teraz pan Radziechowski chodzić po ulicy Karola Ludwika, szukając odpowiedniej dla siebie konkiety. Lecz — stracił wprawę, potem — na ulicy nie wypadało zaczepiać przyzwoicie wyglądających dam. Niejedna mogła się rozgniewać, te zaś, które zdawały się być mniej

skłonne do gniewu, wydawały się panu Radziechowskiemu niegodne jego uwagi.

Bo — pan Radziechowski chciał się puścić — ale puścić en grand.

Pragnął, aby ta konkieta zaznaczyła się w jego życiu. Chciał, aby to była dama, już jeżeli nie z wielkiego świata — to dama dobrze wychowana, inteligentna, piękna, pełna dystynkcji — urocza...

Tylko tyle!... och! marzeniom nikt tamy położyć nie może.

Lecz szczęście mu nie sprzyjało.

Już dwa razy dał cylinder do odprasowania, zużył dwie pary rękawiczek, spinka poczerniała w krawacie, sztuczny diament od wilgoci stracił blask — a w buteleczce ledwo, ledwo była kropla angielskich perfum, a pan Radziechowski nie zrobił do tej chwili żadnej konkiety.

Ta i owa przeszła, uśmiechnęła się, spojrzała powłóczyście — nie wiadomo — może z lśniącego cylindra, może z rękawiczek zbyt czerwonych, może z wąsów sterczących jak halabardy, może z owej w watę owiniętej duszy... kto wie z czego się uśmiecha kobieta — kto wie! Pan Radziechowski zaczął wątpić o sobie.

Nagle — zabłysła gwiazda.

Pan Radziechowski poznał aktorkę.

Jak? gdzie? kiedy?

Na bankiecie — ależ tak! na bankiecie literacko-artystycznym, na którym było po trosze wszystkiego, a najmniej literatów i artystów.

Przedstawiono go jednak... aktorce.

Była to trzeciorzędna aktorka, jedna z tych, których gaża nie przechodzi pięćdziesięciu guldenów i guldena feu, a role ograniczają się na damach z kanapy i dziewczeczkach spod słomianej strzechy w swojskich komediach rozmaitych .Przybylskich.

Panna Łukowicz była niebrzydka, miała wielkie czar-

ne oczy, trochę zepsutą cerę — ale ładny uśmiech — i coś smutnego, jakby zgębnionego w całej postaci.

Ubrana była zgrabnie i świeżo — siedząc za stołem bankietowym w swej różowej sukience, robiła wrażenie okazałej kobiety.

W uszach miała jakieś świecące kolczyki. Może brylanty — może szkło... kto wie, co tkwi w duszy i w uszach artystki.

Tak sobie myślał pan Radziechowski. Siedział obok Łukowiczówny i przyglądał jej się zapamiętale. Kobieta śmiała się i patrzyła wyzywająco spod długich rzęs.

Jadła pomarańcze i piła dwuznaczne wino, które nalewano dość obficie.

Przed nią stał kandelabr, na który kapała ze świec stearyna. Poza kandelabrem naprzeciwko pana Radziechowskiego siedział jeden z aktorów. — Przez stół Łukowiczówna i aktor rzucali do siebie porozumiewawcze półsłówka i widoczne było, że bawili się serdecznie kosztem otoczenia. Całe snopy dowcipu, prawdziwego, ciętego, tryskały z ich słów. Pan Radziechowski nie rozumiał nic, zresztą patrzył tylko na szyję, ręce i oczy aktorki.

I powziął heroiczne postanowienie.

To będzie jego konkieta.

Napił się wina — odrzucił połę fraka, pokręcił wąsa i rękę przerzucił przez poręcz krzesła, na którym siedziała panna Łukowiczówna.

Było to coś na kształt wzięcia w posiadanie.

Gest krótki a piękny — gest Napoleona, pochylonego nad kartą Europy, w ogóle gest mężczyzny zamierzającego powiedzieć — to będzie moje!

Panna Łukowiczówna nie dostrzegła ani gestu, ani odgadła myśli.

Roztargniona, jadła skórki pomarańczy i wzrokiem błędziła po kapiącej stearynie.

Wreszcie wzruszyła ramionami i rzekła jakby sama do siebie:

— Zamknąć! okna zamknąć!... — wołał w pustkę, bo kelnerzy, zajęci roznoszeniem wysuszonych jak wióry kuropatw, nie troszczyli się o spełnienie rozkazów.

Lecz aktorka wstrzymała go gestem. — Po co?... ja mówiłam, że tak jakoś... zimno— ale nie na sali — tylko pomiędzy nami wszystkimi.

— A!...

— Tak! tak! brak kitu, nie klei się.

Zakręciła noskiem i widoczne było, że tłumi ziewanie.

— Pani się nudzi!

— Chciałabym już być w domu!

Pan Radziechowski uznał za stosowne być domyślnym.

— Może tam kto czeka?

Panna Łukowiczówna roześmiała się.

— Czekaj! — powtórzyła przeciągle.

— O!!!

Nastąpiła pauza — kobieta patrzyła teraz uparcie przed siebie, ale zdawało się, że nic nie widzi w przestrzeni.

— Szkoda! — wyszeptał nagle pan Radziechowski — ja odwiózłbym panią do domu!

Ona nagle jakby się ze snu ocknęła.

— Dziękuję panu, ja pójdę z kolegami! Powoli bankiet miał się ku końcowi.

Stearyna lała się kaskadami na podstawy kandelabrow — na stole pojawił się szampan (och!!!) — kelnerzy roznosili czarną kawę w grubych filiżankach — twarze biesiadników przybierały kolory tęczy — na szarym końcu dwóch panów niewiadomego nazwiska było pijanych, a trzeci był w stanie upicia się.

Pan Radziechowski uczuł, że jeśli nie skorzysta z danej chwili, konkietka znów wymknie się z jego dłoni. Postanowił być śmiałym, odważnym i przedsiębiorczym.

Wysunął nogę, usiłował dotknąć ręką pleców panny Łukowicz, lecz ta kobieta miała dziwny sposób zachowania się.

Patrzyła na pozór chwilami wyzywająco, mówiła swobodnie, tonem przyjacielskim, a przecież było w niej coś, co nie dozwalało na większe zbliżenie, coś — co dzieliło ich oboje i nawet w tej, na pozór podnieconej atmosferze studziło zapaly mężczyzny. Aktorka odsuwała od siebie szklaneczkę z szampanem i piła spokojnie vöslauer goldecka.

Panu Radziechowskiemu wydało się to nadzwyczajnym. Szampan i aktorka tak zrosły się razem w jego ciasnym umyśle, iż pojąć nie mógł, dlaczego ta „teatralna” kobieta nie pije tej boskiej mikstury.

— Pani nie pije szampana? — zapytał.

Ona podniosła na niego swe wielkie, ciemne oczy. — Jak czasem! — odparła prawie niedbale. Lecz on usiłował być... głębokim.

— Rozumiem! — szepnął pochylając się ku niej. Aktorka zdziwiła się niemało.

— Co pan rozumie?

Ale on pozostał tajemniczym. Tylko wzrokiem wpił się w jej cokolwiek podsiniałe oczy, a usta ułożył do sfinksowego uśmiechu.

I natychmiast dodał z szatańską intonacją w głosie:

— Czy pozwoli pani złożyć sobie uszanowanie? Ona zawahała się chwileczkę, jakby zażenowana.

— Proszę pana — będzie mi bardzo miło! — odparła wreszcie szybko.

Znać w niej było trwogę aktorki przed jednym osobnikiem owej zbiorowej hydry, publicznością zwanej. Kobieta lękała się być niegrzeczną, w każdej chwili czuła się być niewolnicą pięćdziesięciu guldenów gaży i guldena feu...

— Będzie mi bardzo miło... — powtórzyła raz jeszcze — tylko ja bardzo skromnie mieszkam...

— O!... — zawołał pan Radziechowski — ja wszakże nie dla mieszkania pragnę odwiedzić panią!...

Zaczęto wstawać od stołów. Aktorka zmieszała się z grupą kolegów i koleżanek i pan Radziechowski stracił ją z oczów.

Ale — nie stracił jej z myśli.

Ciągle była przed nim w tej dekolowanej różowej sukience — pachnąca pudrem, przesiąknięta wonią kulis — tajemnicza, pełna uroku.

Aktorka!...

Tak — to jedyna konkietka, godna pana Radziechowskiego. — Taka kobieta połączy w sobie wszystko: szyk, wdzięk, elegancję... przy tym wiele zachodu nie wymaga zdobycie takiej damy. — Szczęśliwa będzie, że on zwrócił na nią uwagę. Zakocha się w nim z pewnością.

. Biedactwo!... już pan Radziechowski rozczuła się nad jej losem — ale zaraz chce być wspaniałomyślnym. Choć nie ma zamiaru kochać się w tej aktorce, to przecież z grzeczności, z delikatności uda, że myśl o niej spać mu nie dawała. — Powie jej to, gdy do niej pójdzie. Przedtem jednak zasięgnie wiadomości, dowie się „co o niej mówią” na mieście.

Zawsze lepiej wiedzieć, z kim się ma do czynienia — myśli, wchodząc do cukierni Branieckiego.

Gwar, hałas, krzyk — ciemno od papierosów, różowo i biało od cukierków i ciastek.

Znajomych nie brak.

Siedzą pochyleni nad filiżankami kawy i strzepami dzienników.

Od razu, bez długich wstępów, pan Radziechowski rzuca nazwisko Łukowiczówny.

— Phi!... tak — mój Boże... ot — jak inną. Podobno tam coś tego w Krakowie, no i tu... zresztą... co tu o tym gadać...

Jeden nawet dodaje szyderczo:

— Och! Felka!...

Radziechowski zbliża się ku niemu silnie zaciekawiony.

— Pan ją zna bliżej?

— Ho! ho!

— ???

— !!!

— A!...

Chwila milczenia, wreszcie młodzieniec dodaje niedbale:

— Dobra dziewczyna... tylko ma jedną wadę.

— Jaka?

— Zanadto lubi szampana.

Pan Radziechowski chce protestować. Przypomina sobie bowiem, że Łukowiczówna na bankiecie odsunęła od siebie „boski nektar”

uwiedzionych szwaczek — ale równocześnie przychodzi mu na myśl owo niedbale: „jak kiedy!” i milknie. Tymczasem podniecony młodzian snuje dalej swe zwierzenia.

— Ach! szampanowaliśmy nieraz w Grandzie do dnia białego... Czasem u niej!

— Pan u niej bywałeś? Młodzian wykrzywia się ironicznie.

— Spodziewam się. Mieszka szykownie — meble, phi!... nieźle — nieźle... Bez szampana pokazywać się tam nie należy.

Radziechowski przypomina sobie znów, że Łukowicz mówiła mu, że mieszka skromnie.

— Więc tam u niej szyk? — pyta natarczywie.

— Spodziewam się! — odpowiada młodzian — sześć pokoi, lokaj, w jadalni kredens jak dzwonnica — dywany wszędzie — świece, panie, w kandelabrach — je na srebrze i ma trzy fotele na biegunach. Jak Boga kocham! - Urywa — potem dodaje niedbale:

— Mieszkanie dobre, tylko rozkład zły. Dwa wyjścia... powinno być przynajmniej ze trzy. Dziwi mnie nawet, że taka sprytna kobieta, a tak się źle urządziła...

Pan Radziechowski nie pytał już o nic więcej. Jeżeli konkieta aktorki przedstawiała mu się więcej, niż ponętnie — to w tej chwili urosła do wspaniałych rozmiarów.

To srebro, świece w kandelabrach, lokaje, dywany — słowem szyk, imponowały mu i ciągnęły jak światło motyla. Zostać kochankiem takiej kobiety zachwycało płaski umysł Radziechowskiego.

To już nie zwyczajna konkieta.

To już europejska — konkieta.

Postanowił iść zaraz, dziś jeszcze, nie tracąc ani chwili.

Ogarnęła go gorączka.

I on chciał mówić jak ów młodzian: — Szampanowaliśmy u Felki!

Należało więc kupić cukierków, szampana, bo jakże z próżnymi rękami pokazać się u takiej wykwiśniętej damy.

Powstał więc z ostentacją i podszedłszy do bufetu, kazał sobie podać pudełeczko cukierków. Zapragnął jednak, aby wszyscy wiedzieli, gdzie idzie i komu da te cukierki.

Pochylił się więc ku młodzianowi i zapytał poufnym tonem, ale dość silnym głosem:

— Nie pamiętam, jakie ona lubi cukierki? Młodzian, który przeglądał właśnie podarte w strzępy dzienniki, aż podskoczył.

— Kto?

— No... Łukowiczówna. Felka...

— A!... ma parole — zapomniałem. Zdaje mi się, owoce i to przeważnie orzechy... Tak! tak...

Potem dodał z poufną miną:

— Pan tam idzie? Radziechowski udał ziewanie.

— Pójdę! Może powiedzieć jej co od pana? Lecz młodzian zmieszał się trochę.

— Nie! nie! — wyrzekł pospiesznie — po co? my jesteśmy ze sobą niedobrze... ona nawet się nie przyzna do mej znajomości. Najlepiej niech pan nie wymawia nawet mego nazwiska przed nią...

Radziechowski wyszedł. Chłód panujący na ulicy nie

ostudził jego zapalów. Adres Łukowiczówny znał od dawna. Idąc wieszował sobie, że powziął to postanowienie. Zdawało mu się, że dobija wreszcie do jakiegoś portu. Przy tym już kupił cukierki. Nie mógł się cofać. Pan Radziechowski bowiem był systematyczny i nie pozwalał sobie na próżne wydatki. Należało teraz tylko kupić szampana. Lecz ile? — dwie butelki chyba, skoro jest w domu kredens jak dzwonnica i lokaje. Lecz porządna marka kosztuje...

— E, na początek kupię jedną butelkę. Zobaczymy, co będzie dalej. Będąc już w sklepie, pan Radziechowski uniósł się wspaniałomyślnością. Kazał zawinąć jeszcze dziesięć sztuk mandarynek.

Te małe, delikatne owoce imponowały mu zawsze i budziły w nim arystokratyczne dążności.

— Niech zna pana! — myślał wychodząc ze sklepu z podbójczą miną eleganckiego urwisa.

— Tu mieszka panna Łukowicz?

— Tu... ale nie ma pani w domu.

— A prędko wróci?

— Bo ja wiem — poszła na próbę i zatrzymała ją tam co w mieście. . Chwileczkę pan Radziechowski się waha, ale wreszcie dodaje.

— Ja zaczekam...

I widząc niezdecydowaną minę obdrapanej sługi, dodaje z wielką pewnością siebie:

— Pani mnie prosiła, ażebym dziś przyszedł, a jeśli jej nie będzie w domu, ażebym zaczekał.

Sługa podciąga opadający fartuch i wprowadza gościa — do... salonu. Radziechowski wchodzi — i nie zdejmując palta, zatrzymuje się na środku pokoju.

Jest to niewielki pokój o jednym oknie, umeblowany tak skromnie, jak tylko może być umeblowany pokój sprzę-

tami, widocznie wypożyczonymi z jakiegoś żydowskiego składu starzyzny.

Szafa — poza nią źle ukryte kosze z garderobą teatralną — rodzaj kanapy wypchanej sianem, którego woń rozchodzi się w powietrzu — dwa

„karły" kryte wytartym kretonem — toaleta opięta firanką i przyozdobiona różami z niebieskiego perkalu — umywalnia biedna i zamykana i łóżko, ponad którym zwiesza się dość pretensjonalnie pawilon z tanich gipiurowych firanek, podpiętych niebieskimi wstążkami.

Przed łóżkiem wytarty dywanik, na nim para zielonych atlasowych pantofelków, zniszczonych, scenicznych — widocznie służących Łukowiczównie obecnie do domowego użytku.

Na stole lampa — biedna, naftowa lampa, tania i taka, co to „niedużo wypala nafty". — Obok porzucona rola, jakaś książka i kawałek koronki.

Pan Radziechowski doznał wrażenia, jakby go oblano zimną wodą.

Gdzież owe kobierce, lokaje, kandelabry, kredens jak dzwonnica? —

Gdzież ten szyk? ta instalacja, o której mówił młodzian w cukierni? Nie tylko nie było szyku — ale tu z kątów wyzierała bieda, troska o zejście się dochodów z rozchodami, wyliczenie, ile bułek wychodzi dziennie i gdzie można taniej dostać kawałek atlasu na miesięczną rozpłatę.

Pan Radziechowski zrozumiał to i odczuł w jednej chwili — jakkolwiek sformułować całego sądu jeszcze nie mógł. Czuł tylko, iż w tej chwili popełnił jakąś pomyłkę i stał tak na środku pokoju z paczką pomarańcz i pudełkiem cukierków w ręku, nie śmiejąc się poruszyć — lecz nie chcąc wyjść i opuścić zdobytej, jak mu się zdawało, pozycji.

Jak długo tak stał — nie wiedział sam.

Jakiś chrapliwy zegar co kwadrans jęczał coś w przyległym pokoju. —

Pan Radziechowski godzin nie liczył. — Czekał ciągle — na co? sam już nie wiedział. Zapał jego

ostygł. Gdyby teraz Łukowiczówna weszła, czułby się fatalnie zmieszany. — W dodatku weszła sługa i zaczęła palić w piecu.

Przyklękła i pan Radziechowski patrzył na tę kupę szmat nieokreślonego koloru ciemniejących w niepewnym świetle lampy. — Sługa sapała i podciągała nosem.

Wrażenie „ubóstwa" zwiększało się z każdą chwilą.

Wreszcie służąca wyszła i pozostawiła drzwi od przyległego pokoju zaledwie domknięte.

I wśród wielkiej ciszy, panującej na tej podrzędnej i oddalonej uliczce — pan Radziechowski usłyszał nagle jakby szept, jakby chichot, jakby ćwierkotanie wróbli...

Wszłuchał się — i zdawało mu się, że ten szept, ten chichot, to ćwierkotanie wróbli, dochodzą właśnie z przyległego pokoju.

W jednej chwili sądził się być ofiarą jakiejś mistyfikacji.

Aktorki są tak ekscentryczne — kto wie? może Łukowiczówna urządza swym adoratorom umyślnie takie figle, każe im czekać godzinami w nędznym i biednym pokoju, aby wprowadzić ich później do „wonnych buduarów”, gdzie się „szampanuje” i zabawia wesoło.

Ów chichot potwierdzał jego przekonanie, kto wie? może to właśnie ona za drzwiami naigrawa się z jego miny... Zapragnął okazać się dzielny i na wysokości sytuacji i śmiało wtargnął do owego przyległego pokoju.

Wtargnął i na progu stanął zdumiony.

Dwa małe łóżeczka czysto zasłane.

Dwa małe łóżeczka proste i niewykwintne — jednakowe jak bliźniaczki.

Na nich małe poduszeczki, małe kołderki i dwoje małych... dzieci.

Dwóch chłopczyków, blondasów z rozwichrzonymi włosami — z oczyma szeroko rozwartymi leżą i patrzą na pana Radziechowskiego zdumionymi ślepiami.

I tu meble biedne — komoda, szafa i znów kosze z teatralną garderobą.

Trochę dziecinnych zabawek — koń

z oberwaną grzywą — bęben, czako ułańskie. Na ścianach węglem porysowane karykatury i koszlawe kreski.

Niedaleko pieca wielkimi literami nakreślone słowa: STASIO JEST GŁUPI.

W kącie na komodzie świeca prawie dogorywa. Drzwi do kuchni uchylone, w kuchni służa szoruje podłogę...

Pan Radziechowski znów stoi i patrzy.

Teraz zrozumiał wszystko.

Dzieci aktorki patrzą na niego uparcie spod masy złotych pokreconych włosów, w oczach ich jest pytanie, coś z podejrzliwości przedwczesnej i zarazem wdzięk nieokreślony, czar, na smutek i nieszczęście przeznaczonych istot.

Wreszcie jeden z chłopczyków podnosi się, cały biały i różowy w swej długiej nocnej koszulce i pyta siadając na łóżeczku:

— Co pan u nas robi?

Pan Radziechowski nie może znaleźć odpowiedzi. Tak — rzeczywiście. Co on robi w tym ubogim mieszkaniu, pomiędzy tymi dziećmi ze swą miną zwycięzcy i butelką szampana, sterczącą mu z kieszeni? Lecz już drugi dzieciak zerwał się także i siedzi na łóżku ożywiony i do rozmowy skory.

— Mama poszła na próbę — tłumaczy. — Piechor zamówił próbę jeszcze dziś rano, a potem mama poszła do panny Stankowskiej...

I pospiesznie dodaje wznosząc w górę oczy:

— Mamusia pedziała, że nam co dobrego przyniesie.

A drugi dorzuca:

— Cio do zjedzenia.

— Może likieru we flaszeczce... Lecz mniejszy protestuje.

— Nie! nie!... co suchego — może czekuladki!...

I obaj uśmiechają się tajemniczo.

A uśmiech ten, to cały poemat.

I nieśmiałe to, i tajemnicze, i tęsknoty pełne. — Dołki w bródce, w policzkach — i coś w oczach, pomimo śmiechu ciągle smutne, jakby ani starania i miłość matki, ani ta „czekuladka" przyniesiona wygnać już nie mogły — stygmatu — pieczęci — bezimiennych kwiatów, które bez „etykietki" w ogrodzie dusz ludzkich rosnać muszą.

Pan Radziechowski sam nie wiedział, jak oderwał się od progu, jak podszedł ku tym dzieciom kwitnącym złotą i różową z białych osłonek pościeli i jak usiadł na jednym łóżeczku.

I rozpoczęła się rozmowa.

Z początku niezdarne, ciężko — powoli z coraz większym ożywieniem. Z niej dowiedział się pan Radziechowski — że — „mamusia bardzo swoich synów kocha, że stawia czasem do kąta, że wczoraj było duże pranie — a przedwczoraj mama płakała, bo nie wie, kto będzie dyrektorem, a nowy dyrektor może mamusi nie weźmie...", że w Krakowie są Planty — że Staś nie może wychodzić, bo mamusia dopiero weźmie a conto ósmego i wtedy buciki Stasiowi kupi — że koń, ten, który stoi przy ścianie, ma już pół roku i jest do niczego — że na podwieczorek dostają bułki z powidłami, ale do herbaty to już suche bułki — że mamusia to prawie co dzień „czegoś płacze" — i tysiące innych tajemnic rodzinnych.

A to słowo „mamusia” powracało ciągle jak dzwonek w rozmowie i nieobecna stawała się obecną, żywą, czynną, kochającą, dobrą — stróżem — sługą swych dzieci bezimiennych — jedną z tych, którym się winy darowuje, bo poza nimi jest cały szereg trosk strasznych, codziennych —

trosk o łyżkę strawy, o bućki, o szkołę — dla takiej małej jednostki, z których się ludzkość tworzy.

I na małe łóżeczko, okryte czyściutkimi kołderkami — pan Radziechowski wysypał cukierki i pomarańcze. — Pisk zachwytu wynagrodził czyn jego bohaterski. — Malcy uszczęśliwieni zaczęli natychmiast jeść cukierki i obierać pomarańcze.

Lecz — Staś — ten młodszy — ten, któremu wydano na ścianie patent na głupotę — pooddzielał lepsze cukierki i ułożył je osobno.

— To dla mamusi! — wyrzekł poważnie. Pan Radziechowski wstał i cicho wysunął się z pokoju dzieci. Jeszcze raz objął okiem ubogi pokój z toaletą, przybraną perkalowymi różami, i z lampą taką, która „niedużo potrzebuje nafty”.

Z przyległego pokoju dochodził pisk, gwar, świergot — ni to ptasząt — ni to rozradowanych dzieci. Pan Radziechowski uczuł, iż jego „konkieta” skończona.

Należało wyjść i tę kobietę, te dzieci, to biedne mieszkanie zostawić w spokoju.

Coś mu się szarpnęło koło serca — coś 'dziwnego, z czego sobie sprawy zdać nie umiał.

Jakiś żal, jakaś gorycz — jakaś nieuchwytna tęsknota.

Gdy drzwi za sobą zamykał, zdawało mu się, że zamknął jakąś historię swego życia.

Chwilową i przejściową — ot... jak sen, którego już sobie przypomnieć nie możemy.

A wiemy, że się nam coś śniło.

Na ulicy pan Radziechowski zaczął przychodzić do równowagi.

— Ładna konkieta! — wycedził przez zęby. Śnieg zaczął padać i biało było dokoła.

Pan Radziechowski podniósł kołnierz od palta i szedł bez kierunku, zakręcając po ulicach fantastyczną drogę.

W kieszeni palta coś mu ciążyło.

Wyciągnął rękę i namacał butelkę „boskiego trunku uwiedzionych szwaczek”.

Przypomniał sobie cukierki i pomarańcze, ofiarowane tak wspaniałomyślnie malcom, a które miały stanowić część biesiady z szampanem i płomiennymi pieszczoty.

— Ładnie się wybrałem! — pomyślał, drepcząc po śniegu — ładnie się wybrałem...

Pusto już było i głucho — domy powoli zapadały w zupełny zmrok — światła w oknach nie było.

Gdzieś daleko brzęczały sanki.

Pan Radziechowski ślizgał się w swych zbyt dużych kaloszach — butelka „szampitra” ciążyła mu coraz dokuczliwiej.

— Byle mi jutro Skowron zamienił na koniak kuracyjny — pomyślał wzdychając — będę pił co dzień rano z mlekiem.

I półgłosem dodał:

— To podobno bardzo zdrowo!

ONA

Na purpurowym tle draperii, owinięta w gipiury mające ton słoniowej kości, z twarzą ocienioną kaskadą czarnych piór, pojawia się nagle jak zjawisko i czar jakiś zapanowuje dokoła. Rozjaśnia się w sali teatralnej i widowisko przestaje być szablonowym, przestaje być stekiem komunałów pogrążających nasz umysł w smutnej rozterce. Sztuka Capusa niknie, natomiast całe zajęcie naszej artystycznej strony duchowej ciągnie ku sobie ta loża, w której na tle purpurowych draperii zarysowuje się sylwetka kobiecej postaci, sylwetka melancholijna, jakby stworzona przez Tiziana Vacellio. Jej czar, jej uśmiech Giocondy, rozwiązującej zagadkę swej myśli wielką, kobiecą, głęboką dobrocią, panuje wśród ścian teatralnej sali. Jak eter subtelny i ledwo wyczuć się dający, jak tajemnicze, niezrozumiane światło przenikające ciemności, tak ona cała wypełnia sobą

przestrzeń teatru i ponad nami, w nas, jest wszędzie, pochłania nasze myśli, a równocześnie jakoś sennie, dobroczynnie i kojąco kołysze. I to jest nadzwyczajne, ten fluid, który płynie z jednej drobnej istoty kobiecej, a przenikający setki dusz. Ona nie mówi, ona milczy, oczy wielkie, ciemne, w półprzysłonięte znużoną powieką, utkwiała przed siebie, a przecież działa dziwnie, tajemniczo działa na dusze nasze. Nie drażni, nie niepokoi, nie dręczy. Bez woli swej, bez wiedzy sprowadza ukojenie, spokój, równowagę estetyczną. Wielkie Piękno triumfuje w tej chwili, Piękno wypieszczonego ducha, który płonie jak płomień lampy alabastrowej, lampy o przepysznych liniach spokojnych i z całą troską o kształt doskonały kreślonych, płomień, który nie zagał pod żadnym podmuchem wichru. Błękitnieje i rozciąga równy, łagodny blask. W krąg ten spadają nasze schorzone dusze i powoli przetwarzają się w senne światełka, blade odbłaski światłości, rozjaśniającej opalowo alabastrowe ściany lampy. Ona — ta roz-

dawczyni spokojnego światła, kładąca niewidzialnie swe delikatne dłonie na czołach zmęczonych życiem i na głowach neurastenią wyczerpanych, siedzi milcząca, z głową opartą o ciemne draperie łoża. Sen — widzenie — słodkie zjawisko wieczystej kobiecości — uśmiech Giocondy — ręce o tonach listków kamelii, pokrytych kroplami diamentów pierścieniowych, postać hieratycznej królowej, dobrej i łaskawej — wpatrzonyj w zaświaty!

Ona —

Helena Modrzejewska.

* * *

Jaki dziwny łańcuch wiąże często serca kobiece.

Jak jeden kwiat nagle rozkwitłej dobroci w ciemnej jaskini złości — rodzi kwiat drugi i potem już całą girlandę snujących się kwiatów, splecionych ze sobą wdzięcznością, wspomnieniem ...

Tak! Dziwny taki łańcuch... a przecież — on istnieje. Garderoba teatralna. — Garderoba w gmachu skarbkowskim — we Lwowie. Wszystkie garderoby zajęte. — Na stołach porozkładane lustra — na ziemi dywany. Przy aktorkach w „dezabilach” — stoją pokojówki. Na ścianach wiszą stroje bogate — muśliny haftowane, suknie szerokie — szale leżą w

pudełkach. — Na korytarz, dzielący klatki garderób na dwie połowy, wchodzi młodziutka, smukła kobieta. Bardzo piękna, bardzo duchowo piękna. Łabędzia szyja, głowa greckiej kamei, uśmiech dobrej Giocondy. Weszła cicho, nieśmiało.

— Stoi u drzwi garderób, nie ma gdzie się ubierać.

Ta i owa aktorka przed niądrzwi zamyka. — Nie ma miejsca...

Tak zwykle bywa. Początki są straszne, zwłaszcza gdy za kulisami serc nie ma.

Piękna kobieta, zmartwiona szczerze, opiera się o ścianę. Gdzie się ubierać będzie? Lecz — oto uchylają się drzwi jednej z garderób i przyjazna, miła twarz starszej kobiety pojawia się wśród chmur muślinu. Aszpergerowa wyciąga rękę do... Modrzejewskiej.

— Chodź pani do mnie — mówi swym pocziwym, trochę rubasznym tonem — zrobię pani trochę miejsca na moim stole. — Mo-

drzejewska wchodzi do garderoby tej największej ówczesnej artystki i wielkie rozrzewnienie ogarnia jej serce. — Delikatnie, cicho zajmuje kącik owego stołu i oczy jej spoglądają z całą wdzięcznością na postać tej, która ku niej ręce wyciągnęła w takiej bolesnej chwili.

Kwiat piękny, dobry, łagodny zakwitnął w tej minucie dziwnej, na pozór może nic nie znaczącej. Uśmiech Giocondy stał się uśmiechem dobroci — z serca Aszpergerowej w serce Modrzejewskiej spłynęło ciepło kobiecego wdzięku.

Minęły lata.

I oto — w Krakowie, w teatrze przy ulicy Wolskiej — w prowizorycznej budzie, zajęto w garderobie damskiej wszystkie stoliki. — Aksamity pokryły ściany. Suknie z olbrzymimi trenami spływają ku ziemi. Aktorki w matinkach fryzują włosy. — Dywany pokryły ziemię. Nastrój świąteczny, wszystkie gotują się gorączkowo do scenicznych operacji. Na korytarz wchodzi młoda aktorka. Staje nieśmiało z zawiniątkiem i patrzy po zajętych stołach. Jest zaledwie miesiąc w teatrze, jest poniewierana, dręczona, często przymiera głodem. Wie, że nikt się jej nie usunie, nikt jej miejsca nie zrobi. Próbuje wszakże, prosi — nikt jej nawet nie odpowiada. I tego wieczora serc nie ma za kulisami. Aktorka opiera się o ścianę. Jest jej gorzko i smutno. Nagle — rozchyła się aksamitna draperia i jakaś ręka o barwie listków kamelii, pokrytych rosą diamentów, wyciąga się miłym

gestem, jakiś głos słodki, delikatny mówi: „Chodź pani, ja pani zrobię miejsce na moim stole”.

Delikatnie, cicho, wsuwam się do garderoby Modrzejewskiej — moje mizerne lustro stawiam na brzegu stołu pomiędzy jej wytwornymi przyborami toaletowymi. Ona, ubrana już do pierwszego aktu Fru-Fru, piękna jak zjawisko, smukła, gibka — patrzy na mnie tak jasno, tak promiennie, że dusza moja pełna bólu i smutku zaczyna łagodnieć i czuję, iż pomiędzy mną a tą kobietą zakwita w tej promiennej godzinie kwiat piękny, łączący nas wiecznym wspomnieniem doznanego wspólnie wrażenia.

I ona — cicho — melodyjnie opowiada mi wtedy, jak Aszpergerowa dała jej ten przytułek, ten kącik na swoim stole w złej chwili, i jak ona mnie teraz ten kącik oddaje. Czy nie ma więc łańcucha

kwiatów w czynach dobrych, w odruchach serca i pięknych porywach duszy?

Kto wie, przy którym stole przytuliło się mizerne lustro Aszpergerowej wtedy, gdy ona była nieśmiała, młoda, sponiewierana i głodna!

* * *

Prawie cały dzień — do późnej nocy — spędziłam z Modrzejewską i nigdy może nie odczuwałam tak dobroczynnego wpływu Piękna jak w tej chwili.

Patrząc na nią, jak siedzi przede mną oparta o wezłowie fotelu, z czarnymi diamentami swych ocz w bladej, ściągniętej twarzy, doznaję wrażenia, jakie spływa na nas, gdy nagle, błądząc wśród zbiorowiska artystycznych na pozór przedmiotów, natrafimy na prawdziwe, odosobnione i niezmiernie arystokratyczne wydelikaczone arcydzieło. Zatrzymujemy się wtedy, koncentrując się duchowo, ściągamy naszą całą istotę astralną, która wybiega poza nas jak harfa po nowe tony, i odcinamy się niejako na pewien czas od świata zewnętrznego, żyjąc tylko chwilą, starcząca później za cały szereg dni szarych, bezbarwnych i posepnych. Chłonę jej głos, przyciszony, matowy, jej intonację nieporównaną, nadającą znaczenie niezwykle rzuconym dyskretnie myślom. — Kosztowny klejnot, jakaś rzadka perła oprawna w zielone węzowe linie błyszczącej emalii, połyskuje na jej piersi. Perła ta, pokryta gipiurą

modnej sukni, przebija się jednak swym dziwnym blaskiem niezwykłego i drogocennego klejnotu.

To samo jest i w mowie tej niezwykłej kobiety. Nawet gdy mówi o rzeczach powszednich, o swojej pracy na amerykańskich scenach, o swej fermie obsypanej oliwkami — o przyszłych występach, zawsze jak drogocenna perła wśród gipiur powszedniości słów przebija się wielka a prosta i szlachetna miłość dla tego, co jest pięknnością, dobrocią i szlachetnością. — I tu, zdaje się, jest źródło tego tajemniczego fluidu, który płynie z jej ducha prądem ożywczym ku duszy tłumów. Przepojona na wskroś tylko pożądaniem piękna, Modrzejewska przyjmuje tylko wrażenia piękna i z nich wytwarza dokoła siebie duchową atmosferę, wśród której przebywa.

Gdy słyszy o złości, o małostkowości ludzkiej, blednieje i oczy jej napęniają się strachem. Cierpi, gdy widzi zło, cierpi, gdy widzi rzecz brzydką. Cofa się w siebie i gasi chwilowo swe promienie, lękając się, aby nie padły tam, gdzie knuje się kłamstwo, obłuda lub sprzedaj na sztuka. Lecz gdy roztoczy się przed nią jasny horyzont wolnej ludzkiej myśli, dusza jej roztwiera się jak kwiat, czarowny wonią i barwą. Tęczowy to kielich, w którym odnaleźć można całą harmonię Piękna, które składa się na płomień oświetlający iskrami brylantów wytwórczość artyzmu. Ona wszystko odczuwa, rozumie, poi się i przefiltrowywa przez umysł czuły i wrażliwy. — W czarne głębie swych źrenic chłonie tylko piękne barwy i kształty, w delikatne konchy uszów harmonie tonów — i później fluidem owym, światłem opałowym alabastrowej lampy swego ducha wytwarza na nas ten działający czar, do którego zwracamy się spragnieni, pełni wiary i ufności, że znajdziemy w nim esencję Piękna i Dobroci, bez których życie przedstawia się mamie, boleśnie i na wzór horyzontu Milletowskiej „Burzy”.

* * *

Modrzejewska tęskni za krajem. Pragnie wrócić, osiąść wśród swoich. Projektów żadnych jeszcze stałych nie ma. Waha się. Egoizm nasz powinien skłonić ją, aby słodycz swą pozostawiła spragnionym duszom naszym na zawsze. Lecz ona dziś myśli o występach. Mówi mi o Idalii,

którą już odczuła. Żąda ode mnie jakiej sztuki, w której by miała rolę. —
A ja patrząc na nią, słuchając jej mowy, chłonąc w siebie odruchy jej
ducha i jej estetykę tak niezwykle wycieniowaną i subtelną jak chmurę
złotego blasku, myślę — z jakiego świata Piękna i Dobra zapożyczyć
mam barw, aby stworzyć postać godną tej duszy, która moje dzieło
ożywić pragnie.

I pełna jestem smutku i melancholii.

Nie znam bowiem dostatecznej strefy, w której mogłabym jak w świątyni
o marmurowych kolumnach, po których pną się gamy

róż białych — i w której na srebrnych harfach grają senne niewolnice
Pieśń na cześć Wiecznej kobiecości, wytworzyć postać kobiety
prawdziwej — łagodnej, tchnącej poezją i dobrocią, artystki wielkiej,
kochającej i ukochanej, słowem, Ideału, do którego zwracają się zmęczone
dusze nasze.

Więc — pełna jestem smutku, bo nie wiem, czy potrafię, czy posiadam w
sobie dość światła, aby móc odzwierciedlić w postaci scenicznej taką
lampę alabastrową o prostych, szlachetnych, wytwornych liniach, w której
to lampie Modrzejewska chce zapalić opałowe światło swego wieczystego
płonącego ducha ...

Lecz — „ona” — prosi, żąda.

A więc — spróbuję.

O SOBIE

Zacząłam pisać bardzo młodo. Pierwsza moja nowelka, pt. Jeden dzień z
życia Róży, pojawiła się w „Kurierze Krakowskim” w roku 1883. —
„Kurier Krakowski” wychodził pod redakcją p. Teleżyńskiego, który był
przyjacielem mego ojca. Sądzone więc w mej rodzinie, że był to jedynie
akt kurtuazji, to umieszczenie owej nowelki, bo nikt w me zdolności
literackie nie wierzył. Tymczasem Róża zwróciła uwagę J. I.

Kraszewskiego, który napisał o niej parę słów ciepłych w jakimś piśmie. Odtąd zaczęto wierzyć w moją karierę. Tylko nie ja sama. W następnym roku napisałam ową smutnej pamięci Małaszke, przeznaczając ją dla siebie, a nie do druku. Podstępem zabrał mi manuskrypt zaczęty — śp. Stebelski i rozpoczął druk w „Kurierze Lwowskim”. Zobaczywszy pierwszy felieton, spłakałam się gorzko i przeraziłam. Tymczasem redaktor Masłowski zapłacił honorarium i zażądał dalszego ciągu. Trzeba było pisać dalej. Pisałam. — I pisałam tak, jak mi w mózgu śpiewało, z butną nieopatrnością młodziutkiej, wchodzącej w świat istoty. Nie przyszło mi do głowy, że jest jakiś naturalizm, że się nie mówi o tym w Polsce, że kobieta ma kolana. — I oto spadł na mnie stek wyzwisk, brudów, kalumnij w prasie, która od tej chwili przez lat dwadzieścia pięć wiernie wytrwała na tym stanowisku. Druga powieść: Kaśka Kariatyda — druk w „Przeglądzie Tygodniowym” i w „Dzienniku Polskim”. W tym ostatnim przerwano z powodu „niemoralności przedmiotu”!!!

W roku 1887 przerabiam moją Małaszke na scenę. Gra ją teatr poznański w Warszawie, w teatrze Alhambra, z muzyką. Noskowskiego. Jest to mój pierwszy właściwie duży utwór sceniczny, Z powodu artykułu w „Prawdzie” Świętochowskiego — artykułu będącego stekiem obelg i bezceństw, w którym z dziwną zaciekłością

zarzucają mi nawet plagiaty — wydawca mój, Paprocki — wytacza w moim imieniu proces „Prawdzie”.

Ja nic nie wiem o istotnej przyczynie, o tym, że moja mizerna osóbką służy za pretekst wystąpienia przeciwnej partii przeciw Świętochowskiemu. Wiem tylko, że mnie „Prawda” obryzgała jadem i tego pojąć nie mogę, dlaczego za pracę płacą w ten sposób.

Świętochowski staje przed sądem. — Ciska tomikiem moich Akwareli po ziemi, wymyśla na mnie, że go zmusiłam do przeczytania tego pluga st w a i zostaje uniewinniony.

Przedstawienia Małaszki, która była pisana na modłę ogródkową, lecz miała wielkie zacięcie dramatyczne, wywołują nową serię błota, ciskanego na mnie.

Odmawiają mi zupełnie talentu pisania na scenę.

Wierzę w to i pisać na scenę przestaję.

Zaczynam pisać szereg powieści dla „Przeglądu Tygodniowego”.
Przedpiekle, 1889 — dwa tomy.

Tu wyjeżdżam do Paryża i pierwszy raz zaczynam pisać artykuły
dziennikarskie. Jest to najprzód szereg listów z Wystawy — następnie
listy paryskie, drukowane w „Przeglądzie Tygodniowym”.

Janka, „Kurier Codzienny” — 2 tomy.

Fin-de siecistka, „Przegląd Tygodniowy” — 4 tomy.

Wodzirej, „Kurier Warszawski” — 2 tomy.

We krwi, „Tygodnik Romansów i Powieści” — 2 tomy.

Kilka tomów drobnych nowel:

Akwarele, 1885.

One, 1886.

Fantazje i drobnostki, 1887.

Menażeria ludzka, 1891.

Przyjeżdżam z Paryża do kraju i tu piszę Żabusię, na scenę. Odważam się,
mimo wszystko. — Grają ją w roku 1897 w teatrze Rozmaitości, z Czaki,
Frenklem, Barszczewską, Wojdałowiczem. Prostota jej struktury
scenicznej przeraża krytykę. Odmawiają mi znów wszystkiego. Lecz ja
już znam wartość i nauczyłam się samo-

krytycyzmu. Zza kulis patrząc na Żabusię widzę jej braki i uczę się sama,
jak pisać mi nie należy. W następnym roku piszę na scenę Kaśkę
Kariatydę, skradając się ostrożnie — biorąc już wypróbowane swoje
tematy — chcąc wsunąć się na scenę jako przerabiać z k a, bo ciągle
jeszcze myślę, że mi na dzieło oryginalne tchu nie starczy. Grają Kaśkę z
ogromnym sukcesem w teatrzyku Belle-vue. Lecz w roku 1897 piszę
nagle Małkę Szwarzenkopf. Liczę się z wymogami ogródka, dla którego
to piszę. — Sukces jest znany. Sukces ten prawie że przeraża mnie. Gdy
czytam pierwszą krytykę Adama Dobrowolskiego w „Kurierze
Porannym”, pierwszą krytykę, w której uczciwy człowiek pisze o mnie

przychylnie, zachęca do dalszego pisania, nie szydzi, nie drwi, nie obryzguje kobiety błotem — płacząc z radości.

Mogę pisać na scenę! Mam do tego prawo! I z tej zachęty powstaje w Krakowie w roku 1898 Tamten.

Następne moje dzieła sceniczne: Dziewiczy wieczór (1899, teatr krakowski), Jojne Firułkes (1899, Warszawa, Wodewil), powieść Zaszumi las (2 tomy — „Słowo Polskie”), W Dąbrowie Górniczej. (Lwów 1899), Sybir (Lwów 1900), Życie na żart (Lwów 1902).

Do tej chwili operuję masami przeważnie. Teraz chcę coś napisać innego, bardziej skupionego. Jakkolwiek mi zarzucają, że jedynie potrafię tworzyć melodramaty, nie tracę otuchy. Piszę Ahaswera (Mężczyznę), który odnosi triumf w Krakowie (1904) i w Warszawie. — Druga moja sztuka, o głębszym podkładzie, Tresowane dusze, Kraków 1904 i Praga czeska — po czesku, Pilzno — po czesku. Jakkolwiek przechodzę jeszcze ciężkie chłosty, gdyż rozmaici krytycy próbują zniweczyć całą siłą moje usiłowania — nie daję się zbić już ze swej drogi. Piszę w dalszym ciągu na scenę Nieporozumienie, Warszawa 1905 i Lwów — przerabiam mój Zaszumi las, Lwów 1905. Lecz krytyka mnie zniechęca i znów cofam się ze sceny.

W trakcie roku 1902 wstępuję do „Słowa Polskiego”. Tu praca dziennikarska pochłania mnie. Prowadzę kronikę miejscową, zagraniczną, prowincjonalną — dział literacki, piszę recenzje teatralne, artykuły Przez moje okno i jestem obowiązana wypełniać luki dziennika wiadomościami ze świata. Daję dziennie do 400, 500 wierszy

druku, załatwiam korespondencję, jestem używana jako reporter.

Wszystko to za 150 guld. miesięcznie. Przestaję wtedy pisać, bo nie mam czasu na nic, tylko nocami, dorywkami — piszę powieść Jak tęcza („Kurier Codzienny”, Warszawa, 2 tomy), Modlitwa Pańska (1 tom, „Tygod. Ilustr.”). Dalej już piszę głównie powieści: Sezonowa miłość (Warszawa, „Kurier Warszawski”, 2 tomy, 1905). Pan policmajster Tagiejew (2 tomy, Lwów 1905), Rajski ptak („Wędrowiec” 1905, 2 tomy), Córka Tuśki („Kurier Warszawski”, 2 tomy 1906).

Lecz scena ukochana mnie ciągnie. Będąc ciężko chora, prawie skazana na śmierć, piszę w ciągu trzech dni Moralność pani Dulskiej. —

Następnie: Ich czworo, obecnie Skiza. Zaczęte mam dwie powieści: Szaleństwo i Kobieta bez skazy.

Miałam zaczęta sztukę trzyaktową, o której marzyłam od dawna. Zaczęty jest I akt i dwie sceny II aktu. Ale brutalna i ohydna krytyka Wł. Rabskiego („Kurier Warszawski” z dnia 5 października 1908 roku) dopełniła miary. Nie chcę więcej pisać dla sceny, bo nie mam siły znosić tych chłost brudnych i jadu pełnych. Z mądrych krytyk uczę się rada, poprawiam wady. Z przepojonych jadem truję się, tracę siły i chęć. A bez tego nic stworzyć właściwie nie można. — Powieści mi nie szarpia, powieści moje najczęściej pokrywają głuchym milczeniem, ale na sztukę rzucają się jak na żer. Byłam sama krytykiem, wiem, jakie są krytyka obowiązki. Nie dopełniono ich względem mnie, a raczej z bardzo nielicznymi wyjątkami. Dwadzieścia pięć lat walki — to za wiele. — Dlatego przestaję pisać na scenę. Wróciłam do „Słowa Polskiego”, gdzie piszę tygodniowe artykuły i za wszelką cenę pragnę tylko spokoju. W trakcie tego gram na scenie polskiej — jadę do Paryża, wybijam się tam w najpierwszym teatrze Antoine'a jako francuska artystka, wracam do Polski i obejmuję pierwszorzędne stanowisko po Hoffmanowej w Krakowie, później we Lwowie. — Role dramatyczne i „grandes coquettes”.

Zakładam w roku 1904 szkołę dramatyczną w Krakowie, która prosperuje świetnie i daje zdumiewające rezultaty. Zamykam ją dla braku zdrowia. Tłumaczona jestem ciągle, przeważnie na język rosyjski i niemiecki. Ale mnie to nie obchodzi i zupełnie się tym nie interesuję. Tamten grany jest nawet po szwedzku, w tłumaczeniu panny Ellen Wester — taka Dulska grana jest nawet w Tyflisie; w Paryżu wyszła w tym roku moja Modlitwa Pańska, w Berlinie Kaśka Kariatyda — w Kijowie grają ciągle moje sztuki, tak że krytyka nazywa teatry kijowskie „teatrami Zapolskiej”. We Włoszech wydano Rajskiego ptaka. Ale mnie to ani rozczula, ani obchodzi. Śmieszne, mi się zdaje robić z tego jakieś wielkie cas. Obchodzi mnie stokroć więcej uznanie mej pracy i chęci do pracy w kraju, jak to, że mnie raczą przetłumaczyć. Nie aspiruję do nazwy pisarza europejskiego, ale do nazwy pisarza polskiego. Dla mnie to wystarcza, bo wiem, że jest na solidniejszych podstawach oparte.

OTWIERAJĄ OKNA!

— Jutro odkitujemy okna, wyjmiemy mech i Baśka wymyje szyby.
Słyszysz, Basia?

Pani złożyła książeczkę, w której dokumentnie i uważnie spisywała codzienne wydatki.

— A teraz dzieci spać! — zakomenderowała, stukając ołówkiem o brzeg stołu.

Przeciągłe mruczenie odpowiedziało z kątów dreliszkiem krytej sofy.

Niewyraźne drobne masy poruszały się w cieniu.

I tylko przez poręcz przechylona jasnowłosa głowa małej dziewczynki złociła się z daleka masą powichrzonych włosów.

— Niech Basia dzieci obudzi i spać położy! — zawyrokowała matka.

Basia podciągnęła nosem, poprawiła wiecznie na bakier przekreślony fartuch i stukając „abzacami” u rozkładanych trzewików, potoczyła się w stronę sofy.

— Ano, to niech dzieci wstajom! — wyrzekła, trącając delikatnie tłustą rączkę dziewczynki.

Lecz „panienka” wydała przerażający wrzask, jak gdyby ją nagle obdarto ze skóry.

— No... ty!... idź... nie ruszaj!... — piszczało dziecko, na wpół senne, kryjąc teraz jasną główkę w poduszki sofy z uporem rozspanego kociaka.

Na wrzask dziecka pani zwróciła się szybko w stronę sługi.

— Co to znów takiego? dlaczego Basia szarpie panienkę? Mech mi się to więcej nie powtórzy!

Basia stała teraz nieruchoma z wyrazem zakłopotania na okrągłej, śniadej twarzy. Wreszcie cicho szeptać zaczęła:

— Panienko!... panienusiu!... panno Maryńciu!... panie Dydak... panie Pęcak!... niechaj panicze powstajom!... do łóżka iść trza!... już późno w nocy!...

Lecz ani pan Dydak, ani pan Pęcak, ani panna Maryńcia nie zdawali się słyszeć szeptu dziewczynki.

Trwało to długo, tak długo, że aż sama pani zniecierpliwiona zwróciła się znów ku Basi:

— No i cóż? czemu Basia nie budzi dzieci? co Basia szepcze? czy Basia nie wie, jak się z dziećmi obchodzić?

I wzruszając ramionami, przez zaciśnięte zęby dodaje:

— Niedołęga!

Słowo to ma magiczną władzę.

Z kąta sofy podnosi się nagle mały chłopak i śpiewać zaczyna:

Niedołęga tupnie nogą, Ma pieniądze pod podłogą...

— Cicho! — rozkazuje matka. — Widzi Basia, że dzieci nie śpią.

— Ano to mnie tylko na złość tak robią, proszę pani! — protestuje Basia płaczliwym głosem.

— Cicho!... — upomina matka — co to znaczy? Basia nauczyła się odpowiadać? Jeżeli tak dłużej będzie, to Basia u mnie nie popasa! Ano!... teraz do pacierza i spać!...

I długa, sucha, zawiędła we flanelowym ubogim szlafroku, niknie nagle z jasnego koła światła, płynącego spod abażuru lampy.

Po niej na stole zostaje rachunkowa książeczka w sinej okładce i wieczna robota szydełkowa, do której jej anemiczne ręce zdają się być przylutowane.

Pomiędzy drobnymi masami zalegającymi kąty kanapy rozpoczyna się ruch i zamieszanie. Małe cienie powstają, ramionka odziane w ciemne sukienki wysuwają się, jaśniejac punktami zaciśniętych pięści.

W głębi pokoju matka krząta się koło łóżeczek, przez których szczebelki bieleją prześcieradła, i wydobywa nocne koszulki, te zmory dzieciennych lat, wieczny przedmiot jęków, pisków, narzekań, zwłaszcza podczas zimy. Tymczasem Basia zdołała postawić na ziemię „pannę Marynię”, która trze oczy kułakami i chwieje się na tłustych nóżkach, z których spadają zbyt duże i wytarte pantofelki.

Nazywano Basię „niedołęgą” — a była w tym jej własna wina.

Raz jeden, będąc w przystępie dobrego humoru, zaczęła w kuchni tańczyć, śpiewając:

Niedołęga tupnie nogą, Ma pieniądze pod podłogą...

Było to owego pamiętnego wieczoru, podczas którego matka i ojciec poszli „na Mierzwińskiego”.

Dzieci zostały pod opieką Basi i naturalnie wyniosły się do kuchni, gdzie czuły się dobrze, ciepło i wesoło.

Basia cerowała pończochy, siedząc na kuferku pod zapalonym kinkietem. Maryniecarka wlała w duży sagan, Dydak zabrał się do czyszczenia samowara, a Pęcak, tak nazwany z powodu niezłej tuszy, jadł szmalc garścią, przykucnąwszy przy spizarce znajdującej się poza plecami Basi. Lecz Baśka w tej chwili oddawała się całą inteligencją rozrachunkom swego finansowego stanu. Po długiej kalkulacji doszła do wniosku, iż interesu jej nie stoją tak

„podle” i że mając u pani całą kwartalną pensję w kwocie rubli srebrem siedmiu, może się czuć nawet bogatą.

Wprawdzie były jeszcze trzewiki, w których te nieszczęsne „abzace” znów się do cna zdarły, ale przecież znajdzie się „szewiec”, który „abzace” nabije i będzie można jeszcze całą wiosnę przechodzić.

Rada więc z siebie, ze swego bogactwa, ze swych dwudziestu pięciu lat, z czeladnika rzeźnickiego, który jej zawsze „dokładkę” do mięsa dorzucał, ale to dokładkę nie taką zwyczajną, tylko „dużo znaczną” — Basia, bijąc piętami w kuferek, śpiewać zaczęła:

Niedołęga tupnie nogą, Ma pieniądze pod podłogą...

Dzieci, które nudzić się zaczynały — jedno w przepaści sagana, drugie w tumanach cegły, trzecie w bagnie smalcu, chórem podchwyciły:

Niedołęga tupnie nogą, Ma pieniądze pod podłogą...

Baśka wybijała coraz mocniej takt, a Maryniecarka zaczęła walić pięściami w ściany sagana.

I od tej chwili Baśkę przezwano „niedołęgą”...

Radkiem wczesnym porwała się Basia z łóżka i dopadła do lusterka zawieszzonego u okna.

Lusterko było krzywe, oprawne w ramki, z których zlazła pozłota.

Lecz Baśka uważała je za najpiękniejsze ze swych skarbów, które przenosiła ze służby do służby w zielono pomalowanym kuferku.

Czesząc niezbyt długie i rzadkie włosy, Baśka westchnęła raz i drugi.

Westchnęła nieboga, bo za oknem była już wiosna,

wczesna i ciepła, ta wiosna, co po ścierniskach błękitnawe smugi snuje o zachodzie, a o wschodzie złoci się i kapie, jak młode kaczę, świeżo z jajka wyklute.

Stan duszy Baški na wiosnę bywał bardzo tęskny i smutny. Szarpało coś dziewczyną, szarpało od żalości.

Zdawało się jej chwilami, że rada by zakopać się w tę ziemię, z której płynęły kłęby wilgotnej woni, i zginąć tak jak kret, jak marna mysz polna.

Stan duszy Baški na wiosnę bywał tęskny i smutny. Coś się jej roilo o sieroctwie i śmierci.

Buciki z „abzacami” uciskały jej nogi przyzwyczajone do latania na bosaka po młodej i świeżej trawie. Na próżno przypominała sobie, że ma u pani całą kwartalną pensję i że nie marudzi się jej w tej nowej służbie.

Tęsknica tłukła się w jej piersiach, zawodziła, rwała do słońca i uciekała w cień.

I Baška, czesząc swój warkocz, miała szare ślepie, pełne diamentowych łez. Wstała już z takim smutkiem i wiedziała, że całą wiosnę będzie go nosiła w sobie razem z sercem i dopiero na majowym nabożeństwie wypłakawszy się do sytu, odzyska spokój i równowagę.

Zwłaszcza dzień, w którym otwierano okna, bywał dla Baški ciężki do przebycia. W pudełkach ciasnych pokoików zamknięta, w zaduchu kuchennym nie czuła, że już zima skończyła się i wiosna tryumfalnie nadchodzi. Przez otwarte i odkitowane okna wpadała jednak ta woń wilgoci ciepłej i rozkosznej, która Baškę upajała i doprowadzała do łez.

Stan duszy Baški na wiosnę bywał smutny i tęskny...

Z arkuszków szarej bibuły, ułożonej na krześle, Pęcak i Dydak porobili sobie stosowane kapelusze.

Marynieczenka poprzestała na wielkim wachlarzu, ozdobionym kawałkiem różowej glasy.

Z wielką uwagą, z ustami zaciśniętymi, oczyma szeroko rozwartymi, śledziły dzieci operację odkitowywania

okien. Całe stosy miniaturowych gruzów leżały na ziemi.

Okna otwierały się powoli, na deski sypał się piasek wilgotny, zmieszany z gruzełkami kitu.

Baška bosa, z rękawami zawiniętymi ponad łokcie, spocona i zaczerwieniona, wyjmowała z okien duże płyty mchu, zgniłego od wilgoci i upstrzonego papierowymi czerwonymi różami.

Natychmiast Marynieciska wytrzymała rękę i porwała kilka z tych kwiatków.

Z kokieteryą wpięła je w swe krótkie i rozczochrane włosy. Róże natychmiast nabrały wdzięku na tle tych złotych jedwabi. Przypominały teraz korale w złotej oprawie filigranu lub krople krwi na tle królewskiej, ze złotogłowiu utkanej szaty.

Wzdychając i sapiąc, Baśka zdjęła pierwsze okna z zawias i postawiła je na ziemi.

— Nie ruszajcie, dzieci! — upominała, nie patrząc nawet w stronę małej gromadki.

Szybko uprzątnęła gruzy i śmiecie i wzięła się do otwierania drugich okien.

Szarpnęła raz i drugi, jakby zdjęta nagłą niecierpliwością. Okno otwarło się i gorący prawie kłęb powietrza uderzył w twarz sługi. Ona, przez chwilę oszołomiona, przymknęła oczy, tracąc świadomość istnienia. W tej chwili do pokoju weszła sama pani.

— Spiesz się, Baśka, Baśka... jak to? jeszcze okna nie umyte?

Baśka porwała się, jakby ze snu zbudzona, poskoczyła ku olbrzymiej miednicy, w której szarzała przygotowana z ługiem woda.

Przyniosła miednicę i zaczęła wdrapywać się na framugę okna.

Pani zrobiła gest trwogi.

— Co ty wyrabiasz, Baśka!... zlecisz! zdejm okno i weź je z sobą do kuchni.

Lecz Baśka już stała w oknie, rysując się krępą sylwetką na jasnym tle nieba. Zaczęła śmiać się z rodzajem wyzywającej odwagi.

— E! co tam mam zaraz spadnąć!... nic mi ta nie będzie... albo to pierwszy raz okna myję?...

Pani protestowała, ale słabo.

— Proszę cię, ja nie chcę mieć odpowiedzialności.

Baśka szybkim ruchem podniosła wierzchnią spódnice i zapięła ją z tyłu podwójną szpilką, wyjętą z głowy.

— Jakby ta trzeba było wyjmować każde okno, to by człowiek nie skończył do sądneho dnia... — odparła, nabierając rezonu, śmiałości w tej sytuacji napowietrznej, która pozwalała jej dominować ponad panią, ponad Dydakiem, Pęcakiem, Marynieciską i tymi szeregi ludzi, których

widziała na dole, nisko, pod stopami snujących się, jak małe mrówki czarne i niepochwytne.

— Rób jak chcesz — odparła pani — ja wychodzę... nie mogę patrzeć na takie rzeczy!

Natychmiast zabrała się Baśka do roboty.

I rzeczywiście, cicho, w pantoflach filcowych pani wyszła z pokoju.

Przede wszystkim wyżeła porządnie ścierkę, aby przechodniów nie oblewać wodą. I nagle w skrótenu migających ramion odcięła się dokładnie jej postać, jakby obramowana złocistym konturem słonecznym. Różowy perkalowy kaftan silnie przylegał do jej torsu i z daleka czynił ją prawie nagą, spowitą tylko od bioder w draperie ciemnej podniesionej spódnicy. I tylko nogi jej czerwieniały świecąca skórą, rozkładając się wachlarzem palców na białej desce okna.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza...

Dzieci, zbite w gromadkę, stały wpatrzony w Baśkę z szacunkiem i przejęciem. Nagle Dydak iść w stronę okna zaczął z widocznym jakimś postanowieniem.

Wstrząsnął silnie pióropuszem stosowanego kapelusza i miał minę zdecydowanego człowieka.

Rzeczywiście — w duszy dziecka powstała decyzja: wleźć na okno i myć je tak samo jak Basia.

Porwawszy arkusz bibuły, nie zużywając marnych słów na próżne rozmowy, Dydak włączyć na okno zaczął.

Natychmiast ze strony Baśki nastąpiła opozycja.

— Paniczu!... co panicz wyrabia!... proszę stąd odejść. Panicz spadnie!...

Lecz Dydak, uparcie milcząc, zamiar swój doprowadzał do skutku.

Baśka wołać zaczęła:

— Pani! proszę pani! panicz na okno lezie!

Ręka dziecka wyciągnęła się w stronę nóg sługi.

— Ty!... donosicielka!... — wyjąkał Dydak, ze złością uderzając Baśkę w nogę.

Baśka nagle zawirowała i na wznak padając, znikła w jasnej przestrzeni. I teraz słoneczna jasność, nie zakryta jej krępą sylwetką, zabłysnęła tryumfalnie wiosenną światłością.

W pokoju pozostały dzieci skurczone, przerażone, z oczyma szeroko otwartymi, wpatrzonymi w pustkę tajemniczą, w której znikła sługa.

Paryż, 25 marca 1895 r.

PANI DULSKA PRZED SĄDEM

Pani Dulaska dla całego domu
narządziła świeżą bieliznę.

I to we wtorek, wbrew
zwyczajowi. W domu Dul-
skich bowiem zmieniano
bieliznę w niedziele
i czwartki, poszewki i prze-
ścieradła — co dni piętnaście.

O tem mówiła Pani Dulaska z pychą źle
ukrytą:

— Są takie panie, które co miesiąc na-
włóczą pościel i potem zdaje się im, że u nich
porządnie... Ja wolę oszczędzić na jedzeniu
a mydła nie żałować. Już taka moja natura!
Insza nie będę!

Toczyła dokoła wzrokiem groźnym, mó-
wiąc te słowa. Barchanowy granatowy szlafrok

w duże szare talary opadał w szerokich fał-
dach, wznosząc się wszakże na biodrach.

Charakterystyczny węzełek włosów sterczał na czubku głowy. Cała postać zionęła dobrem odżywianiem się i gniewem. Ręce były stale zabrudzone na końcach palców. Pani Dulaska nie miała czasu nigdy wyszorować ich do czysta. Przytem grzebała ciągle w piecach, w cukrze, czyściła grzebienie, krajała mięso, uczyła kucharkę, jak się paproszy zające, oddzielała białka, przygotowywała dla Meli proszki i pomadę do włosów, ugładzała sól w solniczkach, próbowała śmietanę, liczyła brudy, — słowem, palce jej ciągle przylepiały się do czegoś, zabierały coś na siebie, jak te pracowite pszczołki, fruujące wśród kwiatów. — Insza nie będę! — powtórzyła pani Dulaska, czekając na opozycję. Lecz tej nie było. Zbyszko ulotnił się, Mela i Hesja siedziały w swoim pokoju. Felicjan palił cygaro w przedpokoju, bo mu tam było najwygodniej. Pani Dulaska zatem mówiła w próżnię.

Otworzyła szafę i ładowała dalej bieliznę dla całego domu. Zwłaszcza starannie wybierała bieliznę Felicjana i swoją.

— To my staniemy jutro przed sądem!... trzeba, ażeby wszystko było, jak należy! Na to wspomnienie panią Dulaska oblały ponsy. Pokiwała głową.

— Przed sądem!... Do tego doszło!

A wszystkiemu winien — kto? naturalnie Zbyszko.

Żeby nie on, kokocica z pierwszego piętra nigdy nie byłaby się rozzuchwaliła. Sprawdzając się, miała najwyraźniej zapowiedziane, że wynajmuje się jej mieszkanie, ale pod warunkiem, że będzie sza! ani mru, mru, łagodnie,

cicho, jak Pan Bóg przykazał. Przystała na wszystkie warunki, dostała klucz, zgodziła się płacić stróżowi cztery guldeny na ręce pani Dulskiej i wprowadzać swoich gości kuchennymi schodami i na palcach. Zwłaszcza co do stróża pani Dulska była bardzo rada, bo to uwalniało panią Dulską od płacenia mu pensji,

jako stróżowi kamienicy. I wszystko było w porządku. Kokocica spała cały dzień, nie miała sługi, plotek nie było. Posługiwał tylko jakiś stary żyd, który przemykał się, jak cień, po ganku, nosząc rano czekoladę w podwójnych porcjach z pobliskiej cukierni. Zresztą — okna, wychodzące na ulicę i na ganek, szczelnie pozasłaniane storami koronkowymi, pozaciągane różowym i żółtym jedwabiem. Czasem tylko na balustradzie ganku od dziedzińca żyd w szarej kurtce, nucąc coś cichutko, rozwieszał śliczne szlafroki, jak z puchu, z rękawami długimi, wiewającymi, jak chorągwie błękitne, oszyte koronką. Czasem zabłysła złota atlasowa kołdra, opięta wspianiem, walansienkami strojnem prześcieradłem, zawieruszył się jasek, jak cacko, ubrany w kokardki, na których plątały się długie, rudawe włosy kokotki. Z kuchni Dulskiej wypadła wtedy Hesja i, szeroko otworzywszy oczy, chłonęła w siebie widok tych cudów, ona, która znała tylko dessous kobiece z uczciwego płótna i oszyte

dzierganymi ząbkami lub tiulikiem haczkowanym z krętej bawełny. Na twarz dziewczyny wybiegały wypieki. Wpatrzona w balustradę

ganku, zdawała się wciągać w ruchome nozdrza woń perfum zmieszanych, któremi kokotka cała była przesycona i przesycała wszystko, co dotykało jej ciała.

Milczące, ciekawe, przejęte tym widokiem dziecko Dulskiej tonęło myślą, żądzą, pragnieniem — w tanim przepychu warsztatu rozpusty. Żyd delikatnie, z jakimś nabożeństwem obchodził się z temi wykwintami, dmuchał na nie, roztrzepywał, przypatrywał się z lubością i zachwytem. Lecz gdy spotkał się ze wzrokiem Hesi, przybierał obojętną minę, i rybie jego oczy powlekało jakby bielmo głupoty. Zbierał szlafroki i pościel i znikał w głębi domu.

Raz jeden Hesia dostrzegła tylko, jak przez otwarte drzwi kuchni wypadła kokocica w przepysznej, blado-zielonej halce, naszytej od bioder koronkami, we włóczkowej chustce

na ramionach i z rozrzuconą masą włosów. Mignęły plecy rozpustne i twarz grającego anioła z bazyliki Piotrowej. Porwała szlafrok i znikła.

Tej nocy Hesia długo nie spała.

Lecz o tem nie wiedziała pani Dulska.

I nie przeczuwała.

* *

Pani Dulska była spokojna i kontenta, że tak dobrze ma wynajęte pierwsze piętro.

Młode małżeństwo, więc o bożym świecie nie wie, a potem jest znowu dobrze i pobłażliwie usposobione,— i panna Matylda Sztrumpf— prywatyzująca.

Co komu do tego?

Prywatyzująca.

I tyle!

Cicha, grzeczna, bieliznę oddaje za dom,
na strychu nic nie ma, w piwnicy także —
(strych i piwnicę pani Dulaska odnajęła praczce
i sklepikarzowi) awantur o granie na forte-

pianie nie robi, czynsz kwartalnie z góry płaci.
To sobie pani Dulaska wymówiła. Inni loka-
torzy płacą miesięcznie. Ale Matylda Sztrumpf
kwartalnie. Mama Dulaska jest przebiegła i choć
sama jest bardzo tego... ale rozumie się na
handlowej stronie takich pań. Dziś dobrze
idzie, — gumy, boa, meble, a jutro coś się
odwróci i — czarna serja. Mama Dulaska woli
się zabezpieczyć na trzy miesiące naprzód.
Zawsze — przez trzy miesiące taka Matylda
może już znów mieć boa, automobil, gumy
i czynsz dla Mamy Dulskiej.

A nawet pani Dulaska miała dla Matyldy
Sztrumpf pewne uznanie. Oto pani Dulaska
wpadła nagle na pomysł... poświęcenia kamie-
nicy. Kupiła bowiem ową kamienicę od żyda,
który ją zbudował. Kamienica była niepoświę-
cana i sługi o tem szeroko po całej ulicy
mówiły. Stróżka i ci z suteryny twierdzili
nawet, że coś na strychu straszy, a nocami
po schodach chadza. Pani Dulaska urągała
takim opowieściom, bo była esprit fort i wielką

sceptyczką w głębi duszy, mimo, iż dokumentnie
odprawiała wszystkie formułki nabożne i tra-
dycją nakazane. Ale pragnęła, aby żadna skaza
nie powstała na fasadzie jej domu. Kazawszy
odmalować front, balkony, okna, powprawiać
kolorowe szyby w okna schodowej klatki,

uznała za stosowne zarządzić poświęcenie domu. Ksiądz miał obejść wszystkie mieszkania, pokropić kąty i odczytać modlitwy. Zbyszko zdawał się tym projektem zachwycony.

— Oto! to! właśnie... właśnie!... śmiał się, siedząc pod piecem. — Doskonale! — trzeba tylko zacząć od głównej lokatorki. —?

— No... pani Matyldy Sztrumpf. Tam właśnie poświęcenie będzie na miejscu! Pani Dulaska aż zdębiała. W jednej chwili ogarnęła myślą sytuację i wyjątkowo w duszy przyznała Zbyszkowi rację. Bardzo umiejętnie przelawrowała w tej drażliwej sprawie. Matylda Sztrumpf skryła

się w najtajniejsze zakątki swego apartamentu, a pani Dulaska oświadczyła księdzu, iż ta lokatorka wyjechała do rodziców i klucz ze sobą zabrała.

— Tak żałuję... tak żałuję... powtarzała pani Dulaska, deptając księdzu po piętach — i ona będzie żałować, bardzo godna dama, bardzo miła...

— Nigdy nie pozwoliłabym na profanację — uspakajała swe sumienie Dulaska, bo coś tam zaczęło ją kręcić, gdy ksiądz uczciwie i serdecznie modlił się, obchodząc ściany jej domu — w swej świeżo wypranej, wykoronowanej komży.

* *

I tak żyłyby Matylda Sztrumpf i pani Dulaska pod jednym dachem cicho, zgodnie, przyjemnie dla stron obu.

Wprawdzie w oficynie krawcowa i żona konduktora kolejowego coś niecoś miały przeciw prywatyzującej, ale pani Dulaska umiała godnością swoją pokryć wszystko i nawet

przeciagnąć panią Oderwankową na stronę kokotki. Żona konduktora czuła się zaszczyconą względami pani gospodyni i zaczęła widzieć w Matyldzie Sztrumpf damę miłą i elegancką, żyjącą z własnych funduszków.

— A zresztą... kto wie, moja pani, co to jest właściwie.

— Naturalnie. A potem nie sądźcie...

— Tak! Tak! —

Założyły ręce na brzuchach, pełne pobłażliwości kobiet bez zarzutu dla tych, które zarzuty dźwigały na sobie wraz z brylantami i koronkowymi bluzkami.

— Bo niewiadomo, moja pani, co by się stało z nami, gdybyśmy się tak chowały bez matek, jak może ta... wyszeptała nieśmiało konduktorowa, która znacznie była szersza w swych odczuciach.

Dulska się nadęła.

— To nie, moja pani! — już ja — żebym się nawet bez matki urodziła, zawsze byłabym, czem jestem.

Konduktorowa spostrzegła się, że za daleko poszła.

— Tak... tak... ja tylko sobie ot...

Właśnie przez bramę przesuwała się Matylda Sztrumpf. Miała elegancki i doskonale skrojony kostjum biały z granatowym, rękawy z takim samym żakietem tailleur, bardzo otwartym na przedzie, a na głowie wyzywająco-szykowny kapelusz z piórem, jak u generała w pierwszy dzień Wielkiejnocy.

— Prześlicznie się ubiera! — uśmiechnęła się błada i wiecznie w jednej orzechowej sukni i w wielokrotnie pranym popielato-wyblakłym paltociku chodząca zona konduktora.

— Bardzo... bardzo... — chwaliła Dul-ska — wiadomo, żyje z procentu, to może sobie i to, i owo...

— Tak, tak. Ale — z gustem.

— O, to osoba osobliwa. Zdaje się nawet za hrabią była. Umarł podobno parę lat temu. Zostawił jej dziecinę.

— No, moja pani gospodyni. Jaki to los... Fani Dul-ska przed sądem. 2

Żona konduktora rozrzewniła się. Miała skrofulicznego siedmioletniego chłopca. Bardzo była macierzyńska.

— Dziecinę! A gdzież?

— Chowa się u rodziny męża. U hrabskiej rodziny.

— Czemuż nie przy mamusi?

Dul-ska zmarszczyła brwi.

— Moja pani! są dzieci, zwłaszcza z tych pańskich, że im powietrze miejskie nie służy. Dziecina jest na wsi.

— A... tak!...

Konduktorowa westchnęła.

— Ach! żeby tak mego Olaf uncia można na wieś!... Ale skąd! — teraz taki pieniądz drogi... Wiktuały... czynsz...

Dul-ska zebrała w rękę tren szlafroka i znikła w głębi bramy.

Konduktorowa w najtajniejszych zakątkach duszy wypielegnowała życzenie: złam pysk, lecz było to tak ciche, jak to, co człowiek w swej jaźni zamyka na hermetyczne aniel-

skie zamki, nie wypuszczając na światło dzienne. Szło przecież o to, aby Dulska nie podwyższyła czynszu, więc należało zachować pewne komentarze, i trzymać z panią gospodynią sztamę.

A Dulska idąc po wschodach, po których włączył się jeszcze zmieszany zapach perfum kokotki, przemyśliwała, jakby wyciągnąć jeszcze czynsze w oficynie. Naczytała się właśnie o procesie kolejowym, na którym rozwłoczono jawnie bajeczne kradzieże, dokonywane w kufrach i przesyłkach. Majaczyły się jej przed oczyma całe sezamy bogactw, w których ręce zanurzał pan kolejarz.

— Jeżeli inni — pomyślała, — dlaczegożby i nie taki Oderwanek, — może i on... a skoro mieszka pod dachem uczciwej kamienicy, niech za to płaci!

Do głowy jej nie przyszło, aby złodzieja usunąć z pod tego dachu — ale... niech płaci!... Płaciłby przecież passerom.

Lecz oto Zbyszko, który po awanturze z Hanką puścił się na wielką łobuzerkę, spotkał się gdzieś nad ranem na wschodach z Matyldą Sztrumpf. Te dwie rozpusty zielone i zgniłe, cuchnące kwasem szampanowym i nieświeżemi ostrygami, zajrzały sobie w oczy.

W jednej chwili porozumieli się. Ona nie mogła dodzwonić się na swego starego żyda, który gdzieś drzemał w głębi apartamentu.

Zapomniała klucza.

On szedł wolno i zatrzymał się.

Jej białe boa puszyste i kosztowne wlokło
się po dywanie schodów.
On przydeptał je butem.
— Och! pardon.
Kokotka parsknęła śmiechem.
— Nie szkodzi! — rzuciła.
— Może — proszę częściej?
— Może...
Śmieli się oboje leniwym, niemiłym śmie-
chem.

Za drzwiami apartamentu rozległo się
człapanie pantofli.
— Wreszcie idzie to stare bydlę — mó-
wiła wdzięcznie Matyllda Sztrumpf.
Drzwi się otwały.
Zbyszko wcisnął się przemocą.
— Może się i młode bydlę na co przy-
da! — zaproponował.

* *

Na pierwszego Matyllda Sztrumpf nie za-
płaciła czynszu, co więcej, gdy Dulska posłała
z biletem stróża, ten zaraportował, że pani
powiedziała mu, że się już z młodszym panem
ugodziła.
Dulska posłała ponownie stróża.
Kokotka, która właśnie konstruowała cały
abażur z loków na głowie, posiadając swych
własnych pięć włosów do tego, odpowiedziała
krótko i w swym ojczystym języku:
— Schauen's, dass Sie weiter kommen.
Dulska zdębiała.

Nie rozumiała nic. Felicjan wzruszał ra-

mionami, Julja Siewiczowa miała influenza, i Dulaska za nic byłaby tam nie poszła. Zbyszko, na którego Dulaska napadła, jęta szalem, wybuchnął nieprzyzwoitym śmiechem i odmówił wyjaśnień. Natomiast na domiar nieszczęścia nakazano z magistratu, aby tradycyjne koszyki do śmieci, w których wicher tak cudownie rozwiewał brud i zarazki po ulicach miasta, zostały zastąpione przez jakoweś pudełka drewniane z pokrywkami.

— Czemuż nie okute w srebro? — wrzeszczała Dulaska — zarazki... no to co? z czegoś ludzie muszą umierać!

Właśnie stolarz przyniósł takich czternaście śmieciarek i ustawił je, jak wojsko na dziedzińcu.

— Wielmożna pani gospodyni pozwoli! — błagał pokornie zartretyzmowany stróż, ziejący wszystkimi porami wilgoć piwniczną, w której moczyła go dzień i noc wielmożna gospodyni.

Jak wicher, jak huragan, zleciała Dulaska po schodach. Zapomniała podwiązek. Zatrzymała się i majestatycznie przypięła pończochę haarnadla, wyjętą z włosów, do barchanowych majtek. Poczem już z godnością, lecz z temperamentem, narzuciła się na stolarza i jego śmieciarki.

Choć zdawało się, że cała jej przemyślność pracuje w kierunku, ażeby urwać stolarzowi coś ze zgodzonej ceny, jednak troska o niezapłacenie czynszu przez Matyldę Sztrumpf dominowała nad wszystkim.

Ujrzawszy więc panią Oderwanek,¹ wracającą z miasta, gdzie owa dama maczała przez

pół godziny palce we wszystkich garnkach ze śmietaną i masłem, narzuciła się znów na nią, zapominając o śmieciarkach, magistracie i stolarzu.

— Pani wie... moja pani, że ta, ta...

Poleciał potok słów.

Oderwankowa stała cierpliwie na środku

dziedzińca, chłonąc w siebie jakieś zadąsane gdakanie pani Dulskiej.

Wreszcie pokiwała głową i wyrzekła:

— To było do przewidzenia. Skoro pan Zbyszko od niej nie wychodzi...

— Kiedy? jak? gdzie?

— To już nie wiem, kiedy, ani co. Ale to wiem, że tam przesiaduje często, a rankiem czasem razem dorożką na gumach wracają, bo mój mąż, jak kiedyś z obiadu wracał, to ich tak przed bramą spotkał.

— Jezus Marja!

Dulska porwała się za głowę, za piersi, za kark, kopnęła śmieciarki i poleciała na górę.

Co się tam działo, — wiedzą tajniki rodzinne familji Dulskich.

Błoga niezgoda, będąca opiekuńczym aniołem ogniska tego rodzinnego kółka, stworzonego na podstawie praw boskich i ludzkich, wzrosła do niezwykłych rozmiarów.

Długo w nocy, przykładnie wstawione łóżka małżeńskie, przedzielone wytwornym

meblem (zwanym po polsku nachkastlikiem), słyszały cudowną litanję wyzwisk ze strony Dulskiej i chrząkań ze strony Felicjana. Nie

było to wprawdzie nic nowego, bo już od dawna to prześliczne zespojenie legowisk małżeńskich, świadczące o uszanowaniu tradycji i świętości sakramentu, było właśnie terenem słownych walk i wyładowywania wściekłości dziwnej a jednostronnej. Walki owe były raczej monologami Dulskiej, w której duch jej nie przechodził tych momentów, o których mówi się, iż dusza razem z duchem pracują nad wzmocnieniem fundamentów świątyni, w której przebywają...

A może to właściwie było koniecznym cementem do spajania cegiełek owej świątyni — Dość — że Felicjan tonął w watowanych kołdrach, w rezygnacji pozornej i schadenfreudzie piekielnej a milczącej, a Dulska poniewierała jego godność i honorowość na odległość szafki nocnej.

Owego pamiętnego wieczoru ponieważ ranie to podobno doszło do kulminacyjnego punktu.

Tak twierdziła Henia, która zawieruszyła się pod drzwiami i tam długo bez tchu słuchała słów swej rodzicielki.

Od tej chwili rozpoczęła się jawna walka pomiędzy Dulską i Matyldą Sztrumpf.

Kokotka dostała sądowe wypowiedzenie z racji niezapłacenia czynszu. Dulska chciała ją początkowo delożować z powodu niemoralnego prowadzenia się, jednak namyśliła się, iż kokotka może dowieść, że Dulska wiedziała doskonale, komu odnajmuje i przez dwa lata tolerowała ją najspokojniej w swej kamienicy. Matylda Sztrumpf zapłaciła czempredzej swoje trzy miesiące i miała prawo je wy-

mieszkać, a po nich wyprowadzić się z kamienicy.

Lecz obecnie, nie mając powodu oszczędzania właścicielki, rozwinęła szeroko i jawnie swój proceder z całą dezinwolturą i poczu-

ciem szerokiej swobody wyzwolonego z przesądów ducha.

Goście dostali zezwolenia wchodzenia o każdej porze doby frontowemi wschodami, — frontowemu (duma i pycha pani Dulskiej).

Nad niemi bowiem wyziewał resztki życia stróż, dywan był puszysty i pokryty płótnem, pręty świeciły zdala, jak żydowskie samowary, a nawet na oknach, przez które filtrowało się papuzie światło, własnoręcznie mama Dulska ustawiła sztuczną palmę, do której przywiązała dwie perkalowe kamelje, jak żywe.

I temi wschodami, które zdawały się być zakontraktowaną drogą dla nóg bogobojnych i uczciwych, właczali się dziś rozmaici ludzie z podniesionemi kołnierzami u palt, najczęściej milczący i jakby nie pewni życia. Dulska odczuwała nerwowo każde takie przejście. Po sercu jej deptały te ciche kroki albo tłumione słowa. Zdawało się jej, że ona jest puszystym dywanem, po którym depcą bezlitośnie goście Matyldy Sztrumpf.

Zwłaszcza w nocy nerwy i słuch Dulskiej pracowały.

A myśl, że i syn jej rodzony, Zbyszko znajduje się wśród tej czeredy, doprowadzała, ją do szału.

Z początku próbowała oponować, lecz ta opozycja wywarła nieszczęśliwe skutki. Kokotka z głębi swego apartamentu wyzionęła parę słów, które niezrozumiałym wrzaskiem wzbiły się w niebo.

Żyd stary właśnie rozwieszał koronki i atłasy na ganku, uśmiechnął się i spojrzał na Dulską oczyma, które z smętnych stały się groźne. Szeroko otwarte okna z sypialni kokotki wychodzą właściwie na ganek. Wbrew zwyczajowi podniesiono żółte jedwabne zasłony. Widać czerwono wyklejone ściany, szafirowe pluszowe portjery, żółty adamaszek mebli, zieloną lakierowaną wiedeńską szafę, różową kołdrę i wspaniałą amplę błękitną w złote gwiazdy, zwieszającą się u sufitu. W tym przepychu kręci się Matyllda Sztrumpf, oddając się

leniwie skomplikowanym czynnościom swej toalety w nieskomplikowanej formie stroju.

Na panią Dulską biją płomienie. Jeszcze tyle ciała w boży dzień nie widziały mury jej kamienicy. Taka kąpiel słoneczna woła o pomstę do nieba! Gdyby się choć kąpała, ale przecież się myje! I do czego to? Wszak dziś środa, nie sobota. W sobotę myje się szyję i uszy i do pół pasa. O tem wszyscy porządni ludzie wiedzą.

Westchnęła ciężko pani Dulska, cofnęła się do kuchni, policzyła na stolnicy rodzynki, które służka miała wsypać w ciasto, i poszła do pokoju zanotować ich ilość. Gdy przy stole podadzą leguminę, Felicjan i dzieci muszą raportować, ile rodzyneków każde na swoją porcję dostało. Pani Dulska zaś zsumuje ogólną liczbę i porówna z wyżej wypisaną. W ten

sposób pani Dulcka przekona się, żali Anna jest uczciwą, żali nie.

Lecz do kokotki można było zastosować doskonale przysłowie:

Dać kurze grzędę...

Matylda Sztrumpf nie chciała zrozumieć taktu i delikatnej wyższości w postępowaniu pani Dulckiej. Przeciwnie.

Zdawało się, że wciąga panią Dulcka w jakiś skandal. Rozpasala się poprostu. Coraz głośniejsze wrzaski wylatywały przez okna sypialni. W tualecie swej prywatyzująca zaniechała wszelkich tajemnic. Kąpiele słoneczne przeniosła z głębi swych barwnych komnat na ganek. Początkowo wiewały na jej ciele peniuary z rękawami, zamiatającemi pył z pod jej stóp. Lecz i te peniuary zostały uznane za zbytczne. Matylda Sztrumpf wygrzewała swe białe plecy bez osłon tuż przy balaskach gankowych. Pani Dulcka cierpiała na ten widok i podciągała pod swój podbródek barchany i welwety. Ze zdwojoną energją siekała preparaty, z których miał być fałszywy zajac na niedzielne uroczystości familijne.

Lecz ten łomot tasaka nie uspakajał Matyldy Sztrumpf. Przeciwnie, jakby ją podniecał. Pani Dulcka przed sądem.

Coraz silniej spadały z niej koronki, a halka jaskrawa z pomarańczowej tafty cudem czepiała się bioder, ledwo okrytych batystową koszulą. Matylda Sztrumpf żuła suszone śliwki, plując wdzięczne pestki w stronę pomieszkania

samej gospodyni. Gardłowym, wypłukanym przez koniaki głosem, nuciła melancholijnie pieśń o małym trotlu i biła, jak kopytami, dużymi nogami o deski ganku.

Zawieszona tak między niebem a ziemią, siała dokoła zgorzenie i niepokój, ujawniała tajemnicę swej rozpusty i hańbiła na wiek wieków dobrą reputację kamienicy Felicjanowej Dulskiej. Lecz mało było tego.

Matylda Sztrumpf od pewnego czasu była w rozterce ze starym żydem, który przecież służył jej wiernie, dyskretnie i zręcznie.

Co chwila rozlegały się nieludzkie wrzaski, wymysły bogate, wiedeńsko-czerniowieckogalicyskie, z okien i drzwi wylatywały na ganek, dziedziniec, pantofle, miednice, buty męskie, szklanki, ramki do fotografii, laski, rozmaite

sprzęty. Lokatorowie wybiegali na ganki przerażeni, zdumieni, zgorzeni. Pewnego lipcowego ranka Matylda Sztrumpf prywatyzująca wytrąciła za drzwi swego factotum, który wyleciał na ganek, jak z procy, i nagle i on rozwarł czeluście swej wymowy. Zdawało się, że dwa szatany, zamknięte w klatce, odprawiają jakieś nabożeństwa. Kokotka wypadła na ganek i jęła doskakiwać z pięściami do starca. Wszystko, co słownik podręczny dam z Amerykanki posiada, wzbiło się pod niebiosy najwyższym diapazonem, na jaki zdobyć się może głos kobiety.

Przerażeni mieszkańcy, nietylko kamienicy Dulskiej, lecz i sąsiednich domów, pobledli i niepewni stali w oknach i na gankach, niemi i cisi. Jakiś groźny szacunek dla tych dwojga; walczących pod słońcem i nazywających rze-

czy po imieniu, steroryzował wszystko. Tylko jakaś starsza panna wysłała służącą do Dulskiej z żądaniem, aby położyła koniec tym awanturom. Dulska wydelegowała stróża i ten

nieśmiało zażądał, ażeby Matylda Sztrumpf udała się z załatwianiem swych kwestji spornych w głąb apartamentu.

— Was denn? — wrzasnęła kokotka.

— Bo proszę wielmożnej pani, pani gospodyni kazała powiedzieć, że to wstyd, bo to przecie stary człowiek, a pani tak nim poniewiera, że aż ludzie...

Lecz nie mógł skończyć, bo Matylda Sztrumpf przyskoczyła do niego z pięściami:

— A pani gospodyni co się wtrąca! — wrzasnęła. — Niech pilnuje swego tłustego brzucha i swego strizzi synalka! Mnie wolno mit dem Mann treiben, was ich will Es ist mein Vater!!!

Po tem trjumfalnem wyznaniu blada twarz Dulskiej ukryła się poza firankami, zdobiacemi drzwi kuchni. Jak szalona, pobiegła Dulska przez mieszkanie i natknąwszy się na rozwalonego na kanapie Zbyszka, przeklęła go silnie i solidnie do ósmego pokolenia.

Ale to nic nie pomogło. Zbyszko zadartych nóg nie opuścił, a kokotka dalej huląca po ganku, wypełniając na swój sposób czwarte przykazanie.

* *

Wszystko to jednak nie było niczem w porównaniu z tem, co się dalej stało. Oto kokotka sprowadziła do siebie dziecko. Ową dziecinę, bawiącą na wsi.

Był to mały chłopak, mający około czterech lat, nędzny i chudy, odziany mimo upału w aksamitne ubranie.

Lecz gdy dziecko to pierwszy raz pokazało się na ganku, cała kamienica i przyległe domy po kraje Łyczakowa, zaszemrały jak w ulu.

Oto — dziecko to było czarne.

Tak jest. Twarzyczka, rączki, nagie łydki, wysuwające się z pod czerwonych skarpetek, były czarne. Nie tą wspaniałą czarnością murzynów, ale ciemno-kawowe, dostatecznie

jednak świadczące o egzotycznym pochodzeniu ojca. Ogromne oczy świeciły zdaleka białkami. Coś z małpki, coś z człowieka, uczonego u prętów ganku pokornie i cicho. Dziwny smutek, płynący ze źrenic ouistiti, zdychających w złoconej klatce.

I trzepoczący się w tej ciemnawej osłonie, zagadkowy, łagodny, sponiewierany duch...

* *

To wszystko zawisło nagle wśród szczebli ganku kamienicy Dulskiej.

Gdy służki zaraportowały o tem zjawisku pani gospodyni, zdawało się, że uderzył w nią grom niebieski.

Wszystko, co do tej chwili kokotka wyprawiała, zdawało się niczem w porównaniu z tym ostatnim faktem.

Murzyńskie dziecko!...

Okropność!

Plama czarna, niezmyta, na bieli kamienicy.

Dulska przestała jeść, sprzątać, kłócić się, przeklinać. Chodziła, coś sumując, coś ważąc. Czuła bezdenną śmieszność, ściągniętą przez pojawienie się małego murzynka w jej kamienicy. Wiedziała, że przechodzący ulicą mieszkańcy okoliczni przystają i spoglądają ciekawie, radzi ujrzeć to czarne — bodaj przez szyby. I dzień, w którym na balkonie od frontu pojawiło się małe czarne murzyniátko, przylepione do misternej balustrady, był dla Dulskiej dniem strasznego smutku i rozpacz. To był afisz kamienicy, sto razy gorszy, niż gumy i automobile, zajeżdżające obecnie zupełnie jawnie przed bramę.

To była publika nad publiki, niebywała, cyrkowa i potworna.

Dulska chodziła, jak nieprzytomna. Sława bytności murzyńskiego potworka rozszerzała się coraz bardziej. Zbyszko w przystępie dobrego humoru zapowiedział, iż prawdopodobnie a maluczko w miejscowym Nouveau S i , n l e'u pojawi się aktualny rysunek, wyobra-

żający kamienicę Dulskich z murzynkiem na głównym balkonie.

Dulska uwierzyła i zapadła jeszcze w większą rozpacz.

* *

Dzieje czarnego dziecka Matyldy Sztrumpf byty smutne i krótkie. Powstało z zachwyty cake-walk'a i było, jak ná`ęa*-walk, giętkie, niewyraźne i odrażające. Obecnie całe wieczory spędzało same w ciemnicy apartamentu Matyldy, która o zmierzchu znikwała wystrojona i szumiąca. Stary żyd gasił światło i, zamknąwszy drzwi na klucz, szedł w świat, aby powrócić późno w noc. W mieszkaniu pozostawało małe

murzynie, trwożne i nieszczęśliwe.
I pewnej nocy zbudziło się, leżąc na dywanie salonu. Zbudził je może promień księżyca, może skurcz serca, może głód, może jakiś powiew melancholji od szerokich łąk, na których szumi jeno cukrowa trzcina i błyszczą zgięte plecy, czarne i lśniące.

Dodaj do ulubionych

----- 2011-02-14 09:38:16 -----

Pani Dulka przed sądem Strona 35/67
Zapolska Gabriela

Coś zbudziło małą czarną istotkę.
Porwało się na klęczki.
Zabłyły białka.
Murzynie zawyło.
Och! jak żałośnie.
Coś z psa bezdomnego, coś z prymitywnego człowieka, nawołującego na pomoc...
Nie słyszał przecież nikt, bo salon Matyldy Sztrumpf graniczył ścianą z łazienką i kuchnią młodego małżeństwa.
Nie słyszał nikt, tylko jedna istota.
Kucharka owego małżeństwa, dewotka, która już od wielu lat ze skradzionych na koszyczkowem pieniędzy wykupywała małe Chińczyki, Murzyny i inne egzotyczne czupiradełka, złożone z ciała i duszy.
Syn Matyldy Sztrumpf nie dawał spokoju Magdalenie Onyżek. Wzdychała ciężko, patrząc na tę nieochrzczoną może głowę. Gdy w nocy przez cienką ścianę posłyszała skowyt dziecka, w jednej chwili ogarnęła sytuację, wyskoczyła z łóżka i, odziewszy się, wypadła na ganek,

Energiczną będąc, zbiła szybę w sypialni Matyldy Sztrumpf, otworzyła okno i bez ceremonji wtargnęła do wnętrza. Szybko odnalazła dziecko, pochwyciła je na ręce i zaniósła do swojej kuchni.

Tam zapaliła lampę, napoiła dziecko mlekiem i nawzdychawszy się nad niem i nakręciwszy głową, zaczęła przygotowywać mu legowisko.

— Czarne, ale przecie człowiek i stworzenie boże!

Lecz to krzatanie się Magdaleny Onyżek posłyszała jej pani. Zaintrygowana, powstała z łóżka i cicho udała się do kuchni.

Gdy weszła, zupełnie niespodziewanie ujrzała czarne półdjabły, zainstalowane w negliżu na środku kuchni. Porwana ze snu, nie mogła na razie sobie przypomnieć, skąd się taki potworek wziął w kamienicy i, wydawszy wrzask, zemdląła.

Sprawa tem się pogarszała, że młoda pani była w poważnym stanie.

Nastąpiła więc serja okrutnych niepewności co do koloru spodziewanego infanta.

Ponieważ — bowiem — istnieje zapatrzenie.

Podniósł się wielki wrzask i oburzenie w całej kamienicy. Wszyscy zwrócili się przeciw Dulskiej, która tolerując u siebie podobne skandale, wywołuje katastrofy.

Dulska uczuła, że musi wystąpić.

I wystąpiła.

Dopadła kokotkę na ganku, gdy ta wietrzyła

swe koronki i cud swego ciała.

Wspaniale i z całą godnością, błyszcząc w świetle rozżarzonego lipcowego słońca, pani Dulaska zażądała od Matyldy Sztrumpf: usunięcia małego murzyna z kamienicy.

I cofnęła się na próg swej kuchni, czekając.

Wszędzie drzwi i okna były napozór zamknięte, tylko przez szpary liczni byli słuchacze. Jedyne żona konduktora odważnie wyszła na dziedziniec, w bramie pracza

Marjama Zygmus, i stróż, filozoficznie oparty o miotłę.

Pani Dulaska przygotowała się na straszną walkę.

Lecz nadspodziewanie Matylda Sztrumpf była tego dnia łaskawie usposobiona.

Machnęła koronkami, zajaśniała ramionami, potrząsnęła grzywą, wyszczerzyła zęby i niedbale rzuciła:

— Was?

Pani Dulaska powtórzyła swe żądanie.

— Was?

Pani Dulaska stała się purpurową.

Kokotka zanosła się od śmiechu. Tego pani Dulaska się nie spodziewała. Postąpiła bliżej. Słowa jej więzły w gardle, mimo to mówić zaczęła:

— Ja chcę, żeby pani tego dziecka nie trzymała u siebie.

Kokotka ramionami wzruszyła.

— A ja chcę, żeby pani także swojego syna nie trzymała u siebie!

Dulska się zakrztusiła.

— Jak pani śmie równać mego syna z tą swoją poczwara! Mój syn jest uczciwie, ślubnie urodzony, nie jak to coś...

Kokotka była cudowna w swej obojętności.

— A cn, das ist ganz egal Ale mój syn, choć czarny, nie będzie nigdy so ein Lump, so ein Strizzi, jak ten pani...

Tu zona konduktora uznała za stosowne przyjść w sukurs swej gospodyni:

— Doprawdy, że to skandał takie coś! — zaczęła wołać piskliwym głosem, — niedość że zgorszenie na całą ulicę, ale jeszcze taką zacną kobietę obraża...

Tu Matylda Sztrumpf zaczęła się czuć wzburzona. Przechyliła się przez ganek, spojrziała na dziedziniec i splunęła artystycznie.

Poczem wyzionęła po niemiecku całą masę słów, z których ani Dulska, ani żona konduktora, ani praczka nie rozumiały ani słowa, ton jednak i napięcie nerwowe nie

dozwały wątpić, że były to wielkie i trudne do odpuszczenia obrazy honoru.

Rezultatem była skarga sądowa, którą pani Dulska wniosła przeciw lokatorce swej, Matyldzie Sztrumpf, prywatyzującej, z powołaniem na świadków: męża swojego Felicjana, pani Zofji Oderwanek, lokatorki, Marjanny Zygmus, praczki, i stróża, Jakóba Czarnoryjskiego.

* *

I oto dlaczego pani Dulska wśród tygodnia (wbrew tradycji) szykuje dla siebie i dla Felicjana czystą bieliznę, wzdychając przytem

ciężko.

Niewielka sień, brudnawa
i ciemna. Przedśionek sali,
w której się sądzą pyskówki.
Jest to chemiczna pralnia
tego czegoś gronostajowego,
co każdy człowiek dźwiga w sobie, czy chce,
czy nie chce, i co się nazywa... honorem.
Podobno jeszcze dwie rzeczy mogą wy-
prać te gronostaje: albo krew, albo wyrok
sądowy.

Dulska wybrała to drugie.

Obecnie siedzi, wystrojona, jak na święto,
ale wedle jej mniemania bardzo dostatnio
i bardzo poważnie. Suknia jedwabna heliotrop,
na niej suta peleryna, a na głowie uroczysty
toczek z ciemnym piórem. Pod szyją broszka
oszkłona, w której są jakieś włosy, liście, roz-

maite pamiątki. Dzierży w ręku parasolkę,
torbę, chustkę i szyldkretową lornetkę. To
ostatnie narzędzie nieśmiało, bo nabyła je nie-
dawno i nie umie jeszcze go używać.

Dulska ma minę poważną, skupioną, godną.
Obok niej Felicjan w nowym krawacie jest
bardziej zagadkowy, niż zwykle. Siedzi po lewej,
bo Dulska czy w dorożce, czy gdzieś na
oczach ludzi, ściśle przestrzega swej godności
małżonki legalnej, to jest — zajmującej prawą
stronę dwójki małżeńskiej. Po drugiej stronie
Dulskiej umieściła się strwożona i niepewna
Zofja, zamężna Oderwanek. I ona ma śliczną
orzechową suknię, nieśmiertelny paltocik po-

pielaty i kapelusz z wyblakłą wstążką na głowie. Od rękawiczek tych dam, jasnych, bije silnie woń benzyny. Wielki szacunek prawa owiewa je całe. Tudzież i pewność wygranej. Dulaska nawet jest tak pewną wygranej, że rozporządziła w domu familijną kawę, do której kazała upiec babkę z podwójną ilością rodzynek. Wszystkie kurze wysprzątano co

do jednego. O mały włos, byłaby Dulaska zarządziła gremjalne pójście do spowiedzi i duże pranie.

Odłożyła to jednak na dzień następny.

Teraz — siedzi i łaskawie uśmiecha się do swoich świadków, do Jakóba Czarnoryjskiego, stróża, prezentującego najwspanialsze okazy artretyzmu, jakie wyhodować może w swych suterdach kamienicznik, i Marjanny Zygmus, praczki, znajdującej się w sądzie bardzo swojsko i jakoś familiarnie.

Matyldy Sztrumpf — ani śladu.

— A tej niema jakoś... moja pani! — mówi pani Oderwanek.

Dulaska uśmiechnęła się ironicznie.

— Trafi jeszcze na czas, aby się wstydu najadła!

— A może wcale nie przyjdzie.

— No, to ją zasądzą zaocznie tak samo.

— I poco jej to było?

— Ha, no... taka — to już przyzwyczajona.

— A` co jej zrobią?

Dulaska jakby kto podminował.

— Jakto co? Wsadzą do aresztu. Jak będą chcieli zasądzić na grzywnę, nie zgodzę się! Niech siedzi! Zobaczymy, jak jej posmakuje wikt aresztancki i barłóg. Potrzymam do jesieni...

— No, moja pani!... no, moja pani!...

Zaszumiało — zachichotało.

Do sali weszła Matylda Sztrumpf, ubrana z nadzwyczajnym szykiem. Suknia biała z linon, inkrustowana wstążkami, na tem zarzucone lekkie okrycie w małą kratkę a la Gejsza, ogromny kapelusz Solferino z olbrzymią różą i wysoką główką Empire. Elegancka parasolka, eleganckie szczegóły i szczególiki, a z pod jedwabnej halki wyglądały dyskretnie śliczne pończoszki ażurowe.

Weszła, jak maj, jak cud, wionęła, jak zapach, skoncentrowany w kryształowym flaconie, w ten brud, zaduch i szpetotę sądowej sieni.

Obok niej szastał się młody adwokacik, ubrany elegancko, z teczką pod pachą. Wszystkie batiary, siedzące na ławkach, dostali jakby kataleptycznego ataku i powstali z ławek.

— Wzięła adwokata! — wyszeptała do Dulskiej pani Oderwanek.

— To jej nie pomoże!

— Szkoda, że i my nie wzięli...

— Poco ? — burknęła Dulska — ja mam adwokata w swojej gębie, a potem Pan Jezus z nami.

Kokotka umieściła się naprzeciw familji Dulskich i lornetowała ich przez cudaczne face ä main ze złota i rubinów.

— Bezczelna! — syknęła Dulaska i wachlować się zaczęła chustką od nosa. Wreszcie sprawa Sztrumpf-Dulaska weszła na wokandę.

Zawezwano obie strony przed oblicze sędziego.

Sędzia był średniego wieku, dość przy- stojny, i żona jego bawiła właśnie u wód. Wchodzącą z szelestem Matyldę Sztrumpf obrzucił baczem wejrzeniem.

Dulaska przez szerokość stołu wyciągnęła ku sędziemu rękę, woniejącą benzyną.

Sędzia zdziwiony spojrział i w odpowiedzi wskazał wszystkim krzesła.

— Proszę siadać!

Dulaska się stropiła, ale nie dała tego poznać po sobie.

Kokotka zajęła miejsce prawie naprzeciw sędziego, obok swego adwokata, z którym rozmawiała wesoło.

Robiła wiele szumu swojemi taftowemi spódnicami i dzwoniła brelokami, rzucając na sędziego pałace spojrzenia.

Pani Dulaska, zachowująca się z całym szacunkiem wobec przedstawicieli sprawiedliwości, zapragnęła wyzyskać tę płochosć

kokotki i dobrze usposobić dla siebie sędziego.

— No, moja pani! co to za zachowanie! — wyrzekła głośno do żony konduktora, co to za brak czci dla trebunału...

Jakiś jegomość tymczasem, źle odżywiany, chudy i znudzony, powstał z miejsca i mono-

tonnym głosem odczytał akt oskarżenia, rywalizując z brzękiem much, których całe warstwy latały w powietrzu, urozmaicając biel ścian i sufitu.

Wreszcie rozpoczęło się badanie.

Okazało się, że kokotka liczy sobie lat dwadzieścia cztery. Dulska wzruszyła ramionami na to bezbożne kłamstwo i wyrzekła:

— A ja powiem prawdą wielmożnemu panu sędziemu. Ja się nie potrzebuję kryć z memi latami. Ja mam czterdzieści cztery. Na świętego Florjana skończyłam właśnie. Miałam dwadzieścia równo, kiedy się mój pierwszy syn urodził. Życie moje szło równo i uczciwie, panie sędzio!

Lecz sędzia odrzekł głosem bez żadnej intonacji:

— To do rzeczy nie należy !

Dulska aż uniosła się na krześle.

— Przepraszam, panie sędzio, ale chciałam, ażeby pan sędzia wiedział, kim jestem ja, a kim jest ta pani!...

Lecz sędzia przerwał oschle:

— Przepraszam. Pani tylko wolno odpowiadać na moje pytania.

— Jednakże...

— Dosyć!

Kokotka zrobiła grzeczną minkę i odpowiadać zaczęła zwięźle i krótko, nie ściągając na siebie żadnej wymówki sędziego. Dulska uczuła to, mimo to tak była silnie rozdrażniona, iż nie mogła zapanować nad swemi nerwami.

— Pani jest mężatką, panną, wdową? — zapytał sędzia kokotki.

— Jestem separowana.

— A pani ? — zwrócił się do Dulskiej.
— Zameżna! — zagrzmiało trjumpfalnie.

Dzieci są?

— Syn i dwie córki. Syn w prokuratorji skarbu. Ma jechać właśnie zagranicą! — dodała pośpiesznie, nie zważając, że wszyscy, zdumieni tem wyznaniem, patrzą na nią z uśmiechem. Sprawa szła dość pośpiesznie. Sędzia nie znosił much i upału. Przecinał ciągle upusty wymowy Dulskiej i wezwał świadków. Pierwsza zjawiała się orzechowa postać Zofji Oderwanek. Widząc, że woźny zapala dwa ogarki świec koło krucyfiksu, zaczęła się bać i trwożyć. Lecz Dulska pocieszała ją i krzepiła. Zofja Oderwanek przysięgła mdlejącym głosem, przyznała się do trzydziestu siedmiu lat i rozpoczęła zeznanie. Mówiła długo i szeroko o zuchwalstwie podsądnej i o tem, co Dulska i lokatorowie cierpieć musieli. O murzynku wtrąciła, rumieniąc się i jękając. Dopomagała jej Dulska, mimo, że sędzia gromił ją i wzywał do porządku.

— Ja nie mam rękawów, jak chorągwie, panie sędzio, okrytych koronkami. Ja nie za-

miatam takimi rękawami ganku! — wyrzuciła nagle ze siebie Dulska.

— Proszę powrócić do rzeczy! — zawołał sędzia. — Niech świadek opowie, jak się to stało z tą główną obrazą słowną, w której świadek był świadkiem.

— Ach! tego dnia były straszne skandaly. Ta pani to prawie... przepraszam łaski pana sędziego, że go obrażę... bez ubrania

latała po ganku. A dzień przedtem — to jej dziecko... czarne, panie sędzio, czarne...

- ?

Dulska wtrąciła pospiesznie:

— Widocznie mąż tej damy był murzyn.

Zdaje się, panie sędzio, że to wystarcza.

Założyła ręce na brzuchu i spojrzała trjumfalnie na Matyldę Sztrumpf.

Ta zakołysała się na krześle, wstała, pokazała śliczne zęby i parsknęła śmiechem:

— Ja! wirklich! ein Mohr!... — potwierdziła trjumfująco.

I śmiała się dalej.

Dulska schwyciła się za głowę z oburzenia.

Za Matyldą roześmiał się jej adwokat, zawtórował pisarz, jakieś jeszcze figury, które kręciły się po izbie. Sam sędzia nie mógł utrzymać swej powagi. Śmiało, się wszystko z tej miłości Matyldy Sztrumpf z nieznanym murzynem.

Promienie słońca drgały na papierach zalegających stół, tańczyły cake-walk'a w brylantach kokotki. Jakoś jaśniej, weselej zrobiło się w ponurej pralni nadwyreżonych honorów.

Tylko Dulska i pani Oderwanek spojrzały na siebie zdumione i zdekoncertowane.

— Śmieją się, moja pani! — szepnęła Oderwankowa.

Dulska próbowała się także uśmiechnąć.

— Moja pani!... bo to takie bezecne, że aż chyba do śmiechu, albo do płaczu.

Ale zawsze!

— Pst!...

Rozpoczęło się dalsze badanie Zofji Oderwanek.

— Co właściwie oskarżona mówiła i jakie były owe obelgi?

Pani Oderwanek troszkę się jakby stropiła.

— Ta osoba mówi, a, a raczej wrzeszczała po niemiecku. Obrażała ostatnimi słowami panią gospodynię, a potem mnie i wszystkich.

Wyzywała na naszych synów... na mego Olafka, com go tak ciężko i boleśnie rodziła.

Tu, pani Oderwanek cicho płakać zaczęła.

Pani Dulcka uspakajała ją i cieszyła.

— Uspokój się pani, mąż pani wróci z objazdu, on panią pomści.

Sędzia patrzył na spazmującą damę szklanymi oczyma.

— Jednakże! — zaczął po chwili — co właściwie oskarżona mówiła?

— Cóż taka może mówić! — zaperzyła się pani Dulcka: — rzeczy, które z szacunku nie powtarza się przed sądem.

Tu wtrącił się adwokat Matyldy Sztrumpf:

— Przepraszam, czy świadek rozumie po niemiecku ?

Nastąpiła chwila milczenia.

Zofja Oderwanek wspomniała na przysięgę i ogarnęła ją wielka trwoga.

— Czy pani rozumie po niemiecku? — powtórzył sędzia.

— Nie, panie sędzio! — przyznała się cicho i jakby ze wstydem pani Oderwanek.

— Wobec tego, zeznania pani są ukończone !

Zofja Oderwanek cofnęła się na ławkę,

pod piec, przeprowadzona piorunującym wzrokiem pani Dulskiej, która, mszcząc się za zbytne skrupuły sumienia swej lokatorki, postanowiła jej czynsz zaraz podwyższyć.

Następnym świadkiem był Felicjan Dulski.

W surducie, w nowym liljowym krawacie, przedstawiał się wcale przyzwoicie. Widoczne jednak było, iż postanowił nic nie mówić.

Przysiągł i na tem ograniczyło się jego zeznanie. Dulska zawiadomiła sąd, iż w chwili kry-

tycznej Felicjan znajdował się w kuchni, lecz gdy chciała dalej zeznawać za świadka, sędzia kazał jej milczeć.

— Więc pan nic nie słyszał?

Felicjan skinął głową.

— Dziękujemy panu!

Felicjan uklonił się i szedł ku drzwiom.

Coś jakby uśmiezek leciuchny, jakaś Schadenfreude przesunęła się po jego wąskich wargach, gdy spotkał się z wściekłym wzrokiem żony.

Następny świadek, Marjanna Zygmus, zawodowa praczka, wpadła w swej derowej chustce i dobrze wykrochmalonej spódnicy, jak bomba, i w dygach i ukłonach podleciała do stołu.

— Całuję rączki panu sędziemu, wielmożnej pani gospodyni i wielmożnym państwu! — wrzasnęła z radością.

Twarz jej obsypana piegami, podobna do indyczego jaja, promieniała. Uśmiechała się do wszystkiego i do wszystkich. Sąd jej nie

przerażał. A natychmiast wykryła się przy-

czyna.

— Czy świadek był już karany? — zapytał między innymi sędzia.

— A jakże!—odparła śmiejąc się Marjanna.

— Ile razy?

— Dużo.

— Za co?

— Pan Bóg ich tam wie. Za rozmaite, zawsze za pyskówki. Bo pan sędzia wie, u nas prostych ludzi jak się za łby pobierzemy, to zaraz do sądu...

Roześmiała się do Dulskiej, do kokotki, nie wiedząc, że na Dulską uderzyły płomienie.

— Jakże to było? — zapytał sędzia.

Wyciągnął się leniwie na krześle i wpił się wzrokiem w Matyldę Sztrumpf, która, zaróżowiona pod wpływem upału, była rzeczywiście ponętna i ładna.

— A no, ta nie wiem! — wykrzykiwała dalej Zygmuśkowa.

— Jakto nie wiecie? — zaperzyła się Dulska, — byliście przecież na dziedzińcu.

— A no byłam, proszę łaski pani gospodyni, ale widziałam, że się panie czegoś ugaśniały na siebie po gankach. Tylko maglarka mówiła w grajzlerni, że to poszło o to, że pani konduktorowa, jak pana konduktora niema, to wpuszcza przez okno do siebie jakiegoś, czy coś... Ja ta nie wiem...

Tableau.

Sędzia stuknął w stół.

— To do rzeczy nie należy! — chodzi o obelgi!

— A! obelgów żadnych nie słyszałam!

— Świadek może odejść!...

Następny świadek stróż Czarnoryjski, z zawodu artretyk, zeznał w tym samym duchu. Nic nie słyszał, nic nie wie. Natomiast wyłuszczył, iż bierze cztery guldeny miesięcznie za całodzienną i całonocną służbę, że z tych pieniędzy kupuje naftę do oświetlenia sześciu

pięter i że wskutek nadmiaru pracy jest ciągle śpiący, a więc i obelg słyszeć nie mógł.

Wyłuszczywszy to wszystko, zabrał się ze swemi artretyzmami i piwniczną wonią, którą cały przesiąkł, do powrotu.

Na twarz Dulskiej wystąpiły granatowe plamy, mimo to siedziała, ciągle jeszcze ufając w sprawiedliwość Boską i ludzką.

Lecz zawiodła ją ta ufność.

Zawiodła z kretesem.

Adwokat zrzekł się głosu, a sędzia, powstawszy, wygłosił wyrok, uwalniający Matyldę Sztrumpf od winy i kary.

Dla braku dowodów.

Dulska poczerwieniała jeszcze bardziej, potem zbladła. Kokotka patrzyła na nią przez szybki swego face ä main. Dulskiej zdawało się, że spełniona została w tej izbie straszna zbrodnia przekupstwa. Nie mogła się powstrzymać.

— Nie nam biednym ludziom prawować się z takimi, co złotem brzęczą! — syknęła, zabierając się do odejścia.

Sędzia spojrzał na nią uważnie.

— Co pani powiedziała ? — zapytał ostro.

Lecz Dulaska, jak każdy zuchwalec, stchó-
rzyła wobec władzy.

— Nic, panie sędzio! — wyrzekła z ukłonem.

— Radzę pani liczyć się ze słowami, —
rzucił jej na pożegnanie sędzia — może pani
odpowiadać za to ciężko!

Dulaska wyszła, roztrącając wszystkich.

Nie spojrzała nawet na Oderwankową, przy-
bitą i przeczuwającą podwyżkę komornego.

Felicjan dawno już znikł, nie czekając wyda-
nia wyroku.

Stróż i praczka kłaniali się nisko pani
gospodyni, lecz ta zignorowała ich i cała
drżąca wyszła z godnością na ulicę.

— Powyrzucam te wszystkie kanalje, bydło
wstrętne i niegodziwe! — myślała, — a ten
sędzia, to pewno kochanek tej łotrzycy...

Uśmiechnęła się gorzko.

— Cóż! nie nam uczciwym kobietom wal-
czyć z takimi! Wolę moją przegraną, niż jej
wygraną, zdobytą takimi środkami. I ja,
gdybym chciała, byłabym wygrała...

W pół godziny później w domu Dulskich
panowała przygnębiająca atmosfera.

Z kawy familijnej nie było nic. Dulaska,
przyszedłszy do domu, wymówiła miejsce obu
sługom, stróżowi — i mieszkanie Oderwan-
kowej i praczce. Kawę kazała schować na
jutro, a babkę, porwawszy z pasją, zamknęła
na trzy spusty w kredensie. Odmówiła Hesi
żądanych pieniędzy na zeszyty, a Meli dała
chininę bez opłatka. Szukała Zbyszka wszę-
dzie, aby go specjalnie przekląć, ale nigdzie
go znaleźć nie mogła, jak również i Felicjana.
Skrzyła się wreszcie do sypialni i pograżyła
w ponurem milczeniu.

Na ganku, pół naga kokotka, trzymając
demonstracyjnie pełną melancholji murzyńską
dziecinę, śpiewała mocnym a silnie naderwa-
nym głosem:

Man ist so alt, wie eine Kuh,
Und lernt man immer was dazu.

Lido, 1908.

PARIA

Od kilku chwil wszyscy zajęli miejsca swe przy owalnym stole, a panna Karolina nie zjawiała się jeszcze.

— Józef! — zakomenderowała pani domu — idź, poszukaj panny guwernantki..

Lecz pan domu szarpnął się niecierpliwie.

— Józef! — zawołał uderzając pięścią w stół, aż szklanki jęknęły —
podawaj kolację — to pilniejsze, niech panna sama o godzinach jedzenia
pamięta!

— Ależ!... — przerwała pani domu.

— Cicho! nie odzywaj się... co ty wiesz... co ty znasz!...

Kilkakrotnie poruszył wąsami, które jak szczotka sterczały mu pod
rubinowym nosem i porwawszy z koszyka kawałek razowego chleba
maczał go w soli i jadł, mlaskając głośno grubymi wargami.

Kocio i Kizia siedzieli oboje naprzeciw ojca, patrząc nań spod oka i
śledząc ruchy jego brudnych rąk, z których co chwila spadały spięte
szpilkami mankiety.

Żółte światło lampy, stojącej na środku stołu, kłóciło się z łagodnym
srebrnym blaskiem, który spoza otwartych okien — przez koronkę
krzaków jaśminowych — niebieskawą strugą' słał się w przeczystej i
słodkiej ciszy letniego wieczoru.

W kręgu brudnożółtym majaczyły głowy rodziców i drobne główki dzieci. Ojca — uparta duża czaszka dorobkiewicza, zdobna w ordynarne guzy lśniące się na wypukłym czole i należąca do dużej głowy, ginącej w szarawych zasłonach kurtki; matka — blada, podłużna maska ascetycznej kobiety, negującej kult ciała, zalęknionej i zawstydzonej nawet w obecności kucharza, którego obecność w ciasnej spiżarni napełniała ją trwogą, i wreszcie Kocia niespokojna, rozwichrzona czupryna, i Kizi jasna, prawie srebrna głowa, pochylona melancholijnie nad pustym talerzem.

Koło pieca zaruszało się coś nagle.

Terlikowski brwi zmarszczył.

— Czego się Szmul kręci? źle Szmulowi?

Z framugi wysunęła się postać chudego i starego Żyda. Chałat spadał mu do pięt, jarmułka przekrzywiła się na bakier.

— Ja poszedłbym do domu za pozwoleniem jaśnie pana!... — wycedził oglądając się na drzwi, prowadzące do kredensu.

— Czego? do domu? cóż to tak Szmul zhardział, że nawet herbaty już nie chce?

— Pięknie kłaniam, ale mi spieszno.

— Siedzieć! nie wiercić się! Józef... herbaty dla Szmula i cukru na przykuskę...

Żyd przysiadł na ceratowym krześle.

— Oj! z jaśnie panem nie ma rady, niech i tak będzie.

Terlikowski z zadowoleniem wsadził ręce w kieszenie kurtki.

— A teraz niech mi Szmul powie, co słyhać w mieście...

Szmul skrzywił się niemiłosiernie.

— Co ma być słyhać? Bieda biedę pogania i na biedzie jedzie!

— Ha! ha! ha! — śmiał się Terlikowski, nakładając sobie na talerz olbrzymią porcję zrazów z kaszą, które mu Józef z wielką pokorą i nabożeństwem podawał — ha! ha! ha!... na biedzie jedzie, na biedzie jedzie, to już sam Szmul chyba, boć on biedą jedzie... co? — Rad ze siebie, otworzył szeroko usta i niosąc na nożu ociekniętą sosem masę

kaszy, chlipnął wargami tak głośno, aż dzieci zdziwione podniosły głowy. Tymczasem Terlikowska pochyliła się ku Kizi.

— Niech Kizia idzie poszukać panny Karoliny!

— Dobrze, proszę mamy!

Dziewczynka zsunęła się z krzesła i cicho jak myszka, pod ścianami, na których wisiały bohomyzy przedstawiające portrety rodzinne, wymknęła się z pokoju.

Cichutko, jak cień srebrnowłosa, w swej jasnej beżowej sukience i prunelowych trzewiczkach sznurowanych niebieskimi tasiemkami, biegła dziewczynka przez dwór ciemny i tylko gdy przesuwiała się wzdłuż okien, w jasnych smugach księżycowych blasków rysowała się dokładnie jej drobniuchna postać miniaturowej kobietki, smukłej — wąskiej w ramionkach, z długą szyjką łabędzią. Nie potraçała o sprzęty kanciaste, jesionowe, mahoniowe, grube i do ziemi przysiadłe, które w tej ciszy letniej nocy zdawały się drzemać znużone dziennym upałem i latami służby, które pełniły w Gliniewieckim dworze... Wreszcie cień Kizi bledziuchny i niepochwytny zatrzymał się u wejścia ma ganek oszklony i po chwilowym wahaniu ku jakiejś postaci stojącej twarzą ku szybom pomknął.

Dziewczynka przypadła do ciemnych fałd sukni panny Karoliny.

— Proszę pani... kolacja na stole! Tatko już jeść zaczął!... proszę pani!... Lecz panna Karolina jak zahipnotyzowana stała wciąż w oknie z czołem przyciśniętym do szyby — patrząc zażawionymi źrenicami na jasną, srebrną strugę zboża, która się poza sztachetami ogródka słała.

— Proszę pani, bo już zrazy podali!

Panna Karolina drgnęła, rodzaj kurczu wykrzywił jej twarz trupio bladą, po której znaczyły się dwie wilgotne strugi.

— Kto tu? — zawołała chrapliwym głosem. Lecz dziewczynka przycisnęła się do fałd jej spódnicy.

— Niech się pani nie boi — to ja... Kizia!... Panna Karolina odetchnęła kilkakrotnie z trudnością. — A!... to ty... dobrze... dobrze... czego chcesz, Ki-

ziuniu?

— Proszę na kolację!...

— Czekaj, zaraz pójdziemy!...

I znów przycisnęła czoło do szyby i stała tak nieruchoma, zapatrzona w blaski księżyca.

Obok niej Kizia, przysunięta do oszklonej ściany, przybrała mimo woli pozę swej nauczycielki. Przysunęła swą drobną twarzyczkę do szyby i założyła na piersi ręce „po napoleońsku”. — W świetlanej powodzi przeczystego blasku, który wypełniał cały ganek, te dwie ciemne postacie nieruchome i tajemnicze miały w sobie wdzięk kamiennych aniołów, stojących na straży cmentarnej przestrzeni, w noc księżycową cichą i niedosłyszalnymi dla ucha żyjących rozmowami umarłych — drżącą. Przed nimi — poprzez ścianę szyb oprawnych w białe pokitowane ramy, krzywe i połupane — ciągnął się ocean srebra, w którym drżały lekko kołyszące się fale żyta — trupią, anemiczną białością. Gdzieś wysoko w górę strzelająca topola rzuciła cień wydłużony, który białosc fali przecinał na ukos, czyniąc w tej puchowej jasności jakby rozpadlinę czarną w gzygzak poszarpaną. I daleko,

daleko ciągnął się ten rozlew biały, aż wreszcie nagle niął pod ścianą lasu, który z ciemnym niebem się zlewał w jedną całość i zdawał się chłonać w siebie przeczystą biel żyta i srebrne blaski świetlane, które ją oblewały. I tylko na szafirze nieba srebrna, przeczysta lampa księżyca, ciągnąca, mistyczna, wspaniała, stygła w swym świetle mroźnym, które dokoła jasnej kuli tworzyło krąg przepyszego tłustego błękitu i stamtąd kaskadą srebra na ziemię spadało — tworząc dokoła orgię srebra i złota, potop jasności o śniegowym połysku i chłodzie roztopionej stali.

Panna Karolina i Kizia stały tak nieruchome, zapatrzone w ten jasny przestwór, w którym zdawały się tańczyć miriady dusz w powietrzu zastygłych, i snuły tajemnicze marzenia zawrotne, niepochwytne, marzenia dojrzałej kobiety równie nie sformułowane i w formę nie obleczone, jak marzenia dziecka — lecz z dziwnej masy nagromadzonego w sercu smutku się rodzące.

Smutek, który wiecznie i zawsze wlokła ze sobą panna Karolina — znajdował dziwny oddźwięk w duszyczce Kizi. Z równą melancholią uczyły się tabliczki mnożenia, wertowały Pielgrzyma z Dobromila[!], grały w szubieniczkę i ubierały lalki. Nauczycielka i uczennica miały obie głowy naprzód pochylone, oczy duże niebieskie, dziwnie smutne i zamyślane. Lubiły szum tataraku, spacerować o zachodzie słońca, blask

księżycy, opowiadania nieskończone chłopek, które zwykle skarżyły się na zajęcie krowy przez dworskich ludzi. — Lalki Kizi, które przed przybyciem panny Karoliny strojne w różowy tarlatan jechały zawsze na fikcyjne bale, po pewnym czasie opuściły porcelanowe głowy na wypchane pakułami piersi i spowite w ciemne gałgany przedstawiały widok ponury

opuszczonych wdów i sierot lub zrozpaczonych Ofelii. — Romantyczne i czule usposobienie Kizi chętnie poddawało się smutnemu wpływowi panny Karoliny. Dziewczynka zawsze lubiła półświatła i półcienie. Kocio ze swą hałaśliwą i brutalną wesołością, ze swym rydlem i motyką, hodowlą ślimaków i swym „przyjacielem” Jankiem, który podpasany krajką napełniał łoskotem swych bosych nóg dziecinny pokój hałasem i wrzawą — drażniły delikatne usposobienie dziecka i przejmowały je trwogą. Marcysia — dawna mamka Kocia, a obecnie niańka Kizi — tęga dziewczka, czerwona i spocona, szarpała moralną istotę dziewczynki swą gwałtowną i hardą pieczołowitością. Panna Karolina od razu zapanowała niepodzielnie nad Kizią, ciągnąc ją ku sobie łagodnością obejścia. Ta blada kobieta, z twarzą prawie obrzękłą, anemiczną, przeciętą tylko blizną ust wiecznie spieczonych i drżących, suwała się wzdłuż ścian jak duch, jak istota ślepa, gdyż często nawet wyciągała ręce przed siebie, jakby nie widząc przedmiotów, znajdujących się o kilka kroków przed nią. Każda fizyczna lub moralna choroba zastanawiała ją i ciągnęły ku sobie. Nieraz długie chwile stała, patrząc z oczyma powleczoneymi mgłą na konwulsyjne wicie się robaka, którego dzieci, biegnąc wśród blond piasku, rozdeptały i poszły dalej, nie oglądając się nad zniszczonym istnieniem, po którym ku zabawie swej przeszły. Kizia wiecznie zaplątana w fałdy spódnicy swej „guwernantki” zaczynała przejmować się tą kontemplacją nieszczęść i nędz życia i stosować ją do rozmiarów swego umysłu i temperamentu. Podczas gdy w pannie Karolinie widocznym było, iż jakieś tajemne własne nieszczęście jest owym pryzmatem, przez które rozszczepia się promień litości na tysiące promyków tworzących jasne, poranne światło odrodzenia — w Kizi litość i poczucie sprawiedli-

wości objawiało się czyste i nieskalane egoizmem, lecz tylko drobnym buntem maluchnej duszyczki, samej w sobie szczęśliwej, lecz już budzącej się na głos skargi — drugich. I powoli te robaki cierpiące zastanawiały dziecko, kazały biegnąć uważnie wśród ścieżek ogrodu, patrzeć przed siebie, gdy szła aleją, ponad którą lipy szumiały i trzęsły śnieg kwiatów wonnych i lekkich jak armia motyli. — Lalki połamane i potłuczone zajmowały teraz najlepsze miejsca, odziane w najlepsze sukienki, z cukierkami wetkniętymi w drewniane lub tekturowe palce odartych z farby rączek.

Jednego bowiem wieczoru panna Karolina dostrzegła, że Kizia rzuca w kąt biedną obszarpaną lalkę, która, na połamanych nogach nie mogąc się utrzymać, padała ciągle na ziemię.

— Dlaczego nie włożysz jej do łóżeczka?... — spytała guwernantka dziewczynkę.

Kizia podniosła na pannę Karolinę swe wielkie błękitne oczy, które w bladym świetle świecy przybierały szare, niepewne tony nieba o porannym świcie.

— Brzydka jest i pokaleczona... — odrzekła wreszcie, wydymając usteczka z pogardą.

— Cóż z tego? czy to jej wina? — spytała guwernantka.

Dziewczynka milczała.

— Dlatego właśnie, że chora i biedna powinna Kizia dbać o nią więcej niż o inne. A gdybym ja na przykład była chora i pokaleczona — czy Kazia by mnie rzuciła w kąt jak tę biedną lalkę?

Za całą odpowiedź — dziewczynka objęła rękami kolana guwernantki i jasną swą główkę przytuliła do ciemnych fałdów jej sukni.

I gdy tak stały obie zapatrzone w księżyc i zasłuchane w ciszę — tupot bosych nóg wypełnił oszkloną przestrzeń ganku. W jasnej, pustej sieni zarysowała się

nagle ciemna postać kobieca, ubrana w długą spódnicę, białą koszulę i chustkę związaną na kształt turbana na głowie.

— Czemu to Kiziunia nie idzie na kolację? — zabrzmiał nagle niski, chropawy głos chłopki.

— Idę, nianiu... — odparła dziewczynka, nie ruszając się wszakże z miejsca.

— To czego to wystawać po uroku i w miesiąc się patrzeć. Ta panna Karolina by oto Kiziunię do światła nagoniła, a nie trzymała dziecka nosem przy okienkach... Co z tego wyjść może? Jeszcze zło, bo oto z miesiąca, wiadomo, płynie nieczysta siła, co potem w nocy ludzi wywabia i na rozstaje wiedzie!...

Panna Karolina odwróciła powoli głowę i spojrzała na mówiącą.

— Nie wiedzieć co Marcysia plecie... Księżyc tak pięknie świeci — przyjemnie popatrzeć...

Marcysia klasnęła w dłonie i ujęła się pod boki.

— Otóż to!... — zawołała — przyjemnie popatrzeć pannie Karolinie, bo panna Karolina wyrosła i nie ma robaków pod piersiami jak małe dziecko. Ale u Kiziuni robaki są i potem do miesiąca będą się wyrywać i dziecko mordować. Otóż to!... z taką opieką... ot tobie raz... ot tobie czorcie świat!... — Trzymała silnie za rękę dziewczynkę pełna nienawiści dla tej bladej i wiecznie smutnej kobiety która, przybywszy pewnego wieczoru z miasta, wyrugowała ją, Marcysię, z dziecięcego pokoju, objęła opiekę nad dziećmi, wyzuła ją z praw czuwania nad każdym krokiem Kizi, z praw śledzenia każdego kroku Kocia, z opowiadania o szarej godzinie bajek o latawicach, które dzieci słuchały z buziami otwartymi, z oczyma błyszczącymi w gasnących powoli cieniach szarej godziny.

I od pierwszego dnia Marcysia wypowiedziała wojnę pannie Karolinie, zazdroszcząc w duszy swej chłopskiej wpływu oświaty, jaką niosła panna z miasta ze sobą, czując, że przed potęgą drukowanych znaczków korzy się

poezja jej bajek chwytnych z szumu sosen i rozhoworu wichrów na rozstajach dróg, albo z szmeru rozbijających się o koronkę tataraku — fal. Z przebiegłością odczuła w głębi panny Karoliny jakąś tajemnicę chowaną starannie, coś, co się bało światła dziennego, jakąś ranę fizyczną i moralną i odkryciem tej tajemnicy silna, pragnęła wypędzić „niesamowitą” — jak nazywała w piekarni guwernantkę, aby tryumfalnie objąć władzę nad umysłami dzieci i wnieść swój tapczan na dawne miejsce, tuż koło łóżeczka Kizi. Jak cień teraz snuła się za piętami panny Karoliny, wystawała za drzwiami i wreszcie kucała pod oknami dziecinnego pokoju. Z głową naprzód wyciągniętą, z „dolami”, rozwianymi wkoło opalanej

szy, zdawała się być tygrysią pełzającą w cieniu za myśliwym, który ujarzmił w klatce i wiódł teraz za sobą jej małe.

I gdy w tej chwili, w tej jasnej powodzi księżycowego światła, zjawiała się nagle na ganku, w tonie jej mowy, w ruchach, w spojrzeniu, jakie z jej siwych oczek ku pannie Karolinie wybiegło, było zuchwalstwo, z jakim mówiła do dziewczek piekarnianych lub praczek ze wsi do garderoby spędzonych. Dla niej „guwernantka” było to samo, co płatny lokaj — nic więcej — przybłęda z miasta, obcy przybysz, który pozostawił „swego pana — a poszedł służyć obcemu”. — Według Marcysi bowiem, wszyscy mieli „swoich panów”, którym służyć byli obowiązani, a wędrowka z jednej wsi do drugiej, z jednego dworu do drugiego była hańbą i dowodem złego prowadzenia się. — Panowie właśnie ją nagnali!... — mówiła w piekarni, bijąc się po wystających biodrach, na których kołysała się pasiasta spódnica — „panowie ją nagnali”, to przyszła tutaj odmina zatracona i tłucze się niesamowita

po izbach — czysto jak jaka najducha. — Po cudzych wsiach łazi... o!... wiedzma ta!...

W piekarni wzruszano ramionami.

Co Marcysi do tego? Marcysia głupia, dzieci już duże, nie do spowijania, wiadomo że w każdym dworze musi być taka albo taki, co czytać i pisać uczy.

Lecz Marcysia tupiała nogą, aż pod jej bosą stopą gliniana podłoga piekarni dudniła.

— A pek jej!... — mruzczała i pluła przed siebie z zaciętością, na jaką zdobyć się umie chłop wołyński z legowiska swego poruszony.

Lecz od dni kilku czujność podwoiła się. Zdawało się jej, że stoi wreszcie u wrót tajemnicy, która każe pannie Karolinie snuć się po ciemnych kątach, wzdychać, przy lekcji siedzieć nieruchomo z twarzą pobladłą, z oczyma podsiniętymi, unikać słońca, zapalonej lampy, odstawić od siebie świecące przedmioty, drzeć na każdy niespodziewany stuk lub choćby głośniejsze wypowiedziane słowo, nie móc ścierpieć kogoś za swymi plecami i wstawać rano często z guzami na czole, z tęczowymi plamami na skroniach lub policzkach — jakby w tej nocnej ciszy niewidzialna a potężna ręka na twarzy kobiety przekłute piętno wyciskała, znacząc ją na wędrowkę życia monogramem krwi zastygłej pod wydętą i obrzękłą skórą.

Często Marcysia spoza uchylonych drzwi śledziła guwernantkę, jak ta po odbytej lekcji, gdy dzieci wybiegły do ogrodu — wlokła się do łóżka i tam ubrana, rzuciwszy się na posłanie, leżała jak martwa, wyczerpana, znużona, niemal trupio blada z odętymi ustami, które nawet oddech poruszać się nie zdawał.

— Martwica albo co? — mruzczała wtedy chłopka, cisnąc do piersi masę medalików, które zwieszały się z jej szyi na wąskiej, tłuszczem przesiąkłej tasiemce.

— No! niechże Kiziunia idzie na kolację! — upominała chłopka, popychając lekko dziewczynkę ku wyjściu.

Panna Karolina wyciągnęła rękę.

— Daj rękę, Kiziu, pójdziemy razem!

Dziewczynka jednym susem znalazła się obok guwernantki. Chłopka z gniewem brwi zmarszczyła.

— A czy to panna Karolina nie słyszy, jak to co noc koło północksia coś zawiedzie — aż mróz człowieka, przechodzi? — spytała, mrużąc swe siwe, przebiegłe źrenice.

Guwernantka milczała chwilę, jakby zdławiona jakimś silnym wzruszeniem.

— Nie słyszałam! — odpowiedziała wreszcie —> może to pies we wsi.

— Ta gdzie by pies? to ludzkie zawodzenie. Zawyje raz i ucichnie, to jakby puchacz na cmentarzu.

Panna Karolina cicho sunęła już ku wejściu, wiodąc w fałdach swej spódnicy Kizię, której jasna główka migotała srebrnymi blaskami na tle ciemnej tkaniny sukni.

— A i panna Karolina sobie znów guza nabiła nowego... o tu, nad lewym okiem! — cedziła przez zęby chłopka, idąc poza plecami guwernantki.

Panna Karolina stanęła, w świetle księżycia wydawała się blada jak opłatek, po skroniach jej ciekły kropelki potu.

— Niech Marcysia idzie pierwsza — wyrzekła chrapliwym głosem.

Lecz spłaszczona i ciemna twarz chłopki przybrała wyraz upartej zaciętości.

— Nie pójde pierwsza... nie patrzę na pannę Karolinę, bo panna Karolina to tyle, co i Marcysia, ale patrzę na jaśnie panienkę, a nie uchodzi, aby jaśnie panienka w tyle sługi chodziła! — I uparcie z oczyma wlepionymi

w plecy guwernantki szła bosa chłopka poza odzianą w wykoszlawione trzewiki najmitką, mając w sercu swym pełno nienawiści i pogardy dla tej drugiej, która tak samo jak ona nie miała swego kąta i za strawę i przyodziewek oddawała swe siły, młodość i zmęczoną jakimś tajemnym bólem duszę.

W swym wąskim, sosnowym łóżeczku długi czas nie mogła zasnąć Kizia i główkę swą spowitą w biały płócienny czepeczek obracała cichutko, wpatrzona w małą lampkę szafirową, płonąca na szafeczce pomiędzy dwoma oknami ujętymi w czyste, świeżo wyprane, siatkowe firanki. Pokój dziecinny duży i wysoki miał dwie framugi, w których pomieszczono łóżeczka Kizi i Kocia. — Chłopak spał jak zabity, chrapiąc nawet od czasu do czasu, znużony całym dniem latania po łąkach z „przyjacielem” Jankiem, synem kowala wsiowego, i Bukietem, olbrzymim kundysiem piekarnianym, tyleż brzydkim ile złośliwym. W długą swą nocną koszulę spowity, z czupryną, wymykającą się gwałtownie spod czepka, w który go Terlikowska zawsze na noc ubierała, chłopak spał oddychając głośno, zdrów, silny, rozrosły, zuchwały, nie słysząc i nie czując nic — ani burzy, ani błyskawic, ani grzmotów, gdyby nad Gliniewiecki dwór nadciągnąć chciały.

Po prawej pod ścianą — łóżko panny Karoliny osłonięte parawanem trzciniowym, obciążonym zieloną kitajką, w małym świetle lampy miało tajemniczość zasłoniętego kąta i tylko od czasu do czasu lekki kaszel, suchy i urywany dawał poznać, że poza zielenią perkalu znajduje się tam żywa i pewnie czuwająca istota.

Kizia — nie spała.

W sercu dziewczynki był niepokój wielki. Zdawało się jej, że lada chwila drzwi się otworzą i przez nie wejdzie do dziecinnego pokoju coś złego — co ją, Kizię, bardzo zmartwi i innym ludziom wiele smutku przyniesie. Nie umiała inaczej sformułować tego przeczucia, które jest szczególnym darem duszy kobiecej. Wiedziała jednak, że się coś stanie złego, smutnego i że to zło głównie się skieruje ku ciemnemu kątowni, w którym kaszłała panna Karolina. I tak już od kilku dni Kizia w nocy budzona była jakimś strasznym krzykiem, który przerywał ciszę nocną i później, gdy dziewczynka przerażona i potem

okryta leżała nieruchoma pod swą szkocką wełnianą kołderką — w kącie, w którym była panna Karolina, słychać było długo jakiś łoskot gwałtowny, uderzenie głowy o krawędź łóżka, jakaś tajemnicza i straszna robota, której dziecko zrozumieć nie mogło, a która przecież przejmowała ją nieokreśloną trwogą.

Dwunasta wybiła z jękiem na ordynarnym zegarze pomalowanym w róże, bielącym się na ścianie, pod którą dawniej stał tapczan Marcysi. I nagle, jakby oczekując na tę chwilę z ostatnim uderzeniem zegara — spoza parawanu rozległ się krzyk straszny, okropny, jakby jęk. zwierzęcia, na które nagle spadł drapieżny potwór i dławić je szponami zaczyna.

Parawan szarpnięty z trzaskiem zwałił się na pokój i szeroko otwartym oczom Kizi przedstawił się nagle obraz przejmujący zgrozą, widok panny Karoliny wijącej się w konwulsjach epileptycznych na białym tle pościeli i wyciągającej w przestrzeń pokurczone ręce. Tragiczną grozą skrzywiona była jej twarz obrzękła, oczy zasunięte za powieki migotały porcelanowym blaskiem, z ust sączyła się żółta piana.

Po bieli poduszki rozrzucony płaszcz czarnych włosów służył za tło tej masie śmiertelnej, którą szczeka dolna naprzód wysunięta przetwarzała do niepoznania. I ciągle jakby niewidzialną, a potężną prawicą wstrząsane biedne ciało kobiety, okryte zaledwie prześcieradłem, z łoskotem biło się o ścianę i krawędź łóżka, głowa opadała na kant stoliczka, stojącego obok, pokrytego książkami i fotografiami. — Tak nędzny, smutny, biedny był ten szmat ciała, szarpany brutalną a potworną potęgą, że w tragiczności swojej wołał o litość każdą konwulsją wstrząsającą nędznymi członkami, z których duch wygnany i styranizowany nie umiał już złożyć całości i spętać rozpasane w piekielnej sarabandzie ciało, podrzu-

cane epileptycznymi drganiem i cierpiące straszłą katuszę, na którą nie było ratunku.

Ta nieszczęsna dziewczyna konała tak już lat tyle, pokutując za alkoholizm dziadka, za histerię matki, wyżebrawszy u potęgi twórczej tę łaskę, że ataki epileptyczne chwytaly ją w nocy, napadając na nią, gdy po dniu pracy i znużenia drzemała, szukając w tym gorączkowym półśnie trochę zapomnienia i trochę odpoczynku.

W ten sposób do pewnego czasu była w stanie ukryć swój stan, lecz zwykle wypadek odkrywał nędzę jej istnienia i oddalano ją natychmiast, a ona milcząc zbierała swe nędzne łachmany i szła dalej, paria bezdomna, szukać nowego miejsca, wlokąc ze sobą i w sobie tę hydrę potworną, która przylgnęła do niej jak trąd i objąwszy ją w swe straszne, wyniszczające objęcia, chwili spoczynku dać nie chciała. I była to straszna tragedia — życie tej kobiety, nędzarki, zmuszonej do wynajmowania się innym zdrowym i wyższość posiadania własności nad nią mającym, aby zawsze kryć się ze swym fizycznym bólem, który uważany był w klasie tych, co płacą, za odrażające kalectwo, a ukrywanie tegoż za oszustwo i niegodną chęć wyłudzenia zapłaty za zły i nie wartą towar. I całe lata wlokła się ta panna Karolina po świecie, wypędzana zewsząd z pogardą, mając w dodatku do musu wynajmu swego ciała i swej inteligencji — potworną hydrę, rzucającą się na nią cichaczem wśród nocy jak szakal na trupa i targającą tym trupem aż do brzasku dnia, który wstawał promienny i królewski, oświecając porannymi blaski tych, co ludźmi się zowią, słowo „sprawiedliwość” z legowisk swych wygnali, i jednym wszystkie nieszczęścia, smutki, cierpienia, braki i nędzę ciągnąć każe — po to — aby drudzy z tychże samych nędz i smutków, braków i nieszczęść — swe własne dostatki i uśmiechy tworzyli.

Na swoim łóżeczku klęcząc, Kizia patrzyła na wijącą się w konwulsjach guwernantkę i bijące jak młotem serduszko cisnęła do piersi okrytej koszulką. Czuła, że

dzieje się pannie Karolinie jakaś wielka krzywda, straszna niesprawiedliwość, pokryta dla jej dziecięcego umysłu nieprzejrzaną mgłą tajemnicy. Chciała wołać, dojść do łóżka, ująć ręce swej ukochanej guwernantki, lecz sił jej brakło — tylko osunąwszy się na krawędź łóżeczka, wołała cicho ze łzami:

— Panno Karolino! panno Karolino!

Lecz nagle drzwi się roztworzyły z łoskotem i przez nie wpadła Marcysia widocznie snująca się po sieni, do której przytykał ścianą dziecinny pokój. Jak huragan rzuciła się ku Kizi i porwała ją na ręce.

— Chodź, Kiziuniu!... nie patrz!... nie patrz!... to odmina, w niej nieczysta moc siedzi!... — i szorstkimi dłońmi zakryła oczy dziecka, unosząc je w stronę pokoju Terlikowskich.

Lecz Kiziunia wyciągała ręce i wołała wciąż ze łzami:

— Panno Karolino! panno Karolino!

Następnego wieczoru, na miejscu, gdzie stało łóżko panny Karoliny, czerniał już tapczan Marcysi, która tryumfalnie wniosła swój kilimek i poduszkę do dziecinnego pokoju, z jakiego ją owa nieszczęsna guwernantka na kilka miesięcy wygnała.

Chłopka tryumfowała, układając Kizię do snu. — Dziecko po wzruszeniach ubiegłej nocy przyjść do siebie nie mogło i blade, z oczyma mgłą powleczonymi, zdawało się w owym ciemnym kącie szukać wciąż cienia panny Karoliny, która tak groźnie i tragicznie przemknęła się przez poranek życia dziewczynki, pozostawiając po sobie ślad widma prześladowanego tajemniczą i fatalną potęgą. Dwunastą wybił chrapliwie zegar i w ciszy nocnej jego głos zdawał się być jeszcze silniejszym i bardziej wypełniającym przestrzeń dziecinnego pokoju. — W framudze, z łóżeczka o wysokich, na brązowy kolor pomalowanych ścianach, podniosła się Kizia i ukłękłszy wśród porozrzu-

canej pościeli, zdawała się czekać na coś — wsłuchiwać się w ciszę...

Lecz spoza parawanu słyhać było tylko równy i głośny oddech Marcysi, z drugiej framugi sapanie nagle zakatarzonego Kocia.

Kazia klęczała tak długą chwilę i nagle zwróciła się w stronę parawanu.

— Nianiu!

Chłopka porwała się w jednej chwili, przyzwyczajona do kaprysów dziecinnych, zrywających ją z pościeli i płoszących jej sen z powiek.

— Czego chcesz, Kiziuniu?

Do łóżeczka dziecka dreptała cała biała, w długiej koszuli i narzuconej na wierzch parciej spódnicy. Na głowie miała turban z kawałka perkalu, na szyi dzwoniły medaliki i dwa sznurki paciorek.

— Czego chcesz, Kiziuniu?

Lecz Kizia odrzucała ręce chłopki, które wyciągały się ku niej szorstkie i postronkami żył poprzecinane.

— Gdzie teraz jest panna Karolina? — spytała cichutkim głosem.

Po raz pierwszy od wczoraj wymówiła imię swej nauczycielki. — Cały dzień zamknięta w pokoju Terlikowskiej śledziła w milczeniu bieg wypadków i twarze rodziców, turkoty zajeżdżających bryczek i gdy nareszcie wieczorem wprowadzono ją do dziecinnego pokoju — tapczan Marcysi wniesiony na miejsce łóżka guwernantki objaśnił ją dostatecznie

o wyrzuceniu za progi Gliniewieckiego dworu tej, którą jakiś ból straszny nocami szarpał i głowę jej biedną o kanty łóżka tłukł w bezlitosnym szale.

— Nianiu!... gdzie teraz panna Karolina? — pytało dziecko.

Chłopka wzruszała ramionami.

— A bo ja wiem!... taka nawiedzona to może i z wiedźmami gdzie latawice urządza...

Lecz Kizia wstrząsała główką.

— Nie!... panna Karolina jest biedna, chora...

— No to kiedy chora to i poszła precz — śmiała się chłopka. .

— Dlaczego?

— Bo w służbie słabowania nie ma. Państwo płacą za zdrowej a nie chore ciało!

— A cóż teraz będzie panna Karolina jadła? Marcysia zastanowiła się chwilę.

— A... trawę przy drodze! Już taka dola takich, co są nawiedzeni jakim choróbskiem. Niech pokutuje.

Dziecko otworzyło szeroko błękitne oczęta.

— A za co, nianiu? — spytała — czy to jej wina?

Odpowiedzi nie było.

Marcysia stała teraz cicho — zamyślona i w umyśle jej upartym zaczynały się budzić wątpliwości — czy rzeczywiście ci, którzy są „nawiedzeni choróbskiem" powinni jeszcze tłuc się po świecie, bez domu i łyżki strawy, gnani jak psy bez pana po rozstajnych drogach, męczeni nędzą i ludzką pogardą?

Lecz prędko serwilistyczna jej natura, którą miała w sobie przyrosłą do swej duszy, wzięła górę nad budzącym się poczuciem człowieka.

— Panna Karolina oszukała jaśnie państwa, bo zgodziła się do służby chora — jaśnie pan ją napędził i dobrze zrobił. — Jak jaśnie pan kupuje bydło albo godzi ludzi do służby, to chorych brać nie może. Jaśnie państwa pieniądze święte... i trza je odrobić uczciwie!

Umilkła na chwilę, pociągnęła nosem i zaczęła na Kizię naciągać kołderkę.

— A teraz niech Kiziunia się przeżegna, ta spać się położy... A może opowiedzieć bajkę o czapce. Co?

PIELGRZYMKA PANI JACENTOWEJ

— Żeby cię wszystkie cholery zatłukły, tak... pońdę.

— Nie pońdziesz, mówię ci, jakim uczciwy! Skórę ci zgarbuję, a zostaniesz w domu.

Jacentowa parsknęła śmiechem.

— Skórę mi zgarbujesz? Ty psiakrewska niedojdo? Czym? Garściom? Może miotłom?... Co?...

Jacenty spojrział z góry na żonę.

Chłop to był setny, wielki jak dąb, choć pochyło się trzymający, o długich rękach orangutanga, zwieszających się miękko i leniwie po obu stronach jego postaci.

Postąpił kilka kroków i machnął miotłą, którą włókł za sobą jak kometa ogon. W kącie dziedzińca kilka kur chudych, pokrytych kojcem, zagdakało ze strachu.

Tymczasem Jacentowa, siedząc na progu drzwi z rękami splecionymi na kolanach, chichotała, złośliwie mrugając maluchnymi oczkami, ponad którymi pasma lśniących od pomady włosów kleiły się w wężowate smugi.

— Zgarbujesz mi skórę — piszczała cieniuchnym głosikiem — a to się przechwała!... Niby ty jak każdy inny masz siłę i chętkę jaką... A toć, cholero jedna, jeżeli odprawię tę świętą pielgrzymkę, którą sobie ślubowałam, to może i tobie wyńdzie taka odpustowa ochwiara na pożytek... Może cię Najświętsza Panienska odmieni i lenia z ciebie wypędzi, a to nie tylko, że mi zagradzać drogi nie powinienes, ale wyprawić jeszcze i Bogu polecić!...

Mówiła jednym tchem, bez przerwy, jakby się nau-

czyła lekcji i słowa jej szemrały cicho a dobitnie wśród ciasnej a smrodliwej przestrzeni podwórka. Jacentowa nie otwierała ust, mówiąc; sine i wąskie wargi zaciskały się prawie. Nozdrza spłaszczzonego nosa nie poruszały się, to samo i deka piersiowa, pokryta cienką tkaniną

perkalowego kaftana. Jedyne oczy migotały i latały pod zamkniętymi silnie brwiami i skóra na olbrzymim, wypukłym czole marszczyła się w masę fałd jak zwoje zbyt obszernego płaszcza. Kobieta była chuda, mała, mizerna, czarna, ze skórą spaloną, a mimo to lśniącą. Ot, mucha wobec olbrzymiej postaci Jacentego. A przecież chichotała ciągle, jak mała małpka, skurczona na progu izby. Resztki zachodzącego słońca wydobywały z ciemni jasną barwę jej kaftana i kładły migocący punkt na samym środku jej czoła. Ot, jak dukat złoty ruchomy i nieuchwytny, migocący tuż pod pasmami ciemnych włosów.

Jacenty machnął raz jeszcze miotłą i podszedłszy ku kąтови dziedzińca, gdzie skład był wszelakich rupieci, wielką polewaczkę z łoskotem i brzękiem wydobył.

Nie mówiąc ani słowa, ku studni podszedł i wodę do konewki ściągać zaczął. Na odgłos plusku wody zadudniło w głębi izby i jak bomba z ciemnego wnętrza domu wyleciała na dziedziniec mała dziewczucha bosa i zasmolona, w perkalowej sukience i z cieniuchnymi warkoczykami po obu stronach olbrzymiej jak dynia głowy.

Z rękami rozczapierzonymi pędziła w stronę studni i nie zatrzymała się aż w brylantach wody, która całą kaskadą rozpryskiwała się dokoła.

Jacentowa uderzyła się po kolanach.

— Julka!... Wiedźmo zatracona!... — zawołała — pońdziesz precz od wody... kieckę na nic zamoczysz, flądro jedna!...

Lecz Julka, nazwana „flądrą”, kręciła się jak wrzecziono w pyle wodnym, obsypującym ją ożywczym, chłodnym deszczem. Żółta głowina pokryta rzadkimi włoskami migiała jak olbrzymia bania wśród wodotrysku.

— A odpędź ją!... — krzyczała matka.

Jacenty postawił konewkę i pochmurnie na dziecko spojrział.

— Poszła!... — krzyknął wreszcie, lecz Julka, rozbawiona, kręciła się wciąż, wyciągając brudne ręce, żółte i jakby napuchłe, ręce skrofulicznego dziecka...

— Zdziel ją bez łeb!... — wołała Jacentowa.

Lecz już z wnętrza izby wylazło nowe, pokracczne stworzenie, blade i maluchne, czołgające się na czworakach, z taką samą wielką żółtą głową jak dynia i z trudem dźwignąwszy się na wygięte w pałak nogi, dążyło ku tej drugiej, całej brylantowej od rosy wodnej, czepiającej się jej nędznych

włosów i wyciągniętych rączek. W brudzie, zaduchu i ciemnicy zrodzone i chowane istoty dążyły instynktownie do światła, chłodu i wody, tryskającej promienną strugą wśród smrodliwej ciemni dziedzińca.

Lecz równocześnie oboje rodzice, podnieceni i podrażnieni sprzeczką, rzucili się jakby na komendę na te drobne ciała pokurczone i nędzne, dźwigające się z takim trudem od ziemi.

But Jacentego obalił na ziemię Julkę, pięść Jaentowej przygniotła do ziemi to drugie stworzenie.

Po czym Jacenty, porwawszy za konewkę, zniknął w głębi, a Jacentowa wpadła do izby i zarygłowała się wewnątrz. Na dziedzińcu, na szarym tle bruku obok skrzyni ze śmieciami przypadło do ziemi młodsze dziecko, zanosząc się z płaczu.

Nieco dalej, pod pompą, wśród kałuży wody, leżała Julka cicha, z zaciśniętymi ustami.

Ponad nimi, nad tymi atomami ludzkości, wznosiły się mury kamienicy, otaczające fortecznym murem maluchną przestrzeń dziedzińca.

Olbrzymia, drewniana rynna, przeznaczona do zlewania nieczystości, żółciła się w kącie jak potworna gromnica.

Na jednym z wyższych pięter jakaś Żydówka wywiesiła czerwoną pierzynę. Z daleka słychać [było] przyciszony łoskot jadącej dorożki lub głos sługi śpiewającej godzinki.

Nareszcie dźwignęła się z ziemi Julka i kiwając swą olbrzymią głową, ku młodszej siostrze iść zaczęła.

— Cyt!... Cyt!... Karusia!... — wymówiła cichutko.

Karasia umilkła i załzawione swe oczy w idącą siostrę utkwiła.

Były zupełnie do siebie podobne, obie brzydkie, skrofuliczne, smutne, brudne, napiętnowane od kołyski nędzą.

Obie miały jednakowe, wielkie, błękitne źrenice, załzawione i pełne nieokreślonej tęsknoty, usta sine i malutkie, uszy duże, żółte i odstające jak wachlarze, szyje cienkie i szramami skrofulu poznaczone.

Tylko Karasia była o wiele mniejsza i nędzniejsza od Julki, która zdawała się być poczętą i zrodzoną w jaśniejszej jeszcze i czystszej atmosferze niż ta, jaka panowała wśród ścian dziedzińca.

Julka usiadła na ziemi obok Karusi i ujawszy dziecko w ramiona, przytuliła do swej maluchnej piersi.

Karusia łkać przestała i tylko od czasu do czasu wzdychała ciężko, a Julka wtedy delikatnie jej włosy gładziła.

I tak siedziały obie długo w swych brudnych, różowych sukienkach na szarym tle kamieni, malutkie a tak już ogromem chorób i strapienia przygniecione — w zaraniu życia, jak braki społeczne na rzeź niedoli wysortowane i zrzędzeniem losu piętnem hańbiącym znaczone.

Jeszcze przed świtaniem zerwała się Jacentowa z pościeli.

Nie mogła przecież zasnąć dnia dzisiejszego. O piątej bowiem kompania wyrusza do Studzienki z pielgrzymką

do Panny Najświętszej, cudami na mil kilkanaście dokoła słynącej.

Pewnej nocy, dawno już dosyć, bo niemal zaraz po narodzeniu się Julki, Jacentowa zbudziła się nagle, czując jakby szarpnięcie prawego ramienia. — Kto to?... — zawołała, siadając na łóżku.

Lecz odpowiedziało jej tylko chrapanie Jacentego, który dzień cały rąbiąc łód, spracował się ciężko i teraz spał snem kamiennym, wetknąwszy nos w czerwono kratkowany perkal powłoczki poduszki.

Niedaleko łóżka stała kołyska, pod której bieguny podłożono kilka tarcic. W komórce bowiem, służącej za mieszkanie stróża, wilgoć była przerażająca i podłoga gniła, rozpadając się jak trup w wilgotnym grobie. W kolebce spała Julka cicho, nie oddychając prawie, mając ciało przytłoczone ciężarem olbrzymiej głowy, która czyniła z niej rodzaj potwora, przedwczesnego płodu, konserwowanego w brudnych słojach na purpurą obciągniętych półkach wędrownych muzeów.

Jacentowa usiadła na łóżku i doznała nagłego uczucia szalonej trwogi.

Przed jej oczyma zaczęły przesuwać się w zwartym szeregu białe kościotrupy, niosące na barkach trumny i wlokące za sobą długie prześcieradła.

Cała ohyda śmierci nieuszlachetnionej rozumną legendą wraz z aparatem kościelnym, piszczelami wyszytymi na tle katafalkowego sukna, z Salve Regina śpiewanym nad otwartą jamą grobu, z całą potworną komedią pogrzebu, obliczoną na szarpanie nerwami tych, którzy zostają — wypełniła teraz ciasne wnętrze izdebki.

Było to nagłe widzenie owej śmierci nieuniknionej a nieoczekiwanej i Jacentowa w spazmie szalonej trwogi drżała teraz cała wstrząsana jakby przedśmiertnym dreszczem.

. Tuląc do piersi cały komplet medalików ukrytych pod grubym płótnem koszuli, otwierała szeroko małe slipki i nagle wyschłym językiem obracała w rozwartych ustach.

Wreszcie ze spieczonego gardła zdołała wykrztusić:

— Panno Najświętsza!... Ślubuję Ci odprawić pielgrzymkę do najbliższego świętego miejsca, niech jeno rana doczekam... i nie zamrę tak po ciemku przez świece i pomocy ludzkiej!...

Nie zamarła — owszem, nazajutrz obudziła się zdrowa, lecz pamięć owego nocnego „stracha,” pozostała już ciągle w jej umyśle i często, kładąc się wieczorem, drżała na samą myśl, że napad ów groźnych śmiertelnych widziadeł ponowić się może.

Jacenty opowieść żony przyjął pogardliwym wzruszeniem ramion i splunawszy oznajmił, że baby to jak nie mają prawdziwego stracha, to go zelżą, byle językiem mleć i ludziom czas zajmować.

Trzy lata minęło, po Julce przyszła Karusia — Jacentowie z wilgotnej komórki przenieśli się do... komórki wilgotnej.

Jacenty zaczął pić i z kompanami do harfiarek zaglądać, Jacentowa nabrała „gęby” — zrobiła się „cięta”, lecz zarazem wychudła, szerniała i miała w dwudziestym piątym roku powykręcane ręce od reumatyzmu.

O pielgrzymce nie było mowy, Jacentowa bowiem najmowała się do posługi i do prania, rodziła dzieci, karmiła je, gotowała, chorowała, łątała odzież, biegała po szynkach i wywłóczyła z nich męża, robiła plotki, biła się z sąsiadkami, odmawiała i stręczyła sługi, katowała dzieci, wymyślała „handlom”, zajmowała się „merdunkami”, spełniała funkcje denuncjanta przy boku „pana rządcego” — słowem, wieczorem zaledwie miała czas wykuksać dzieci, obetrzeć im nosy, nałożyć sobie na włosy trochę pomady, zjeść coś niecoś, wyklócić się z mężem

i runąć na posłanie, wyciągając daleko poza sosnową ramę parę nóg szerniałych, spuchniętych, często pokrwawionych lub od mrozu i brodzenia w ługu spękanych.

Naraz ów „strach”, owa bojaźń śmierci powtórzyła się wśród nocy wiosennej jeszcze więcej wyrazista i przerażająca. Jacentowej tchu w

piersiach nie stało. Przypomniła sobie ślub uczyniony i swe cudowne od śmierci ocalenie. Wstała z pościeli blada, z oczyma świecącymi i poszła na naradę do sklepikarki Bączkowskiej, osoby otyłej, pobożnej i do bractwa Adoracji wpisanej. Obie uradziły, że pielgrzymkę odbyć trzeba, a Bączkowska, jako osoba fachowa, doradziła Studzienkę, o mil kilkanaście odległą. Właśnie w czerwcu zbierały się kompanie pobożne i ze śpiewem i chorągwiami wyruszały do świętego miejsca.

Od tej chwili w komórce Jacentów rozpoczęło się piekło. Jacentowa dzień i noc mówiła: „pońdę” — na co Jacenty odpowiadał: „nie pońdziesz!” I ta mistyczna przyczyna niezgody rosła, potężniała codziennie, aż w wigilię wyruszenia kompanii doszła do kulminacyjnego punktu naprężenia. Z dudnieniem nóg bosych i podciąganiem nosem wybierała się teraz Jacentowa w drogę, wiążąc rzeczy w węzełek, ledwie odziana, w spódniczynie zarzuconej na chude biodra.

Na tapczanie spała Karusia, a obok niej leżała Julka, która, milcząc, szeroko rozwartymi oczyma patrzeć poczęła na krzątającą się matkę. Kaganek świecił na brzegu stołu. Przez małe okienko wdzierał się świt szary i nędzny.

Nagle na łóżku podniósł się i usiadł Jacenty. Był cały zapuchnięty jeszcze od snu i wąsy sterczały mu groźnie pod zaczerwienionym nosem. Rozchamrana koszula spadała mu prawie z ramion. Przetarł oczy i spojrzał na żonę.

— A ty co wyrabiasz? — zapytał chrapliwie — kręcka dostałaś, czy co?...

Jacentowa składała właśnie chustkę dużą, dostatnią, w kraty białe a czerwone; nie patrząc na męża, odmruknęła:

— Co ci do tego, co ja robię!... w niewolę mnie nie wzioneś!...

Tłomoczek spakowany położyła na ziemi, wdziała trzewiki, kaftan, śliną przygładziła włosy i małą chustkę na głowie wiązać zaczęła.

— Gdzie cię niesie? — spytał Jacenty.

— Cztery mile za piec! — odparła kobieta.

Teraz Jacenty przypomniał sobie pielgrzymkę, ową czterodniową wycieczkę, podczas której on miał wraz z dziećmi pozostać sam w mieście.

— Słuchaj, Maryna!... — wyrzekł dobitnie, a zęby mu aż z wielkiej złości drżały — jak ty mi nogą za próg przestąpisz, tak ci takie wały sprawię, że na drugi rok przypomnisz...

Lecz ona porwała tłomoczek i ku drzwiom przyskoczyła.

— Żebym ja ci pierwej wałów nie sprawiła, pijaku! — krzyknęła prawie już na progu.

— Diablica!...

— Cholera!...

— Suka!

Teraz oczki Jacentowej zabłysły jak ogniki, chwileczkę zawahała się, lecz przez umysł jej przebiegła chytra chłopska myśl, iż jeden więcej grzech niewiele znaczy, zwłaszcza skoro idzie się tam, gdzie odpuszczają grzechy całego życia...

Szybko, jak mała pantera, poskoczyła ku łóżku i reumatyzmem pokręconą pięścią uderzyła po karku męża.

Zanim Jacenty mógł się opamiętać, Jacentowa była już na dziedzińcu, wpadła do bramy, otworzyła drzwi trzymanym w ręku kluczem i wypadła na ulicę.

Jak strzała pomknęła wzdłuż trotuaru, trzymając się cienia domów i skręciła w pierwszą boczną uliczkę.

Tam zatrzymała się dla nabrania oddechu i pod-

niósłszy oczy ku niebu, które już lekko różowiło się na skraju widnokregu — wyszeptła:

— Panno Najświętsza!... Ochfiaruję Ci te mizerie na chwałę Twoją — Amen!...

Pierwszego dnia nieobecności żony Jacenty przyniósł dzieciom kielbasy, bułek i piwa. Wypiwszy butelkę na dwie, obie dziewczyny upiły się i nataczawszy się po dziedzińcu, zasnęły wreszcie, opierając głowy o skrzynkę od śmieci.

Jacenty, klnąc, zaniósł je do izby i ubrane porzucił na łóżko, a sam poszedł przed bramę wydziwiać i wymyślać na żonę.

Bączkowska stała właśnie przed sklepikiem i słysząc monolog Jacentego, zaczęła mu przyświadczać, mówiąc, że dzieci, mąż i dom to pilniejsze obowiązki dla baby niż chodzenie po pielgrzymkach.

Bączkowska była jeszcze niczego, jędrna jak rzepa, okrągła i zawsze czysto a szumiasto odziana. Mówiąc uśmiechała się i zawracała oczami. Jacenty zauważył, że sklepikarka była jeszcze niczego i zbliżył się, tym bardziej że znalazł w niej chętnego słuchacza.

Rezultatem było zaproszenie Jacentego przez Bączkowską na szklanekę piwa i, jakkolwiek nie zaszło nic zdrożnego, jednak już Jacenty nie uczuwał tak bardzo osierocenia i opuszczenia swego.

Bączkowska, rozczulona, przyrzekła nawet zająć się dziećmi i rzeczywiście nazajutrz przysłała z dużym garnkiem mleka i porcją suszonych śliwek.

Zastała tylko Karusię, bo Julka doprowadziła do skutku dawno ułożony plan i wylazszy za bramę, powędrowała w świat Boży.

Jakie były jej losy, o tym nikt nie wiedział, gdyż nazajutrz przyniósł ją policjant z rozkrwawioną od uderzenia kamieniem głową.

Musiła jednak Julka widzieć piękne i słoneczne rzeczy, bo w głębi swych olbrzymich źrenic zdawała się mieć nagromadzone tajemnicze skarby, zazdrośnie i w milczeniu ukryte.

Tymczasem Bączkowska szastała się po izdebce stróża i teraz Jacenty nie wychodził do szynku ani przed bramę, lecz wciąż starał się być blisko otyłej wdowy.

Ciągnęło go do niej jak muchę do miodu.

Kobieta nie broniła się, owszem, chętnie podsuwała swe rozrosłe ciało pod wzrok i ręce mężczyzny, który jej zawsze imponował olbrzymim wzrostem i niewzruszonym spokojem.

I na trzeci dzień Bączkowska i Jacenty wynieśli się z izdebki do sklepiku, gdzie byli o wiele swobodniejsi poza szafami i gdzie nie ścigały ich milczące i zdziwione oczy Julki.

Tymczasem obie dziewczynki na próżno wyczekiwały jakiegokolwiek pożywienia.

Karusia zanosila się z płaczu, a lży jej, ściekając po dawno nie umytej twarzy, tworzyły długie, szare, tłuste pasma.

Julka, zacisnąwszy usta, jak małe prosię instynktem wiedzione, szukała po kątach jakich okruszyn jadła.

Znalazła trochę spleśniałych kartofli i te po odrobinie wsuwała w buzię siostry.

Pod wieczór jednak głód szarpał jej wnętrzności.

Słyszała jak ojciec pompował wodę na dziedzińcu, jak zamiatał i czyścił skrzynię do śmieci.

Nie mogła się jednak odważyć stukać i wołać o trochę pożywienia.

Zamknięto je bowiem na klucz z obawy nowej wędrówki po świecie.

Wieczór nadszedł, Karusia leżała teraz w kącie tapczana i nie miała już siły płakać, tak bardzo drobne jej piersi spracowały się od ciągłego krzyku.

Julka stała oparta o ścianę. Brudna szmata, którą owinięto jej czoło, spadała jej ma ramiona i na olbrzymim

czole wśród błękitnawego światła wieczoru ciemniała szrama, z której sączyła się powoli krew, ciekąc na wybladłe policzki.

Klucz zachrobotał w zamku i Jacenty stanął na progu izdebki.

Przypomniał sobie wreszcie dzieci i prosił Bączkowskiej, aby przysłała ugotować im trochę ciepłej stawy. Lecz wdowa, czując się już panią sytuacji, nie miała ochoty męczyć się bezpotrzebnie i ograniczyła się jedynie na daniu Jacentemu trochę mleka i białego chleba, radząc mu, aby mleko przegotował.

Klnąc, plując, drżącymi ze znużenia rękami rozпалиł Jacenty ogień i postawiwszy na fajerkę rondel z mlekiem, zabierał się do rzucenia się na łóżko, gdy zapukano cicho do okna.

To stróż z sąsiedniej kamienicy przyszedł wyciągnąć Jacentego na kieliszek „słodkiej” przed zapaleniem światła na schodach.

Jacenty, po chwilowym wahaniu, wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

W izdebce oświetlonej skapo przebłyskami płonących w piecu drzazeg pozostała Julka i Karusia, obie pełne nadziei dostania wreszcie okruszyny ciepłej stawy.

Na czworakach wylazła Karasia ze swego legowiska i skierowała się do pieca, za nią poszła Julka.

Obie znalazły się przy kominie, dostając za ledwie czubkami głów do skraju tegoż, z głowami zadartymi, z oczyma wlepionymi w ten rondel, gdzie grzało się mleko, które w tej chwili przedstawiało dla nich jedyne pożądanie i tak gorąco upragnioną i wypłakaną stawę.

Nagle Julka poruszyła się niecierpliwie. Mleko zaczęło kipieć, z szumem wylatywało na blachę i w tysiącach perełek, drząc, biegając, tańcząc,

niknęło w przestrzeni. Julce nabiegły łyzy do oczów. Obejrzała się na drzwi, ojciec nie wracał, mleko ucieknie, zbiegnie tak całe... i znów nie pozostanie ani dla niej, ani dla Karusi nawet okruszyny, nawet jednej kropelki.

Na wypukłym jej czole zarysowała się nagle zmarszczka jakiegoś silnego postanowienia.

Przysunęła do komina stołek i wdrapała się nań z wielkim trudem. Stanąwszy, wyciągnęła rękę i ujęła za rączkę rondla, pociągnęła ku sobie, lecz naczynie było ciężkie i nie stało równo, wtłoczone jednym brzegiem w otwór fajerki.

I nagle, równocześnie, rozległ się nieludzki krzyk z obu dziecinnych piersi. Mleko gorącym warem oblało całą głowę i ciało stojącej koło komina Karasi, a Julka, straciwszy równowagę, spadła z krzesła na ziemię, rozraniając sobie do reszty swą nieszczęsną głowę skrofulicznej istoty.

Na czwarty dzień pod wieczór pani Jacentowa, zabłocona, wychudła, szerniała, ze spódnicą obszarpaną, z odzieżą zlaną deszczem weszła na dziedziniec, niosąc za pazuchą dwa różańce, butelkę wody studzienkowskiej, kilka obrazków, kropielniczkę i masę innych przedmiotów.

Pchnęła drzwiczki od izdebki i zatrzymała się na progu, mrużąc oczy, nie widząc dokładnie w tej ciemni, od której odwykła.

Usłyszała tylko jakby pisk kodaka i w kącie na tapczanie dojrzała wreszcie pakunek waty, z której się pisk ten wydobywał.

Obok leżała Julka z oczyma płonącymi, spalonymi od gorączki, z głową obandażowaną, milcząca i chmurna.

Na stole stał talerz, na którym żółciła się oliwa i leżało duże gęsie pióro, ociekłe złotą ciecżą.

Jacentowa rzuciła na ziemię tłomoczek i ku drzwiom podbiegła.

Nie było w stancji nikogo, lecz leżąca na łóżku czapka Jacentego wskazywała, że stróż musi być niedaleko. Jacentowa odsunęła watę i z ust jej wybiegło jedno słowo:

— Jezu!

Z Karusi została jedna żywa rana, purpurowa, bąblami białymi pokryta. Drzwi skrzypnęły, Jacenty wszedł do izby. Spojrzał na żonę wrogo, nienawistnie i za czapkę pochwycił.

— Co się tu stało? — spytała Jacentowa.

Lecz on, zamiast odpowiedzi, splunął pogardliwie i wyszedłszy z izby, drzwiami trzasnął.

Jacentowa stała chwilę w milczeniu, aż wreszcie na kolana upadłszy, zawodzić poczęła.

Julka poruszyła się niespokojnie na łóżku i swe wielkie, zgorączkowane źrenice utkwiła w matkę jakby z wyrzutem, jakby z zapytaniem i pozostała tak ciągle milcząca, z ustami spieczonymi, zaciśniętymi w upartym milczeniu. Lecz Jacentowa wyciągnęła ręce w stronę, w której na ciemnym tle ściany połyskiwał wyzłocony obrazek Dziewicy. .

— A... wyprowadźże dzieciny moje z tych chorób, Panno Najświętsza! — zawołała, zanosząc się od płaczu — a ślubuję Ci nową pielgrzymkę!...

ROMANS Z HRABINĄ

"Teatr bez szminek"

Dobry był chłopak, dobry — ani słowa, lecz... zanadto przystojny. Bo — cera taka, jakby nigdy szminki, ani szmalcu, ani krepy, ani mastyksu nie widziała. Białe to, delikatne, prawie przejrzyste. Oczy duże, czarne, rzęsy — jak firanki, brwi jak malowane, nos prosty, prawie grecki i usta — cały poemat.

A już największym wdziękiem to były zęby, jak sznury pereł — zdrowe, błyskające bielą i co chwila ukazujące się z potrzeby i bez potrzeby.

Z taką powierzchownością — do której wzrost odpowiedni, pewna gracia w ruchach i wdzięk prawie kobiecy — cóż można przedstawić innego na scenie, jeśli nie kochanków. Lecz Chodacki nie był łakomy na role amantów i różnych innych książąt de Bligny — uprawiał raczej genre lekko charakterystyczny i miewał zapędy w kierunku moderne. Marzył o roli „wypunktowanej“, w której

byłoby dużo pauz i nastrojów, w której mówiłoby się — „to straszne nadchodzi“ — lub „to okropne jest poza mną“. Lecz, niestety, jego zdrowa, czerstwa uroda skazywała go raczej do ról z zacięciem — i farsy w rodzaju Mężów Leontyny, Koralij i tym podobne pochłaniały jak dotąd jego talent i rutynę sceniczną. Chodacki był — w całym słowa tego znaczeniu — dobrym chłopcem. Lubili go wszyscy, gdy jego nie było na próbie, nudno było i głucho. Mieszkał razem z matką, kobietą niemłoda i dystygowaną, i siostrą, podlotkiem, równie jak on urodziwym i pełnym gracji. Ubogo tam było koło nich, ale jakoś artystycznie i miło. Siostrę jego znali wszyscy i interesowali się jej postępami w naukach i w urodzie. Nie zjawiała się nigdy za kulisami. Gdy raz jedna z artystek spytała Chodackiego, czy jego siostra będzie artystką? — ten spojrział na nią tak wymownie, iż drugi raz nie postawiono mu więcej podobnego zapytania. Nikt się jednak na niego nie gniewał o tę milczącą wzgardę dla stanu artystek. Chodacki bowiem umiał każdemu oddać jakąś przysługę, dostarczyć lekarstwa, pożyczyć kostiumologię, dopomóc w charakteryzacji, zaprosić na przekąskę, urządzać owację — a czynił to z taką wykwinną uprzejmością, z jakimś szykiem zgrabnego labusia lub pudrowanej lalki z komedii Marivaux, że przebaczano mu wiele i — śmiano się z niego po cichu. Jest bowiem pewien rodzaj „wyśmiewania się“ specjalnie zakulisowego. Są w tym rodzaju specjaliści, którzy

niezmiernie dowcipnie, złośliwie i nawet inteligentnie wyśmiewają swoich kolegów. Koło takiego specjalisty tworzą się na próbach grupy i zabawa rozpoczyna się na szeroką skalę kosztem nieobecnego lub nieobecnej osobistości. *Cet age est sans pitié*, a że aktorzy zawsze są dużymi dziećmi, więc i oni, jak dzieci, litości nie znają. Uragają wszystkimu. Dyrektor i lampucer przechodzi jedną chłostę wyśmiewania. Przepyszne naśladownictwo wad i ułomności kwitnie w całej pełni. Często wyśmiewany nadchodzi nagle i przyłącza się do grupy — i oto następuje milczenie, fizjonomie przedłużają się, humor znika. Czasem jednak względy znikają i natrząsanie się trwa nawet w obecności wybranej ofiary. Nikt nie umie tak podpatrzyć śmieszne lub głupie strony ludzkiego charakteru jak aktor. Pewnego dyrektora, obnoszącego z powagą grób

tajemniczości pod łąsą czaszką, przezwano „demonicznym durniem“. Inspicjent, będący ekstraktem zatumanienia, nosił miano „Potęga ciemnoty“. Chodacki zaś nazywał się za oczy „kochankiem hrabiny“! Nie wazono się jeszcze rzucać mu w oczy ową sentymentalną, przypominającą romanse Borna nazwę. Lecz po cichu, w grupkach duszono się ze śmiechu. Kto ci pożyczyl dziś peruki? Kochanek hrabiny! Kto cię zaprosił na śniadanie? Kochanek hrabiny. — Pst!... bój się Boga! jeszcze nadejdzie!

— Nie ma obawy, stoi tam na kurytarzu i pali papierosy!

Ktoś zbliża się niedobrze poinformowany.

— Jakże to było z tą hrabiną?

— Nie wiesz?

— Nie.

— A chciałbyś wiedzieć?

— Chciałbym.

— To daj papierosa i chodź do mojej garderoby.

W jednej chwili całą grupę przebiega błogie uczucie. Będą plotki, będzie wyśmiewanie. Ta i owa, ten i ów rzucają zeszyty z rolami i pędzą do owej garderoby. Znają na pamięć historię „kochanka hrabiny“, lecz to tak błogo słuchać, jak wyśmiewają nieobecnego. Rzec można, iż dla aktorów jest to warunkiem istnienia. Woda dla ryby, plotka dla aktora. A więc...

„Chodacki jest przystojny... o tym wiecie — dobre to i poczciwe z kościami, ale w łepety nie bardzo. Choć tam ma jakieś wykształcenie i wziął na raty Szekspira i, gdy dopadnie, czyta różne Maeterlincki, z tym wszystkim jednak nie można powiedzieć, żeby to był człowiek serio. A dlaczego? Oto ma na pewnym punkcie kręćka. — Na jakim? —. Oto — na kobiecym. Zdaje mu się, iż to będzie najwyższym szykiem, jeśli powiedzą o nim, że „żadna mu się nie oprze“. — A tu — pech! — wszystkie na „stanowiskach“ uważają go jedynie za kolegę, za dobrego chłopaka, nic więcej. Na statystki i chórzystki uważać mu nie wypada — bo z tego już „wyszedł“. — A aż go świdruje, żeby się pochwalić jakąś konkietą. Właśnie ten sezon zimowy nadzwyczaj urodzajny na miłosne skandale. — Tenor wyśpiewał sobie córkę profesora uniwersy-

tetu i uwiózł ją blitzem, jeden z operetki jest kochany do szaleństwa przez hrabinę, która jest jeszcze „wcale — wcale“ — i co dzień na cześć owego operetkarza zmienia kolory bluzek i siaduje w trzecim numerze parterowej łoży. Za kulisami wszędzie widać pary — nawet dyrektor zmienił już po raz trzeci metresę en titre. — Tylko biedny Chodacki pomimo drwin i sarkazmów kolegów niczym poszczycić się nie może. A więc spaceruje ciągle po ulicy Karola Ludwika i nawet zgodziłby się na jakąś elegancką i piękną Żydówkę — lecz i te nie zwracają uwagi ani na jego urodę, ani na jego nowy, lśniący, piękny cylinder.

Spróbował więc innych efektów. Kupił sobie bardzo szykowne pończochy, ubranie cyklisty, a przekonawszy się, że jest mu w nim do twarzy — nabył rower i zaczął jeździć. Spadł sromotnie parę razy, matka się przeleżała, siostra wyśmiała, a żadna z kobiet nie padła ofiarą piękności jego pończoch i sznurowanych żółtych trzewików.

Tymczasem — owe wysiłki nadnaturalne nie uszły uwagi kolegów, codziennie witano go owym „szczęśliwcze!...“, znaczącymi mruganiami i wymownymi uściskami dłoni. Za plecami jednak Chodacki czuł całe sprzysiężenie drwin i plotek. Wszyscy znali jego pech — wszyscy drwili z niego nielitościwie.

Heroicznie i stanowczo zamierzył przeciąć tę sytuację, która stawała się nie do zniesienia. Chwycił się bardzo silnych środków. Dwukrotnie przysłał sobie wiązanek róż do garderoby, a całe antrakty wystawał przy dziurce od kurtyny, niby patrząc na kogoś w sali.

Po próbie uciekał, jakby śpiesząc się na jakieś rendezvous, choć go ciągnęło silnie, aby udać się z kolegami do

knajpki. Na lewej ręce zakuć sobie kazał łańcuszek złoty, a na spojeniu wyryć nakazał:

„POUR UETERNITE“

To wszystko zaczęło działać i zrobiło swoje. Ten i ów, widząc w garderobie róże, bransoletkę, opowiedział to za kulisami — kobiety wyciągnęły wnioski i oto — Chodacki zaczął być podejrzewany na serio, iż ma jakiś „romans“. Szczęście przejęło go na wskroś — zdawało mu się, że urósł na pół łokcia. Sforsował efekta — wrażenie się potęgowało.

Tylko jeden z kolegów, Słoneczyński, sceptyk z zawodu, a z pochodzenia

syn zegarmistrza z Łyczakowa — zapatrywał się na tę sprawę z pewną nieufnością.

— To błaga — mówił, kręcąc długą i spiczastą głową. To słowo doszło do uszów Chodackiego.

Krew w nim zawrzała. Słonczyński miał dziwną siłę przdkonywającą i jego sceptycyzm był zaraźliwy. Chodacki postanowił pochwycić hydrę zwątpienia za gardło. Pewnego dnia udał się do Słonczyńskiego, który, wydziedziczony i wyklęty przez swego ojca, zegarmistrza — za oddanie się zawodowi teatralnemu — zamieszkiwał gmach teatralny, posiadający szesnaście bram i ani jednego trzeźwego stróża.

— Słuchaj, Słonica — wyrzekł Chodaoki, biorąc Słonczyńskiego na bok — nie wymawiam ci nic, ale od dwóch lat grywasz ciągle w moich perukach i używasz do rozcharakteryzowania się moje kakaowe masło. Słonczyński spojrział spod oka na Chodackiego i od razu przeciął ów wstęp mało szlachetny.

— O co ci chodzi? Mam cię zastąpić w jakim gościu — czy szlachcicu pierwszym?

— Nie... chciałem cię prosić zupełnie o co innego. Ale to sprawa, wymagająca wielkiej dyskrecji. Czy mogę na ciebie liczyć?

— Phi! to zależy!... Jeśli chcesz na mnie liczyć, jak na Zawiszę, to ci nie radzę — bo odkąd Zawisza zawiódł Tetmajera w nadziejach, że go wystawią na lwowskiej tscenie — to już na nic liczyć nie można. Chodacki się zachnął.

— Proszę cię, daj spokój... Tu chodzi o honor kobiety, więc...

— A!...

— Właśnie. I chciałem cię prosić, ażebyś nam, to jest mnie i jej — pozwolił zejść się na chwilę w swoim pomieszkaniu...

— O !...

— Proszę cię — tylko nie myśl nic złego. Musimy ze sobą pomówić, porozumieć się... zrozum — ona jest kobietą z wysokiego towarzystwa.

— High life?

— Właśnie. Poznaliśmy się na balu prasy. To trwa już pół roku. Ale to przelotne spotkanie — a więc...

— Rozumiem.

— Nie rozumiesz nic. To, o czym mamy pomówić, to rzecz serio, to święte. Kto wie, jak się rzeczy pokierują! Ta kobieta jest to coś fenomenalnego. Pomimo rodu, z jakiego pochodzi, fortuny, prosta — szczerza — miła.

— Jak to? rodu?...

— Och! i tytułu!...

— Tytułu?

— Tak... to hrabina!

To słowo padło uroczyście w ciszę garderoby teatralnej, w której obaj młodzi ludzie się znajdowali. Słonczyński wydał usta — cień nieufności mignął w jego oczach,

lecz natychmiast się powściągnął i wyrzekł prawie uprzejmie:

— Tylko widzisz — u mnie bardzo prymitywnie.

— E! mniejsza! zabawimy krótko. Kilka słów zamienimy za ledwie. U siebie przyjąć jej nie mogę, matka, siostra... Twoje drzwi wprost na ciemny kurytarz — szesnaście bram...

— Dobrze, dobrze!

— A więc daj mi jutro klucz o piątej.

— Bene.

I rozeszli się.

Nazajutrz Chodacki klucz odebrał, nawet z dużym pośpiechem i jakby z zadowoleniem. Słonczyński jednak zachowywał stale wyraz ironii i patrzył na Chodaekiego przymrużonymi oczami, w których malowała się niewiara. Pół towarzystwa naturalnie było już uprzedzone o tym, co się działo — i romans Chodackiego z jakąś „hrabiną“ — był przedmiotem ogólnych gawęd i dociekań.

Pewne rozgorączkowanie i nerwowe podniecenie dawało się widzieć w grupach. Chodacki urósł do pewnego znaczenia. To figlarz! mówiły kobiety. Ta i owa zwróciła na niego baczniejszą uwagę. Bliskie rendez-vous podniecało umysły. Ta wielka złośliwa dzieciarnia żyje wspólnym życiem. Każdy czuł się tu niejako zaangażowany. Operetkarz, dowiedziawszy się o tej sprawie, wściekły wpadł na próbę, czując, iż gwiazda jego „hrabiny“ w różnobarwnych bluzkach blednie. Chwilę — zmierzyli się z Chodackim wzrokiem. Wreszcie — operetkarz pokonany

ustąpił wobec aureoli, wschodzącej dokoła pięknej głowy rozpromienionego Chodackiego.

Gdy artyści rozchodzili się z prób — wymownym uściskiem dłoni życzyli szczęścia i dyskretnie wieszowali Chodackiemu, który te oznaki przyjmował z lubym zakłopotaniem i delikatnym uśmiechem.

Chichot — uśmiechy — szyderstwa wypełniały kulisy. Wchodzący na próbę Chodacki został przyjęty wybuchami śmiechu tłumionymi, a mimo to dosyć wyraźnymi. Zmieszany, z wypiekami na twarzy, recytował swą rolę. Jeden rzut oka na Słonczyńskiego dał mu poznać, że wszyscy przejrzelili całą prawdę.

Bo oto — co odkrył jeden sceptyk, który w towarzystwie dwóch kolegów niby przypadkowo przeszedł przez kurytarz pode drzwiami swego mieszkania w chwili, gdy odbywało się tam owe rendez-vous Chodackiego z hrabiną.

Przed drzwiami pomieszkania stała... para butów, dużych, obłoconych butów, jakie chłopskie dziewczęta, przybyłe do miasta na służbę, noszą w dnie słotne na ulicy — i buty te, zwyczajem wiejskim, gdy są zabłocone, zezuwają przede drzwiami, aby pomieszkania nie zabłocić.

Ta para butów pokrzywionych, na wysokich obcasach, rozbijała w puch legendę o „hrabinie“, którą z takim mozołem osnuł dokoła siebie przystojny Chodacki.

I oto dlaczego Chodackiego — nazywają do tej chwili za kulisami — kochankiem hrabiny.

KOTECZEK

- Co chcesz do herbatki, koteczku?
- Cokolwiek!...
- Ależ przecież !...
- Coś taniego!
- Może szynki? ...

— Hm! ... zaraz trzeba brać pół funta.

— Po co? Dla mnie nie trzeba, ja mam jeszcze pieczeń z obiadu!

— Tak? ... ale zawsze to już duży wydatek, nie! — nie potrzeba. Zjem bułeczkę z masłem, mnie to wystarczy zupełnie. Zresztą, oszczędzać musimy, daleko jeszcze do końca miesiąca ...

Młoda kobieta spojrzała z uwielbieniem na męża.

Jej koteczek byłby w stanie zagłodzić się z oszczędności, gdyby ona na to pozwoliła. Prawda, że pensyjka bardzo szczupła, gratyfikacji nie ma podobno żadnych, a procent z jej posagu zaledwie piąty.

Przynajmniej tak koteczek powiada.

A co kotuchno powie — to święte. Żona ślepo ufać powinna mężowi. Tak ją od dziecka uczono.

Tymczasem koteczek przeczytał Kuriera i ziewając powstał z krzesła.

Był to wielki, rosły mężczyzna, szeroki w plecach, szeroki w karku, szeroki w czole. Zdrowie, siła były aż odurzającym zapachem z tych wspaniale rozwiniętych członków dobrze odżywianego człowieka, twarz mieniła się niemal różową cerą. Jasne, delikatne włosy uczesane dość starannie, zakrywały mu wielką łysinę, usta foremnie wykrojone miały w sobie zmysłową wilgoć jakby od świeżych jeszcze pocałunków lub połykanych ostryg, oczy senne, o namiętym przywarciu powiek, patrzyły spod jasnych rzęs na wpół łagodnie, na wpół złośliwie.

Ręka biała, zgrabna, o długich, kształtnych palcach, gładziła starannie uczesaną brodę, od której z daleka rozchodziła się woń ateńskiej wody. Ubranie letnie, jasne, zdrowa cera, wreszcie cała postać wyprostowana, nie zgarbiona, nie skurczona bynajmniej, nie miały cech charakteryzujących zwykłego biuralistę, spleśniałego w cuchnącej atmosferze wilgotnego biura.

Koteczek był wprawdzie urzędnikiem, ale jednym z tych pomocników buchaltera, którzy po biurach kolejowych śpią na ceratowych kanapkach lub zadają tłuste szarady do rozwiązania swym kolegom, za co pobierają pensję, a nawet i gratyfikację.

Dziś — koteczek wrócił wcześniej trochę z biura, zjadł skromny obiadek, który sam zadysponował, ze smakiem, przespał się dwie godzinki wśród kościelnej ciszy na swej ulubionej sofie, a teraz, ubrawszy się, czytał Kuriera i czekał na herbatkę, którą mu żoncia poda.

Później pójdzie przejść się trochę.

Ona zostanie w domu — jutro pranie, bieliznę policzyć trzeba — wreszcie koteczek zwykle sam wychodzi.

Żoncia zostaje, już się do tego przyzwyczaiła. Teraz do herbaty przygotowuje chodząc jak cień w swych biednych, przydeptanych pantofelkach, taka chuda, mizerna, znędzniała przed czasem. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a trudno byłoby oznaczyć jej wiek patrząc na zapadłe piersi, na żółte plamy dokoła oczu, na nos wąski, wydłużony, na całą postać schyloną tym bolesnym pochyleniem, właściwym chronicznie cierpiącym kobietom, które zasypiają obłożone mokrymi płatami, a melisę pochłaniają garncami prawie.

I teraz, gdy zdejmuje z półek kredensowych filiżanki i wyciera je czyściuchną serwetką, krzywi się boleśnie, tłumiąc jęk, który jej się na usta wydobywa.

Lekarz mówił, że cierpienie jej pochodzi głównie z braku sił i zalecił buliony, stare wino, surowe mięso... ba! nawet wyjazd do Krynicy ... Ale lekarzowi łatwo mówić. Skądże ona wziąć by mogła na takie zbytkowne rzeczy, ona, której koteczek z najwyższą trudnością zaledwie jest w stanie tę skromną kwotę co pierwszego na utrzymanie domu wręczyć? ...

A potem, gdy zabraknie... a! niech Bóg zachowa! koteczek nie doda ani grosza, choćby głodem zamrzeć przyszło. Pójdzie na spacer bez obiadu, bez herbaty, a nie doda nic, nawet z przyszłego miesiąca nie zaawansuje paru rubli...

Zapewne nie może.

Ona mu tego za złe nie ma. O! gdzieżby znowu. Gdyby miał, to by dał... Koteczek ma przecież anielskie serce __ niedawno kupił jej skórzaną broszeczkę za dwa złote; kiedyś znowu pozwolił jej... natrzeć włosy wodą ateńską.

O! gdyby on miał, dodałby jej nieraz do miesięcznej pensji... raz nawet dał jej na to — słowo honoru, choć ona bynajmniej nie żądała takiego dowodu, ona wierzy mu we wszystkim.

Tylko — jakże to można pozwolić, aby koteczek jadł do herbaty samą bułeczkę?!

Trzeba posłać po szynkę koniecznie, choćby się miał rozgniewać, zresztą ona wie, że koteczek pokrzepić się musi, wszak większe pół dnia w biurze pracuje!

A, wiadomo, biuro strasznie zdrowie niszczy. Podobno nawet suchoty sprowadza.

Nie! ... Bóg by nie był tak nielitościwy i nie zabrałby jej koteczka — nie nawiedziłby go tak strasznym cierpieniem. Tak! tak! trzeba, żeby się mężuś lepiej odżywił, trzeba po szynkę posłać koniecznie.

Biegnie do komody, odsuwa szufladę, wyjmuje ostatniego rubla i chwilkę stoi zafrasowana. Cóż będzie z jutrzejszym obiadem?

E! — poradzi sobie, już wie W jaki sposób. I uśmiechnięta, podskakując trochę, wychodzi do kuchni. Tymczasem stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i skrzypiąc butami przeszedł przez pokój. Dobył z kieszonki od kamizelki kluczyk, otworzył małą szafkę i pomiędzy porządnie poukładanego ubrania wydostał niewielki pugilares. W pugilaresiku tym szeleściły banknoty. Otworzył go i spiesznie przerachował. Było tam około pięćdziesięciu rubli. Pugilares schował do kieszeni, wyjął cieniuchną chusteczkę, z baletniczkami po rogach zamiast monogramu, zmienił szpilkę u krawata, po czym zamknąwszy szafkę Dodszedł do toaletki.

Systematycznie zaczął czesać rzadkie włosy, przyciskając je lekko do różowej skóry, po czym wyjąwszy z szuflady puszkę z pudrem pudrował się lekko, starannie ścierając welutynę z brwi, rzęs i wąsów. Puder osiadł na lekkim meshku pokrywając policzki koteczka, tworząc w ten sposób na twarzy mężczyzny jakby krepową zasłonę. Po czym lekkim a wprawnym ruchem koteczek przyczernił sobie brwi i rzęsy za pomocą ołówka i odsunąwszy się od lustra, począł rozmaite podbójcze miny próbować. Od kilku chwil otworzyły się cicho drzwi od kuchni i do pokoju wsunęła się żońcia.

W ręce trzymała szynkę zawiniętą w papier i w niemym uwielbieniu spojrzawszy na męża, stanęła przyciskając szynkę do piersi.

Wydawał się jej w tej chwili tak piękny, tak elegancki, tyle od niej wyższy dystynkcją i rozumem, i pięknnością — że wciąż stała zapatrzona w swoje bóstwo fryzujące sobie teraz wąsy maluchnym, rozgrzanym żelazkiem.

On, spojrzawszy przypadkowo na nią, dojrzał to uwielbienie malujące się w jej spłowiałych oczach.

— Hm, patrz! jakiego masz męża — wyrzekł z zadowoleniem. Ona nie odpowiedziała nic.

Uśmiechała się tylko, prostując się także, jakby z dumy... urosnąć chciała.
— Możesz mnie pocałować — dodał z pobłażliwością — ale tu w szyję...
o! ...

Wyciągnął swą tłustą szyję dobrze zbudowanego blondyna i przymknął
oczy z dobrotliwym uśmiechem.

Ona zbliżyła się szybko, zmieszana, niezgrabna, nie przyzwyczajona do
częstych tego rodzaju pieszczot. Gdy znalazła się tuż przy nim, tak
nędzna, mała, chuda, zmieszała się jeszcze więcej.

W lustrze widziała odbicie postaci swej i stojącego wciąż z zamrużonymi
oczyma męża.

Zawstydziła się, samej siebie, swego wyniszczenia, swego skromnego
szlafroka i stała niezdecydowana, cisnąc wciąż papier z szynką do
zapadłej piersi.

Lecz on zniecierpliwił się wreszcie.

— No, korzystaj, kiedy pozwalani...

Podniosła się więc na palce i cała spłoniona pocałowała go w kłapę od
jasnego żakietu, a silna woń white-rose, wydzielająca się z ubrania męża,
odurzała ją do reszty.

Jak pijana zwróciła się do stołu, na którym zaczęła ustawiać talerzyk i
rozkładać na nim szynkę.

Ręce jej drżały, widelca utrzymać nie mogła. Była w tej chwili bardzo
szczęśliwa.

Łzy jej oczy osłaniały mgłą wilgotną, serce biło w piersi bardzo żywo.

Tymczasem koteczek nałożył w eleganckie etui całą masę papierosów i z
małej doniczki niezapominajek, stojącej przed obrazem Matki Boskiej,
uszcznął gałązkę.

Gałązkę tę zatknął sobie w butonierkę i zasiadł do herbaty.

Żona podała mu filiżankę i nasmarowaną bułeczkę. Po czym, jeszcze cała
zmieszana, z uśmiechem na pobladłych wargach, podsunęła mu talerzyk z
szynką.

On — ze zdziwieniem poruszył umalowanymi brwiami.

— Szynka? — zapytał.

— Tak, kotku — proszę cię, jedz! — odpowiedziała nieśmiało.

— Zbytki! zbytki!... — dodał biorąc na talerz największy różowy płatek

— ale pamiętaj! gdy zabraknie — nie dodam ani grosza! ani grosza!

Lecz ona zaprotestowała.

— Nie bój się, wystarczy! ... jedz tylko! proszę cię!

Krzętała się koło niego podsuwając mu cukier, masło, śmietankę.

On — nawet nie zważał na tę usłużność, snadź przyzwyczajony do tej troskliwości i niewolniczej czci, jaką go zwykle otaczała.

Jadł powoli — nie spiesząc się, odsuwając z daleka talerz — z gracją i manierami aktorki, o której gazety piszą ciągle, że jest „dystygowana”.

Wreszcie zapytał nie podnosząc głowy:

— A ty?

— O! Ja mam co innego — odpowiedziała kobieta. Nastąpiła znów chwila milczenia.

Jakże chętnie pragnęła żońcia zacząć jaką dłuższą z swym koteczkiem rozmowę.

Lecz o czym? — o czym ona mówić mogła, pogrążona cała w drobnych kłopotach swego nędznego gospodarstwa, pomiędzy imbrykiem melisy a wiązka, rzodkiewki? Instynktem zgadywała, że podobne przedmioty nie są odpowiednie dla jej eleganckiego koteczka, który w tej chwili tak delikatnie, tak ślicznie mieszał łyżeczką herbatę.

I w głowie tej kobiety powstała myśl bardzo zuchwała.

Gdyby tak koteczek zechciał dziś cały wieczór poświęcić dla niej, dla niej wyłącznie pozostać w domu!

Gorąco jej biło do głowy na samą tę myśl... jakże to byłby miły dla niej wieczór! Jakże jej szczęście byłoby zupełne!... Ma wprawdzie liczyć brudną bieliznę — ale może to odłożyć do jutra...

Siedzi więc pochylona nad swoją filiżanką i w biednej głowie szuka zawzięcie sposobu, aby stać się miłą, rozmowną.

Wzrok jej pada na leżący na ziemi Kurierek.

— Co tam w Kurierku? — zapytuje niepewnym głosem.

— Przeczytasz sama — odpowiada mąż. I znów nastaje milczenie.

Kobieta prawie rozpaczliwie wodzi wzrokiem dokoła.

Tak mają mało spójni moralnej, że wszystkie jej wysiłki pozostają bez skutku. Wreszcie on wstaje, ociera starannie wąsy i raz jeszcze podchodzi do lustra.

Ona wie dobrze, co to znaczy.

Za chwilę koteczek wyjdzie, a ona zostanie sama! Na cały wieczór, na długi, smutny wieczór.

Zapewne — jest do tego przyzwyczajona, ale dziś szczególnie jej smutno. Wszak to dziś rocznica ich ślubu...

On o tym zapomniał zupełnie...

Lecz ona nie zapomniała i chce mu to powiedzieć, wszak dzień taki to prawie uroczyste święto...

Lecz on wziął już kapelusz i elegancką laseczkę, teraz naciąga rękawiczki, pogwizdując lekko. Żona zbliża się ku niemu, przełykając z trudnością ślinę.

— Wychodzisz? — Pyta patrząc mu błagalnie w oczy, jak pies świeżo obity.

— Naturalnie!...

Ona przestępuje z nogi na nogę, ręce jej machinalnie wyciągają bryty szlafroka.

— Zostań w domu. — prosi cichutko. On odwraca ze zdziwieniem głowę.

— Po co?

Tym jednym pytaniem przybija ją do miejsca. Tak! prawda! — po co?

Taki strojny, mądry, piękny mężczyzna ma siedzieć w tych trzech klatkach, których okna wychodzą na odludną ulicę... Ona — ach! ona to co innego! Pragnie go jednak zatrzymać choćby chwilę jeszcze.

— A — co chcesz jutro na obiad? — pyta śpiesznie, wciskając głowę między ramiona.

— A! ... co chcesz, byle tanie — odpowiada koteczek, otwierając drzwi do przedpokoju — najlepiej barszczyk, bo może późno wrócę...

Ona już nic nie odpowiada, tylko stoi na środku pokoju, smutna, zgnębiona — ujawniając w ostatnich blaskach zachodzącego słońca swą nędzę opuszczonej i oszukiwanej kobiety.

Nagle — porywa się i biegnie do okna.

On — będzie przechodził przez dziedziniec, zobaczy go jeszcze, może się uśmiechnie do niej, głowę odwróci...

— Nie!

Przeszedł przez dziedziniec pewnym i śmiałym krokiem, wywijając laseczką i pogwizdując lekko.

Dwie dziewczyny stojące koło pompy obejrzały się za nim ze znaczącym uśmiechem. Zniknął w ciemnej bramie, nie myśląc wcale o tym, że na drugim piętrze spoza białych pocerowanych firanek

śledzą go oczy pełne łez i miłości, biedne oczy schorowanej kobiety, a zżółkłe i spieczone usta szepczą z dumą i niewysłowionym uczuciem: — Koteczek! Koteczek!

Siedziała tak w oknie z pół godziny. Była to jedyna chwila dnia, w której oddawała się próżnowaniu.

Wciągała zgniłe powietrze podwórka pełnymi piersiami i wpatrywała się w szmat nieba, który zarysował się ostro pomiędzy szczytami dachów.

* * *

W trakcie tego robiła myślą rachunek wydatków dnia całego i układała budżet na dzień następny.

A wszystkie jej myśli kręciły się tylko około jednego punktu.

Punktem tym był naturalnie ... koteczek.

Od pierwszej chwili poznania rosły ten blondyn zaimponował jej i oczarował jej dziewiczą istotę.

Gdy się oświadczył o nią, a właściwie o jej skromny posążek, nie mogła szczęściu swemu dać wiary.

Gdy odchodziła od ołtarza, już patrzyła na niego tym pokornym, błagającym wzrokiem, jak pies, którego po raz pierwszy na łańcuchu prowadzą.

Oddała mu się z pokorą i wdzięcznością, kryjąc rumieniec w dłoniach i szepcząc: „Kto się w opiekę”.

On — wspaniałe, jak dobry książę z bajki, przyjął klejnot jej dziewictwa i piec tysięcy rubli, które jako sierota złożone miała w kasie oszczędności.

Od tej chwili Józia o pieniądzach tych nie wiedziała nic.

Należały do niego, rozporządzał nimi według upodobania.

Ona welon oblubienicy zamieniła na fartuch ceratowy i rozpoczęła swą domową krzątanie. Powoli on oddalał się coraz więcej z domu — wracał późno w noc, często podpity, włócząc na drugi dzień po kątach mieszkania ten „Katzenjammer”, w zamiejskich knajpach nabyty. Ona kochała go ciągle tym psim przywiązaniem kobiety, dla której pierwszy

mężczyzna chwytający ją w objęcia jest zarazem jedynym przedmiotem uwielbienia.

Koteczek nie miał błędów, koteczek był najlepszym, najmilszym, najpiękniejszym... Dzień, w którym koteczek kładł nowy garnitur, był dniem prawdziwego święta.

Wzruszona, zarumieniona, drżąca okrążała go w kółko, patrząc na niego z podziwem. Jakże piękny i jak zgrabny był jej koteczek! .. Ona sama, mój Boże!... ona nie potrzebowała się stroić. Ot, byle co na siebie włożyć. Zresztą, nigdzie przecież nie wychodziła z koteczkiem nigdy — gdzież znowu!... Zawsze jej coś do stroju brakowało. To kapelusza, to bucika, to znów rękawiczki. I tak dzień za dniem schodził. Zresztą, nie miała czasu ani zdrowia. Ciągle stękała chorując już od lat czterech, zaraz po urodzeniu nieżywej dziewczynki. Doktor mówił, że to anemia, ale ona nawet w części nie powiedziała doktorowi, co i gdzie ją boli. Po co? — Lekarstwa drogie, a ledwo koniec z końcem ściągnąć można...

Wprawdzie koteczek jest niewybredny, je, co mu podadzą — nawet ją samą do oszczędności zachęca.

Ona nieraz dziwi się, jak mało jada w domu ten rosły, wielki mężczyzna i frasuje się, że widocznie jadło mu nie smakuje.

Mój Boże! robi co można przecież. Ona i sługa jadają „plecówkę”, dla koteczka bierze się na rosół pierwsza krzyżowa, masło także kupuje dla niego osobno...

Mimo to on je tak mało!

Byleby nie zachorował z tego braku apetytu... jutro trzeba upiec parę kurcząt i zrobić trochę sałaty...

Ostatni rubel wprawdzie wyszedł, ale Józia ma jeszcze dwa pierścioneczki z pozostałych po rodzicach drobiazgów.

Zastawi je u znajomej fanciarki i dociągnie w ten sposób do końca miesiąca.

Mój Boże!... ile tam już rzeczy Józii spoczywa u tej fanciarki! I srebrne łyżeczki, i bransoletki po matce, i medalion z perełką, ba! nawet medal od chrztu i srebrna maluchna portmonetka, złoty zegarek! Łańcuszek!

Wszystko wyniosła tak wieczorami, gdy mąż wyszedł z domu „przejść się trochę” — jak mówił, a wracał późno w noc, gwizdząc i śpiewając jakieś nieznane Józii piosenki.

Z początku przykro jej było rozstawać się z tymi drobiazgami, później oswoiła się z tą myślą.

Wszak to dla... koteczka.

Kochała go bardzo, bardzo, miłością schorowanej i zamkniętej w domu kobiety. Gdy słyszała jego kroki na schodach, serce jej biło bardzo silnie — w nocy nie kładła się nigdy, dopóki nie wrócił. Rozbierała się wprawdzie, ale bosa i w koszuli siedziała na oknie, patrząc w ciemną jamę bramy, czy nie dojrzy wysuwającej się z ciemności eleganckiej postaci męża. Gdy nie powracał długo, z najwyższym niepokojem śledziła godziny i przyciskając ręce do piersi, szeptała:

— Boże mój! niech on już wróci!...

Zdawać by się mogło, że to namiętna kochanka oczekuje swego wybranego na pierwszą schadzkę miłosną — jednak!... jakże dalekie od namiętności było uczucie kładące w spieczone od gorączki wargi tej kobiety modlitwę szczerą, prawie dziecięcą.

— Niech... koteczek wróci!...

A potem ten powrót koteczka nie dawał jej żadnej pieśczości miłosnej, żadnej chwili tej rozpaczliwej rozkoszy, która jęk prawie z piersi kobiety wydiera.

Koteczek wchodził wolno, systematycznie, nakręcał zegarek, zapalał papierosa, zmieniał obuwie, wystawiając je za drzwi pokoiku, wyciągał z krawata elegancką szpilkę i chował ją w etui.

Wszystko to robił z właściwą sobie gracją, nie spojrzawszy nawet na żonę, która spoza przymkniętych powiek śledziła jego czynności, cała w ciągłym wyczekiwaniu jakiegoś dobrego słowa, przyjaznego spojrzenia, ze strony męża. Nic — nic!

Koteczek zasypiał, uśmiechając się do wrażeń w ciągu wieczora otrzymanych, do jakichś wspomnień... na myśl których przeciągał się rozkosznie.

Ona śledziła go ciągle, śledziła uważnie.

Słabe światelko lampki płonącej przed Matką Boską oświecało w zupełności różową twarz mężczyzny, lubieżny wyraz ust, tęgą szyję wychylającą się spod ukraińskich, haftów nocnej koszuli.

Instynkt samicy ostrzegał ją, że nie o niej, nie o jej uległości i zżółkłej twarzy myśli w tej chwili ten człowiek.

Lecz tak wierzyła mu, tak bardzo ufała w jego „małżeńską uczciwość”, że myśl zdrady nie powstała nigdy w jej głowie.

Myśli pewnie o gratyfikacji, a może... może o niej!

Wszak wczoraj jeszcze, wychodząc, powiedział:

— Dla kogóż się zapracowuję, jeśli nie dla ciebie? — Biedny! Drogi koteczek!...

Ach! Ona by życie swoje dla niego oddała!

I leżała tak cicho, nie śmiejąc się poruszyć, drętwiejąc w jednej pozycji, aby nie zbudzić koteczka, który w tej chwili uśmiechał się, jak tylko nasyceni mężczyźni uśmiechać się umieją.

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca.

Lecz pani Lena była dnia tego w złym humorze. . .

Na próżno siedzący obok niej mężczyzna uśmiechał się" i usiłował umieścić dogodnie jej kapelusz, cały z pąsowego tiulu, istne pieścidełko wydmuchane z purpurowego obłóczka. Na próżno, zdjawszy jej rękawiczki, zwijał je starannie i wsuwał pomiędzy poduszki powozu, na próżno chwalił jej nowy dolman, na który wyszło z pięćset łokci koronki; ona siedziała ciągle chmurna, z brwiami ściągniętymi, z twarzą gniewnie wykrzywioną.

— Dlaczego tak późno przyjechałeś? — zapytała wreszcie, zwracając się twarzą do swego towarzysza.

— Nie mogłem! Wierz mi! — tłumaczył się mężczyzna.

— Dlaczego?

— Bo!... Bo!... mieliśmy gości!... — odparł udając nonszalancję i oglądając sobie paznokcie.

Znać było, że blaguje, lecz ona nie poznała się na tym.

— Kto był? — nalegała już trochę udobruchana — kobiety?

— O, zaledwie kilka! kuzynka Esterghazy z córką — wiesz... ta hrabina!

Ona potwierdziła śpiesznie.

— Tak! Tak! mówiłeś już mi o niej, a z mężczyzn? — Zwykli goście czwartkowi.

— Więc to jour fixe?

— Tak!... five o'clock tea.

Rzucił wyraz angielski, posłyszany kiedyś ze sceny w teatrze, który zapamiętał i używał w razie potrzeby, co nigdy nie chybiało efektu. I teraz dosięgnął celu.

Kobieta siedząca obok niego zdawała się na chwilę przybita pobłyszanym słowem.

Lecz prędko odzyskała równowagę.

— Nie wiem, czy to wygodne — wyrzekła — wolę już urządzać receptions matinales...

Spojrzała na niego triumfująco. On wzruszył ramionami.

— Zapewne, lecz już cały dzień jest zderanzowany. Pochylił się teraz nad podbitą już Kobieta.

— No, cóż?... darujesz mi to opóźnienie? — szeptał miękkim głosem — wierz mi, tylko obowiązki światowe mogły powstrzymać twego koteczka; wierzysz mi? no ... Leno! ...

I objął ją ostrożnie, cofając się w tył, gdyż karetka skręcała w ciaśniejszą ulicę, a na chodnikach kręciło się sporo przechodniów.

Lena potrząsnęła wspaniałomyślnie głową. Dobrze! — przebacza mu, ale pod warunkiem, że to będzie raz ostatni... zapewne nie

wie, że i ona ma obowiązki światowe, które trzymają ją poniekąd na uwięzi; jeśli on ma żonę prowadzącą dom otwarty, ona nawzajem • ma męża, który od niej pewnych ustępstw światowych wymaga, a przecież ...

On przyznaje jej rację, cały rozplómienny tak bliską obecnością tej kobiety, której pełny gors i błyszczące oczy działają na niego jak rozpalający trunek — ostrożnie, delikatnie szuka jej ręki w całych falach koronek i rękę tę znalazłszy całuje długo, wysysając paluszki o krogulczo zagiętych paznokciach.

Ona poddaje się tej pieśczości, jak kobieta przyzwyczajona do podobnego rodzaju objawów powstrzymywanej namiętności — drugą ręką zasłania sobie twarz, gdy karetka nadto się zbliży do chodników.

Czyni to z wprawą wielką, w ogóle czuje się zupełnie swobodnie w tej ciasnej atmosferze powozu, w której cudzołóżne szepty, śmiechy,

pocałunki zdają się drzemać wśród zagięć zniszczonego sukna okrywającego poduszki.

— Gdzie dziś pojedziemy? — pyta koteczek.

— Gdzie chcesz... — odpowiada Lena — byle nie do Marcelina ...

— Masz rację, kuchnia tam wcale nieszczególna.

— O, tak! Bordeaux niepodobne do picia...

I znów zaczyna grać ze sobą komedię tych dwoje ludzi, którzy się poznali pod cieniem drzew Saskiego Ogrodu i nic prawie nie wiedzieli o sobie, ani o swej pozycji socjalnej.

Ona — miała w sobie popsutą krew trzydziestoletniej kobiety, iiaecznie niezadowolonej ze swego otoczenia, obnoszącej w czarnych oczach i pełnych kształtach — chęć nieprawych rozkoszy i zakazanych wycieczek. Pozowała jednak przed nim na „dame” — wykwintną i wytworną — pragnęła mu imponować koronkami, wziętymi na kredyt i francuszczyzną, zapożyczoną z „Rozmówek” pani Bocquel

On — dokładał wszelkich usiłowań, aby ujść w oczach tej wykwintnej damy za człowieka bogatego, prowadzącego dom na wielką skalę.

Olśniewał ją szpilkami u krawatów, opoponasem, jasnymi garniturami i znajomością gabinetów restauracyjnych, po których włóczyli się często, siedząc do późnej nocy i rozstając się pełni niesmaku i chęci ponownego zejścia się, aby nawzajem udawać przed sobą wytworne maniery i... namiętne porywy.

Kareta wjechała teraz w ulicę Mokotowską i powoli skręcała na lewo. Wozy z beczkami zastąpiły jej drogę, woźnica wstrzymał konie Da chwilę.

Koteczek wychylił głowę.

— Cóż tam? Dlaczego stajesz?

Nagle cofnął się w głąb powozu.

Towarzyszka mimo woli spojrzała w otwarte okienko.

Na chodniku, pomiędzy gromadką bosych dzieci czekających na opróżnienie ulicy, stała ciemno, ubogo ubrana kobieta w zniszczonym kapelusiku na pochylonej głowie.

W tej chwili kobieta ta z wyrażeni zdumienia na pożółkłej twarzy wpatrywała się w okienko karety, a z na wpół otwartych ust zdawał się ulatywać jakiś głos stłumiony.

Pani Lena odwróciła się i spytała szybko:

— Patrz! ... ta kobieta dziwnie tu spogląda, czy może znasz ją? Lecz mężczyzna nie ruszył się nawet, przytulony do kąta karety,

nikczemny, nędzny w tej trwodze, jaka zwykle ogarnia każdego z nich na widok zdradzonej kobiety.

— Siedź spokojnie! — wyrzekł — to szwaczka mojej żony! ... Karetą ruszyła wreszcie z miejsca, obryzgując błotem stojącą na chodniku kobietę.

Ona patrzyła jeszcze długą chwilę, zdumiona, przerażona — powtarzając cichutko:

— Koteczek? Koteczek?

* * *

Lampka przed Matką Boską dopalała się prawie, a nikt nie myślał o dolaniu oliwy.

Cicho było bardzo w sypialnym pokoiku. Obydwa łóżka małżeńskie były próżne, choć już druga wybiła na kuchennym zegarze.

Józia, boso i w koszuli, siedziała skulona na oknie, czekając na powrót męża.

Była bardzo wzburzona, niespokojna, smutna. Wszakże to wracając od fanciarki dostrzegła w karecie obok jakiejś ładnej kobiety mężczyznę — tak bardzo podobnego do koteczka!

Lecz cóż by jej koteczek robił w karecie o tej porze i to jeszcze z jakąś damą?... A może to dyrektorka biura spotkała go i wzięła na przechadzkę...

Szukała teraz w swojej biednej głowie rozmaitych kombinacji, potykając się co chwila o jakąś myśl zbyt trudną... Nie — stanowczo zrozumieć tego nie mogła.

By mąż ją zdradzał, — nie przeszło jej nawet przez głowę, jej koteczek, skądże znowu?

Zanadto czystą, niewinną była w swym zastoju moralnym; zdradzać? — tak!!! tak! to istnieje w książkach, na scenie — ale w życiu! ...

Gdy przyszła od fanciarki, policzyła bieliznę, pocerowała skarpet-'ki, zrobiła rachunek ze służącą, zadysponowała obiadem, a teraz, posławszy łóżka, usiadła w oknie, czekając męża.

Noc zapadła, noc ciemna, wietrzna, chłodna. Z zacienionego dziedzińca, po zaniknięciu bramy, wbił się w górę silny zaduch wylewanych przez dzień cały nieczystości.

Ona — otworzyła lufcik i przechyliła swą biedną, znękaną głowę. Smrodliwe powietrze owiało ją. Ona — nie czuła tego zaduchu, przyzwyczajona do tej atmosfery, którą wciągała w siebie nocami całymi. Przechyliła głowę i patrzyła wciąż w czarną przepaść podwórka. Czekała.

Lecz on nie wracał, rozkoszując się w tej chwili wonią rozkwitłego bzu w podmiejskim ogrodzie i ciepłymi wargami kochanki, z których zbierał krople wina i słodycz kompotowego syropu.

Siedzącej w lufniku kobiecie wiatr rozwiewał rzadkie włosy i ziębił plecy.

Ona — skurczyła się jeszcze bardziej, podsuwając pod siebie chude, żółtkłe nogi.

Jeść się jej chciało, obejrzała się na kredensową szafkę mającą w półcieniu. Była tam wprawdzie pieczeń pozostała z obiadu, ale koteczek dysponował barszczyk na jutrzejszy obiad, z pieczeni będą uszka... nie można więc poruszyć, nie można! ...

Józia zwinęła się teraz prawie w kłębek i głowę smutnie zwiesiła.

Jakoś jej tak smutno! Tak bardzo, bardzo smutno, jak nigdy nie było!

Dlaczego?

Wszak on wraca tak codziennie, wraca późno, a ona czeka nań i zimą, i latem, skurczona przy szybie, pełna niewytłumaczonej chęci ujrzenia go powracającego.

Zegary miejskie biją wpół do trzeciej.

Na twarzy Józki płyną dwie wielkie, gorące łzy, zamiast serca czuje że jej się otwiera rana... rana ta piecze, boli, pali jakby zarzewie... A wynędzniałe usta szepczą:

— Boże!... -Niech koteczek wrócił...

Jej koteczek.

KOCHAM CIĘ!

bez miłości tyś tak smutny, świecie!

Jest jedno słowo stanowiące samo przez się poemat mały, pieśń harmonijną, baśń wpółseną.

Jest jedno niewielkie słowo, krótkie jak westchnienie, nikłe jak rumieniec dziewczęcia, drżące jak liście topoli — a przecież sprawia cuda, zwątlonym dodaje męstwa, z szatanów robi aniołów, podnosi z upadku, oczyszcza z grzechu.

Słowo to zeszło z błękitu nieba w chwili, gdy płomienisty anioł wypędził z raju pierwszych naszych rodziców. Złotowłosa Ewa szeptała je ze łzami, tuląc się do ramienia Adama — szeptała na pociechę po straconym raju.

I wygnanie zdało im się mniej ciężkie, gdy po całodziennym znoju, usiadłszy przy sobie, mówili nawzajem „kocham cię”.

Wtedy zamykali oczy i ziemia wygnania stawała się częścią raju. W harmonii miłości znajdowali czarowne dźwięki, które w chwilach szczęścia słyszeli. W spuściźnie dzieciom swoim oddali to słowo; szło ono przez tysiące lat, pieszczone lub deptane brudną namiętnością — czczone jak świętość lub rwane na strzępki dłonią spekulacyjną...

A przecież przetrwało to urocze „kocham” tyle burz i smutków. Przeszło przez nędze i bóle, rozpustę i szaleństwo, włączone po orgiach lub pobożowiskach, konało na ustach pijanych lub umierających... Szalało w pianie szampana lub drżało w płomieniu gromnicy, bledniejącej przy łożu konającego. Spadało białą perłą z oczu wdowy lub śmiało się purpurą na ustach kurtyzany. Ach! gdzież ono nie było, to promienne zjawisko o białych szatach anioła... Wchodziło do izdebki żebraka i siadało na purpurach tronu. Tęskniło za kratą więzienną, a nawet spływało z krwią, barwiącą topór kata. Szło na rusztowania ze skazanymi lub wchodziło w podwoje sali balowej.

Stanowiło ono piękną stronę życia, jasną, promienną gwiazdę wśród trosk życiowych. Z tym słowem na ustach rzucał się starożytny kochanek w fale wody, aby zbudzić echo uśpione na ustach oczekującej go kochanki.

„Kocham cię” stwarza bohaterów, zagrzewa do wielkich czynów, zbawia czasem ludy całe. Tylko tak piękne i czyste „kocham”, jakie spłynęło z nieba, może nieść szczęście i światło na ziemię.

A przecież ten kwiat biały, splamiony i zbrukany, więdnie chwilami pod gorącym tchnieniem wad i przewrotności ludzkiej. Jasna ta mimoza nie znosi dotknięcia dłoni brutalnej. Znika z chwilą, gdy jakaś ciemna chmura zawisnie nad miejscem, w którym zakwitła. Nie lubi kwiat ten cienia — czasem znów ginie, zda się, bez przyczyny. Mija jak sen i odchodzi nagle wśród słonecznego ranka, Ludzie się dziwią lub smucą, ale raz wypędzone „kocham” już nigdy nie wróci. Poszło dręczyć damę w atłasach, uśmiechnąwszy się pierwaj na bladym licu szwaczki. W miarę przebywania między ludźmi stało się dziwnie kapryśne i zmienne to drobne, dźwięczne słowo.

* * *

Na falach koronek spoczęła jej głowa... Ciemne włosy spadają jedwabną kaskadą dokoła wybladłej twarzy.

Młoda i piękna jest, a przecież musi umierać.

Leży cicho i spokojnie jak małe dziecko. Jedną ręką naciska koło szyi, a w drugiej trzyma na wpół zwiędłą różę. Jest bogatą, bo wkoło niej przepych, woń i złoto. Aksamitem kryte meble wyciągają swe ramiona, ciężkie portiere maskują drzwi, przy łóżku inkrustowany stolik dźwiga przepyszną lampę alabastrową. Dokoła zbytek książęcy — a mimo to ona umiera! ...

Ciemne, szeroko otwarte oczy patrzą łzawo przed siebie. Czują, że niedługo zimna ziemia na nich zacięży. Biedne czarne oczy! ... Biedne to młode ciało, tak piękne, a mimo to już na wpół martwe. Gorączką spieczona usta szepcą jakieś niezrozumiałe słowa. Pierś faluje szybko, podnosząc cienkie osłony batystu. Jest samą, chorą i opuszczoną.

Dlaczego?

Wydano ją za mąż wbrew woli. Kazano przysięgać miłość, którą w sercu czuła dla kogo innego. Jeszcze w ślubnej sukni mówiła, że umrze. Śmiano się z tego. Dzieciństwo! — mówiono. — Któż po ślubie umiera! — Dziś przyszła do niej ostatnia chwila i stanęła u wezłowania bogatego łoża. Kobieta nie broni się wcale. Leży spokojnie i wywołuje w pamięci obraz tego, który zabrał jej serce, a potem poszedł w świat odepchnięty. Mąż jej, bankier, wyzłocił klatkę i dał jej najpiękniejsze suknie. Ma karetę i piękne konie, pyszną klacz pełnej krwi,

tęskniącą w stajni za swoją panią — w szufladach toalety drzemią w atlasowych pudełkach cudowne biżuterie. Egzotyczne rośliny rzucają cień w oranżerii, a marmurowe posągi śmieją się w przedsionku pałacu. Ten dobry, rudowłosy człowiek dał jej to wszystko, dał jej nawet wolność zupełną dla swobodnego używania skarbów w ogniotrwałej kasie zamkniętych. Przyniósł jej w dniu ślubu koronę barona i naszyjnik brylantowy, a mimo to, mimo całego dostatku i przepychu, jakim ją otoczył, konająca kobieta nie chce go mieć obok siebie i woli być samą. Samą? ...

O, nie! Jest z nią wspomnienie jasnej, promiennej chwili, gdy razem z ukochanym szła pewnego letniego poranka wąską ścieżką ogrodową. Nad ścieżką rosły olbrzymie krzaki róż, śmiejące się w promieniach słońca. Jedna z takich gałązek zaczepiła swe kolce o jej białą suknię i ciągnęła ją figlarnie, prosząc: „Stań na chwilę”.

Ona przecież nie chciała stanąć. Bała się. Byli sami we dwoje, było tylko tysiące kwiatów i motyle latały w powietrzu. Dokoła cisza, bo nawet drzewa nie szumiały, jakby w oczekiwaniu jakiegoś wypadku.

Dziewczyna płonęła cała wśród blasków słonecznych, a on patrzył w nią jak w świętą. ' Nie mówili nigdy o swej miłości, ale byli jej pewni, czuli tę nieśmiertelną, wiążącą ich serca. Zrozumieli jednak, że muszą to wyznanie zamienić. Mówiły tak kwiaty, motyle, a zwłaszcza ta róża, która im stanąć kazała.

On schylił się i drżącymi rękami odczepiał od sukni zieloną gałązkę, na której śmiała się purpura kwiatu. Ona wyciągnęła bezwiednie rękę po kwiat i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Nagle on

podniósł głowę i wpatrzył się w tę różową twarzyczkę, w której widział świat cały. Podawał jej kwiat purpurowy, lśniący rosą poranka i rzekł drżącym, prawie smutnym głosem:

— Kocham cię!

Tę jasną, świetlaną chwilę wspomina biedna kobieta, leżąca w samotnej komnacie. Razem z tym wspomnieniem spływa do niej woń | kwiatów i dźwięk głosu jego...

Zamyka zmęczone powieki pragnąc łudzić się, że to on jest przy niej i odbiera razem z duszą echo własnych wyrazów, które wśród kwiatów spłynęły w jej dziewczęce serce.

Konając powtarza: „Kocham cię!...”

* * *

— Trzydzieści pięć mąka, a zielone dwa, to trzydzieści siedem; gdzie jeszcze trzy centy?

— Ależ, proszę pani, jest wszystko; przecież dla siebie nie wzięłam!

— Głupia jesteś! Brakuje trzy centy i miska, z której koty jedzą, zbita. Odkupisz jutro ...

— Ja miskę każę zdrutować...

— Jeszcze czego? Zdrutować... Patrzcie ją, jaka mi mądra. Moje koty, jak żyją, z drutowanej miski nie jadły...

I wygłosivszy to zdanie wyszła pani z kuchni, trzasnąwszy drzwiami z całej siły.

Kaśka została sama.

Usiadła na zydelku koło stołu, tuż pod stolnicą. Wałek od wałkowania ciasta bił ją po głowie, ale ona na to nie zważa.

— Trzydzieści pięć mąka, dwa zielone... Gdzież ja resztę podziałam?

I myśli, myśli, aż się spociła, i trąc ręką o czoło, potargała włosy do reszty. Kaśka wie, że pani nie żartuje. Wczoraj zbita miskę, na której jadły koty: Srocza i Krucio, dwa rozkoszne zwierzątka, jedno ślepe, a drugie sparaliżowane. Chciała dać miseczkę zdruto-

wać, ale pani ma rację. Może by koty nie jadły z miski drutowanej. One takie grymaśne... A jeszcze te trzy centy!

Miły Boże! ... Pewnie jej przekupka nie oddała — nic innego.

Kaśka wstaje i zaczyna powoli odsuwać stoły i kufierki. Dziś sobota, musi więc wyszorować kuchenkę. Trzeba się spieszyć: już ósma, a rondle i samowar także na nią czekają.

Przy tym zbierając wczoraj rozbite skorupki miseczki rozcięła sobie rękę. Zawinąwszy ją szmatą, zakleiła chlebem, ale ta głupia rana będzie jej z pewnością przeszkadzała.

Byle tylko krew nie płynęła.

Nie idzie jej o ból, ale chciałaby uwolnić się dziś przed dziesiątą.

O dziesiątej zamykają bramę, a ona musi wybiec choć na chwilę, bo o nią będzie na nią czekał. Mają się umówić co do* dnia jutrzejszego.

Chciałaby pójść na nieszpory, a potem na Wysoki Zamek.

Mówiła jej Julka, ta, co jest za kucharkę u pana konsyliarza, że na Wysokim Zamku o wiele ładniej jest niż na Szkarpach i w Jezuickim ogrodzie. Kaśka chodziła z nim kilkakrotnie na Szkarpy, ale tam strasznie mieszane towarzystwo, a zwłaszcza za wiele żołnierzy. Ona nie lubi mundurów.

Nalewając wodę z kotła do szafli rozmyśla, czy wypada jej pierwszej robić propozycję co do tak dalekiego i kosztownego spaceru.

Kosztować będzie — nie ma co mówić. Przecież trudno o głódzie spacerować. Piękność przyrody swoją drogą, piwo i precle swoją.

Stoi nad szaflikiem i liczy, ile to wszystko będzie kosztowało. Liczenie to przywodzi jej na myśl stłuczoną miskę i zgubione trzy centy. Gdyby nie te nieprzewidziane wydatki, mogłaby przystąpić do połowy kosztów. Dzika rozpacz opanowuje biedną Kaśkę — pełnymi łez oczyma spogląda po brudnych ścianach kuchenki i z rezygnacją wylewa wodę z szaflika na podłogę. Pełna dobrej woli unosi kraciatą spódniczkę i przykleka na ziemi. Jedną ręką chwyta szczotkę tak zwaną „do szorowania” — a drugą opiera się na ziemi. Nagle rana jeszcze nie zagojona rozdziera się i czerwieni grubą szmatę. Kaśka tłumi w sobie jęk i zaciska jeszcze mocniej obwiązkę. Na jej okrągłej twarzy toczy się kilka łez, które wycisnął ból i smutek z powodu- centów straconych.

Ale to nic! Łzy spadają na flanelowy kaftanik, a dziewczyna z wielką energią szoruje podłogę. Nie ma czasu — już blisko wpół do dziewiątej, a on będzie o dziewiątej czekał przed bramą... I pomimo bolącej ręki i przykrości, która gniecie jej biedną głowę, uśmiecha się Kaśka na samo wspomnienie chwil spędzonych z nim sam na sam, w niedzielę po południu.

A więc to biedne dziewczę szorujące zakrwawioną ręką podłogę, to nędzne stworzenie z potarganą głową i bosymi nogami kocha także? I ono marzy o przywiązaniu serdecznym przy świetle dymiącej lampki naftowej? A więc i do tej duszy przemówił anioł miłości i wypielęgnował w niej kwiat biały, jasny, promienny? Ona czeka, marzy, śpieszy się, pragnie wydrzeć choć chwilę szczęścia swej smutnej doli. I te siwe, zda się,

bezmyślne oczy szukają innych źrenic, i te niekształtne usta proszą o pocałunek. Oto biedne dziewczę, nad ciężką pochylone robotą, nie czuje już bólu, nie myśli o cierpieniu, pragnie tylko jak najprędzej skończyć swój obowiązek, aby pospieszyć na spotkanie ukochanego. Zranioną ręką przesuwają sprzęty, wyciera podłogę, a teraz czyści stary, połamany samowar, mieszając krew z roztartą gliną.

Ach! wreszcie już koniec! Kwadrans na dziesiątą bije na zegarze ratuszowym. Przez otwarte okienko płynie prąd świeżego powietrza; lampka dogorywa, rzucając blade światło na mokrą podłogę kuchni. Niedobra ta lampa! Kaśka chciałaby uczesać się trochę i ogarnąć. Zawsze to nie miło, kiedy dziewczyna zaniedbuje się, bo mężczyźni nie lubią brudnych kobiet. Otwiera szybko kuferek i wyjmując z niego czysty perkalowy kaftanik i fartuszek. Spódniczka zostanie, bo teraz ciemno, więc łat nie widać...

W dogorywających blaskach lampy śmieją się żurnalowe lalki przyklepione na dnie kufereka. Kaśka złożąwszy ręce w niemej kontemplacji podziwiała tę brunetkę w żółtej sukni i blondynkę w bogatym dolmanie. Zapomniała na chwilę o ukochanym i zamknięciu bramy; stoi ze spódniczką w ręku i wpatruje się z wielką przyjemnością w malowane elegantki. Patrzy na nie już blisko dwa lata, a nigdy nie dosyć; zna najdokładniej, każdy fałdzik ich sukni i uczesanie głowy.

Znalazła te stare żurnale w szafie spiżarnianej i wzięła je po kryjomu, drżąc z obawy.

Pierwsza to i ostatnia kradzież w jej życiu, ale pokusa była zbyt wielka. Inne dziewczęta mają kufereki wylepione starym obiciem lub kawałkami gazet — ona musi mieć malowane lalki, bo to daleko szykowniej.

Toteż ten kuferek stanowi całą jej dumę. Nawet kucharka od konsyliarza nie ma lalek w swojej skrzynce. Są tam wprawdzie złożone litery z jakimś niewyraźnym herbem, zdarte zapewne ze sztuki tarlatanu, i wielki order kotyliony z butelką i dwoma widelcami, ale cóż to wszystko w porównaniu z malowanymi pannami!

Nagle Kaśka budzi się z zadumy. Wpół do dziesiątej!

Za pół godziny zamkną bramę, trzeba się spieszyć. I dziewczyna kładzie drżącymi rękami kaftanik na nagie ramiona, a do pasa wiąże czysty fartuszek.

Bosa? ... Cóż to szkodzi. Nogi ma jeszcze wilgotne i czerwone od ługu i gorącej wody. Wyciera je w brudny fartuszek i biegnie ku drzwiom. Jest w tej chwili bardzo szczęśliwa. Zobaczy go za minutkę. Lampa jeszcze nie zgaszona na schodach. Kaśka biegnie szybko, nie trzymając się poręczy. Nagle, na zakręcie wpada jej coś ciemnego pod nogi. To Sroczka wraz z synem swoim Kruciem powraca z nocnej przechadzki do domu. Na widok kotów Kaśka zwalnia kroku. Przypomina sobie stłuczoną miskę i zgubione trzy centy. Zaczyna znów liczyć. — Mąka dwadzieścia siedem, dwa zielone... nie, nie doliczę się nigdy... Schodzi do bramy i zatrzymuje się jeszcze. — Trzeba odkupić miskę — myśli zafrasowana. — Kosztuje najmniej sześć szóstek, bo to porcyłanowa. Przed bramą czeka na nią wysoki, zgrabny chłopak. Osmolony, brudny, ale przyścipny, widać mu to z oczów. Stoi tuż przed latarnią i patrzy w sień ciemną... Nad nim czyste, pogodne niebo, zasiane milionami gwiazdeczek. Światło latarni wydaje się żółtym w porównaniu ze srebrnym blaskiem porozsiewanych w przestworzu

brylantów. Chłopak nie patrzy wszakże w górę, lecz czeka niecierpliwie na tę powolną dziewczynę, a oczy śle na zwiady. Ona ciągle stoi w bramie zafrasowana. Liczy bezustannie, a mimo to trzech centów doliczyć się nie może.

Nagle chłopiec porywa się i wchodzi do bramy. Za długo czekał, lada chwila bramę zamkną. Nie, z tą Kaśką trudno wytrzymać. I spotkawszy ją stojącą wśród bladego światła zawieszanej u stropu latarki gniewa się za opóźnienie. Ona wszakże nie tłumaczy się, lecz opiera zmęczoną głowę na jego ramieniu, a do piersi ciśnie bolącą rękę, z której krew się sączy.

— Dlaczego nie przyszedł wcześniej? — pyta chłopak z wyrzutem. Kaśka nie odpowiada. Szare jej oczy napęlniają się łzami. Ogrom nieszczęścia ją przygniata. Stłuczona miska, trzy centy, a oprócz tego spadają na nią wymówki kochanka i cisną się jej łzy do oczu. — Widocznie ci do mnie nie pilno — mówi chłopiec, odsuwając ją od siebie.

A, tego już nadto! Ona musi powiedzieć, ile nieszczęść spadło aa nią od zeszłej niedzieli, musi się uzalić, bo ją chyba zadusi.

I cichym, smutnym głosem opowiada, jak zgubiła trzy centy, kupiwszy mąkę i zielone i jak stłukła porcylanową miszkę, z której Sroka i Krucio jadły!

— Jak Boga kocham, nic temu nie jestem winna; przekupka pieniędzy mi nie oddała, a miska stłukła się sama, nawet nie wiem jak.

Tu łkanie przerywa jej mowę. Doszli rozmawiając do drzwi prowadzących na ulicę. Stoją w nich oboje zwrócenii twarzą do gwiazd błyszczących na ciemnym lazurze nieba.

Srebrne promienie odbijają się we łzach drżących na rzęsach dziewczyny. Stoją tak smutni i zgnębieni. Obliczają straty i wyczekują środka dla pokrycia strat.

Nagle chłopiec obejmuje dziewczynę i przyciąga do siebie — gorący pocałunek osusza łzy i wywołuje uśmiech na obydwóch twarzach.

Wśród turkotu powracającej z teatru karety drży cichy, namiętny głos spracowanego rzemieślnika:

— Nie płacz, głupia! Przecież kocham cię...

Ave maris stella, Dei mater alma.

Siostra Maria Rafaelina pochyliła kornie głowę.

Kłęczy przed posągiem Matki Boskiej i śpiewa pieśń na Jej chwałę.

Zapach bzów i jaśminów napełnia powietrze.

Mały ogródek należący do klasztoru Panien Wizytek śmieje się rozkoszną zielenią. Jakkolwiek obwiedziony grubym murem, tchnie swobodą i wesołością. Nie ma w sobie nic więziennego i gdyby nie ta postać niewieścia w czerni, rzucająca cień smutny, byłoby tak rozkosznie, po światowemu. Bukiety białego jaśminu wyciągają śnieżne płatki posyłając braterski pocałunek liliowym bzu liściom. Szmaragdowa trawa podnosi drobne źdźbła i spogląda śmiało w . promienie słońca.

Cały ogródek tonie w złocie, kąpie się w blaskach gorących. Miliony muszek zataczają kręgi .taneczne, a liście akacji drżą cicho, bez szmeru. Ziemia strojna w całe swe bogactwo, odpoczywa po wiosennej pracy. Zda się, że to młoda matka pilnująca z rozkosznym uśmiechem drobnych swych dziątek.

Biały posąg Bogarodzicy złoci się także blaskiem słonecznym. Łagodna twarz Marii patrzy z rozkoszą na bzy i jaśminy. Snadź do czci jej

potrzebne nie złoto i przepych świątyni, ale woń kwiatów i ich śnieżne sukienki. Wyciąga Swe dłonie ponad zielenią, a przez marmurowe palce spływają ku ziemi promienie słoneczne. Dobrze Jej w tym klasztorным ogródku, z tym mnóstwem kwiatów, ciepłem i odosobnieniem od świata. Sama jak lilia biała, zda się najczystszy kwiatem z całego ogrodu. Stoi jasna, niepokalana.

U stóp Jej klęcząca zakonnica śpiewa schylona, a drżące jej pieśni płyną do posągu i owijają go lekką tkaniną melodii. Pieśń ta prosta i rzewna, bez śladu jakiegokolwiek muzykalnej pretensji — monotonna jak życie klasztorne. Siostra Maria Rafaelina całuje piasek i podnosi pochyloną głowę.

Jest to młoda jeszcze kobieta o posągowych rysach twarzy. Ostry cokolwiek profil rysuje się z czystością greckich linii; ciemne brwi ściągnięte i czarne wielkie oczy odbijają od matowobladej cery. Usta

drobne, ściągnięte, wyrażają zarysem swoim olbrzymi temperament, zmuszony do milczenia regulaminem klasztorным. Białe kolet okala twarz tej pięknej kobiety. Przypięty szpilkami na piersiach, kryje całe czoło, uszy i szyję. Czarny, długi welon pokrywa głowę. Szeroki, fałdzisty habit spada w bogatych draperiach wstrzymany czarnym jedwabnym pasem. Na piersiach wielki krzyż srebrny na szerokiej tasiemce.

Oto wszystko.

Strój to poważny, ciemny, ciężki i skromny. A przecież jest w nim tyle wdzięku, tyle wytwornej prostoty, że każda z tych kobiet zda się królową przebraną. Draperie habitu płyną klasycznymi fałdami, a najpospolitszej postaci nadają coś posągowego. Trywialne rysy w białym okoleniu nabierają dziwnego wdzięku — czarny welon kształtnie upięty nadaje głowie charakter. Jest to bezwiedna kokieteria, zalotność bez lustra — poczucie piękna bez nauki estetyki. Maria Rafaelina jest takim uosobieniem piękna, bez najmniejszego ze swej strony dążenia ku . temu. Bezwiednie przybrała iście modelową pozę, podniesienie kształtnej głowy zachwyciłoby rzeźbiarza. Czarna suknia spływa na żółty piasek w bogatych, regularnych fałdach. Ręce złożone na piersiach bielą się jak marmury na czarnym tle sukna.

Przestała śpiewać i patrzy na błękit nieba. Dokoła cisza i spokój wielki. A przecież poza tym grubym murem wre życiem wielkie hałaśliwe miasto. Tysiące ludzi żyje tam w bezustannej gorączce, pracują, bawią się, śmieją

i płaczą, nienawidzą się i kochają, rodzą i umierają... Ileż tam zmian, odkryć i wynalazków! Ile występków i zbrodni! Ile chciwości i szalu miłosnego! Ile poezji i prozy życia!

To wszystko, zaledwie o kilkaset kroków od tej bladej zakonnicy, która klęczy zamyślona u stóp posągu. Ona nic nie wie, co się dzieje poza obrębem klasztoru. Domyśla się tylko, zgaduje. Dzieckiem jeszcze oddano ją na klasztorną pensję, a po skasowaniu konwiktu nie chciała opuścić dobrowolnie murów klasztornych.

— Zostanę z wami — rzekło piętnastoletnie dziewczę tuląc się do siostry-profesorki. — Ja bym bez was żyć nie potrafiła. — I została czarnowłosa dziewczynka na zawsze między bladymi siostrami. Rzeczy jej przeniesiono do sali próbantek, a ciemne włosy schowano pod czepeczek. Kazano jej zamiatać podłogę i chodzić do pralni. Czyniła to

chętnie, z wiosennym uśmiechem na rumianej buzi. Zachwycało ją to życie. Na rekreacjach cerowała grubą bieliznę, a w godzinach modlitw recytowała łacińskie pacierze, z których nic nie rozumiała. Drżała z trwogi przed obrazem świętego fundatora, a zginała kolana przed Joanną de Chantal. Ideałem jej marzeń była błogosławiona Małgorzata, której żywot pochłaniała z gorączkową ciekawością. Nieraz wśród ciemnej nocy zrywała się z twardego posłania i padała krzyżem, czekając na objawienie. Zasypiała najczęściej na podłodze, aż poranny dzwonek zbudził ją z tej mistycznej ekstazy. Powoli znikwały rumieńce z jej twarzy, tylko czarne oczy świeciły jak gwiazdy promienne; pracowała ciężko i z pełnym zaparciem własnej woli. Czyściła chór, klękając co chwila przed relikwiami lub składając dworskie ukłony przed pustym krzesłem przełożonej. Gdy zmęczona siadała na chwilę na schodach i nacierała woskiem szczotki, powtarzała zdyszczanym głosem:

— Dla większej Twej chwały, wiekuisty Boże!

Jadała kluski z morelami lub piła kawę ze śledziem. Kombinowała najrozmaitsze potrawy dla umartwienia swego niegodnego ciała. Ćwiczyła się w doskonałości i zanudzała swego spowiednika rozmaitymi wątpliwościami co do zbawienia swej duszy. Gdy zapadło „wielkie milczenie”, dałaby sobie pierwszej rękę uciąć, jak odezwać się jednym słowem.

Nieszpory śpiewała cienkim, przejmującym głosem, a klęcząc za stallami, jako siostra-próbniczka, marzyła o chwili, gdy zasiądzie w politurowanym krześle i odpowiadać będzie na interpelacje siostryasystentki.

Zjawiała się najpierwsza na porannych modlitwach, z czepkiem przekreślonym na bakier dla zbyt szybkiego pośpiechu. Próbowała się trzy lata, aż na koniec przyszedł wielki dzień obłóczyn.

Starsza jej siostra, żyjąca na świecie, płakała rzewnie przynosząc jej biały strój potrzebny na tę uroczystość. Były bowiem sierotami i miały tylko babkę, zachwyconą powołaniem młodszej wnuczki. Babka będąc sparaliżowaną nie mogła przyjść sama do kościoła, ale błogosławiła wnuczkę i dziękowała Bogu, że ją Duchem Świętym napełnić raczył.

Przyszła chwała klasztoru rozplakana, szczęśliwa, uśmiechnięta wyszła do parlatorium, aby raz jeszcze zobaczyć swą siostrę. W odosobnieniu i egoizmie klasztornym znikła z jej serca miłość rodziny, zostało tylko przywiązanie do bielonych korytarzy i cel zakonnych. Weszła do parlatorium rozplakana ze zbytku szczęścia i zdziwiła się bardzo widząc siostrę smutną i zgnębną. Nie mogła pojąć, dlaczego tamta patrzy na nią tak, jak się patrzy na konającego.

I zaczęła ją pocieszać, mówić o życiu w Chrystusie, o wiekuistej szczęśliwości rozkoszy odosobnienia się od pokus światowych.

Dwudziestoletnia Kazia patrzyła przez podwójną kratę na tę młodą dziewczynę, prawiącą kazanie rekolekcyjne i przekreślającą w nadmiarze uniesienia czepki na lewe ucho. Ona nie pojmowała tych mistycznych zachwyty. Była pobożną i chodziła w niedzielę na mszę św., ale żyła mimo to w świecie — mieszkała na szerokiej ulicy, pielęgnowała sparaliżowaną babkę, wspomagała biednych i chodziła na spacer do Saskiego Ogrodu.

Gdy siostra mówiła o rozkoszy noszenia habitu i nagrodzie wiekuistej, jaką Bóg swoim wybranym gotuje, Kazia spojrziała z przestachem na swą satynową sukienkę i czerwoną parasolkę. W tym białym i spokojnym parlatorium wydał jej się strój modny a trochę ekscentryczny rażącą anomalią. Przyszła zakonnica perorowała dalej ze wzrastającym zapałem. Było tam wiele o miłości Boga i krzyżach, jakie Bóg na nią zesłać się wybierał. Gotowała się do niesienia tych krzyżów z pokorą wielką, a

Kazia otwierała szeroko oczy, nie mogąc pojąć, jakiego to rodzaju krzyże kwitnąć mogą za murami klasztoru.

Przecież nie habit i modlitwy, nie post lub wreszcie dyscyplina". Kazia знаła inne krzyże, stokroć cięższe. Choroba babki, jej grymasy i bezsenne noce przy łożu dogorywającej staruszki, bezustanna troska o jutro, męczarnie z niepojętymi uczennicami, utrata korzystnej lekcji, a tym samym zachwianie egzystencji.

Tymczasem stojąca za kratą dziewczyna szła niby na męczeńską drogę pozostawiając za sobą wszystkie drobne troski życiowe, wszystko, co nam dołą zachmurza i smutek na czoło sprowadza. Odgradzała się od świata grubym murem klasztornym, nie pracując na wyżywienie siebie ani drugich. Usuwała się od obowiązków wnuczki, siostry, żony,

matki. Opowiadała wprawdzie o froterowaniu chóru i zmiataniu korytarzy, ale cóż dobrego przynosiły te bezużyteczne prace społeczeństwu lub jej samej? Wszak siostry mogły śpiewać chwałę Jezusowi w niefroterowanej kaplicy.

Była to papuzka czarna, bezwłasnowolna, wyuczona kilku frazesów i dążąca do nieokreślonego celu. Mówiła wiele o poświęceniu, ale dla kogoż poświęcała swą młodość, zdrowie i swobodę?

Kazia pragnęła pomówić z siostrą szczerze i otwarcie, chciała jej wyznać pewną tajemnicę, tkwiącą w jej serduszkach. Oto pewien młody urzędnik prosił o jej rękę. Babka się zgodziła, dzień ślubu był wyznaczony.

Powaga oblubienicy Chrystusowej zaimponowała wszakże ziemskiej narzeczonej, nie śmiała profanować zakonnego parlatorium, którego białe ściany wznosiły dokoła czyste, niewzruszone linie.

Za oknem wychodzącym na dziedziniec klasztorny gdakały kury i czekały psy. Od czasu do czasu wchodziła siostra kołowa i udawała, że ściera z krzesel prochy. Śladu kurzu nie było nigdzie, mimo to Maria Alojza wchodziła i wychodziła bezustannie.

Onieśmielona Kazia wstała i przez koło wkręciła do wnętrza parlatorium spory pakiet zawierający białe ubranie.

— Uszyłam sama — mówiła z zakłopotaniem — nie wiem, czy będziesz zadowolona.

Próbantka machnęła ręką z przepysznym gestem pogardy.

— Marność nad marnościami! — odrzekła.

Mimo to, gdy nazajutrz z rana włożono na nią strój balowy — oniemiała. Do tej chwili nosiła tylko pensjonarskie sukienki lub długie półhabyty zakonne. Widziała wprawdzie piękne stroje, gdy chodziła odwiedzić chorą babkę, ale nie zajmowały jej wcale. Dziś, gdy szelest białego jedwabiu podrażnił jej uszy, gdy białe kamelie zakwitły na zwojach śnieżnej gazy, zbudziła się w tej spleśniałej mumii — kobieta. Babka sprzedała kolczyki, byle tylko ta uroczystość odbyła się przyzwoicie. Na to dziewczyna nie zwracała uwagi. Weszła do chóru przy- ' tłoczona wrażeniem, jakiego doznała. Klęczała w środku tej wielkiej

sali, a przez otwartą kratę widać było tłumy zalegające kościół. Białe kamelie wędły jedna po drugiej w odurzającym zapachu świec woskowych i kadzideł. Siostry śpiewały, pospuszczawszy poprzednio welony aż poza brody. Klęczały tak czarne i smutne, jako pokutnice średniowieczne, z gromnicami w ręku. Pośród nich drżąca i zmieszana dziewczyna składała przysięgę wiecznej pokory, czystości i ubóstwa. Szelest jedwabiu przerażał ją, nie śmiała się poruszyć patrząc mimo woli na wędnący bukiet kamelii przypięty do gorsu. Czyniła wszakże, co mogła, aby przejąć się tą uroczystą chwilą. Składała ręce i wzdychała bezustannie. Na próżno; kobiecość wzięła górę, nie wiadomo dlaczego w u&zach dźwięczały jej słowa włoskiego poety: „Zostawcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie”. Było jej nad wyraz smutno — łza stoczyła się po wybladłej twarzy i spadła na żółkłe liście kwiatów. Całą noc leżała krzyżem prosząc o spokój i powrót do równowagi duchowej. Z sali próbantek przeszła do własnej celi, widnej, czystej izdebki z olbrzymim krucyfiksem na ścianie.

I zaczęły się dla niej długie, nieskończone chwile tego szczęścia, do którego tak wzdychała. Przeżyła w obrębie klasztoru lat dwadzieścia i doszła do wszelkich zaszczytów i godności. Z siostry-furtianki stała się infirmerką, lingerką, ogrodniczką, bibliotekarką, na koniec.. . asystentką, a wreszcie matką-przełożoną.

Teraz jest tak zwaną siostrą-deposee i odpoczywa po niby pracowitym życiu. Czerwcowym dzionkiem klęczy przed statuą Marii Panny i z zadziwieniem patrzy w minioną przeszłość. Gdzież są bowiem te krzyże i te umartwienia, które miał jej Bóg zsyłać? Gdy była próbantką, z

tajemniczymi minami mówiły jej nieraz siostry, że mają więcej zgryzot jak włosów na głowie. Ona przecież tego powiedzieć nie mogła. Mając dochód stały, zapewniony, powiększano go przychodami z ogrodów lub darami dobroczyńców. Śluby, chrzciny, egzekwie — wszystko to przyczyniało się niemało do dobrobytu w klasztorze. Trosk o chleb powszedni nie było żadnych. Cierpienie fizycznych prawie nie znano, a moralne nie dotykały ich wcale. Poza obrębem klasztoru wymierały całe rodziny, konały matki, siostry, bracia, a one, szepcząc pacierze, nie szły zamknąć oczu swoim

najbliższym. Żyła więc istnieniem ślimaczym, mając codziennie śniadanie, obiad i kolację, a w niedzielę po obiedzie kawę. W święta szły sznurkiem do ogrodu i siadały rzędem na pagórku, skąd był widok na Wisłę. Śpiewały wtedy chórem: „Kto się w opiekę”, i jadły zgniłe śliwki, pozbierane pod drzewami. Słońce zachodziło i kapało swe promienie w czystej wodzie, parostatki pełne ludzi wracały z Saskiej Kępy — z daleka dolatywały dźwięki katarynki. Cały rząd skulonych i zgarbionych kobiet w czerni patrzył szklanymi oczami na te nieznane światy.

Nie tęskniły wprawdzie do niczego, ale było im jakoś nieswojsko. Śliwki wypadły z rąk, a pobożna pieśń zamierała na ustach. Gdy wracały do chóru szeptać wieczorne pacierze i „czynić” wieczorne rozmyślenia, melodia katarynki, zasłyszana wśród pogody letniego wieczoru, nie pozwalała im zajrzeć w głąb ducha swego.

Siostra Maria Rafaelina, obdarzona z natury ogromną dozą temperamentu i zdrowia, przeszła ciężkie chwile wśród murów klasztornych. Dzieckiem jeszcze ogromny zasób gorącej krwi zmuszał ją do gorączkowej egzaltacji, objawiającej się w zapalach pseudoreligijnych. Nie mogąc tańczyć na balu ani biegać swobodnie po lasach lub łąkach, froterowała chór na większą chwałę Chrystusa lub szorowała podłogę. Ta potrzeba ruchu, ten nurtujący ją płomień, zdawał się jej koniecznością poświęceń dla zbawienia duszy. Stąd wynikał cały szereg dziwacznych męczeństw i bezustanne uganianie za zmęczeniem fizycznym, które miało wyniszczyć młode jej siły. Gdy po obłóczynach i ostatecznie złożonej przysiędze, godność „siostry rzeczywistej” nie dozwalała oddawać się wyczerpującej pracy, konała z nadmiaru sił żywotnych, nurtujących jej młode ciało, umartwiała się

postem i biczowaniem, spowiadała się codziennie, ale mimo to niepokój rósł w niej stopniowo.

— Co mi jest? — pytała wśród ciemności nocnych. — Jezu ukrzyżowany, miej litość nad służebnicą Twoją. — Był z niej grób żywy, w którym zagrzebane leżało przeznaczenie kobiety. To przeznaczenie kazało jej zrywać się wśród nocy i błądzić po celi jak zwierzęciu w klatce. Zabiła w sobie żonę i matkę i stała się istotą bezpłciową, niepożyteczną społeczeństwu, pasożytem w mrówczym gnieździe. Młodą

dziewczynką nie rozumiała, celów, do których ją Bóg przeznaczył, wiedziała tylko, że ma duszę i tę pragnęła zbawić. Powtarzano jej to codziennie. Świat przedstawiał się jej oczom jak wielka kałuża zbrodni, w której chcąc nie chcąc każdy musiał utonąć. Poza tym nie wiedziała nic i dlatego została w klasztorze. Gdy w dziecku wszakże zbudziła się kobieta i wielkim głosem poczęła domagać się praw swoich, rozpoczęło się piekło w tej istocie młodej, zdrowej, pełnej siły, a skazanej na wieczną zagładę. Bóg stworzył ją do wielkich celów, dał jej moc cudowną tworzenia nawzajem istot sobie podobnych, wlał w nią ten olbrzymi zasób życia, który ona przelać miała na dzieci swoje — a tymczasem ta istota, jak ów sługa ewangeliczny, zakopała skarby swoje, stłumiła ogień płonący w swej duszy i dręczy się za podwójną kratą, co piątek o godzinie dziewiątej kalecząc białe ramiona ostrą dyscypliną. Zeszła na ziemię jasna i czysta, niosąc nieprzebrane skarby miłości i piękna: dusza jej dostała cielesną powłokę nad wyraz wszelki do-' skonała, a zamknęła się w bezrozumnym szale w klasztornej ciemnicy i czarnym całunem pokryła harmonię kształtów.

Maria Rafaelina ten swój niepokój, tę burzę wewnętrzną składała początkowo na szatana. Tak jest, to ten duch ciemności czyhał na jej zagładę i dolewał do krwi żaru. Pragnęła więc zwalczyć go modlitwą, postami i różnymi ćwiczeniami religijnymi. Widziano ją w nocy leżącą na zimnych kamieniach korytarzy, spotykano o pierwszej godzinie w nocy, klęczącą wśród chóru z powrozem na szyi; bezustanne wrzody tworzyły się na nogach z nadmiernego klęczenia. Prędzej od wszystkich zużywała dyscyplinę, tak że matka-przełożona musiała kazać dorabiać co kilka tygodni nowe rzemienie. Chodziła blada, straszna, z szeroko rozwartymi oczami. Obserwowała ściśle regulamin klasztorny posuwając

gorliwość swoją do przesady. Nie piła nigdy wody, pomimo dokuczliwego pragnienia, jakie jej piersi paliło. Prosiła o godność „siostry-pomywaczki” i z prawdziwą rozkoszą zanurzała białe, delikatne ręce swoje w tłuste pomyje. Śpiewała przy tym cienkim głosem bardzo ładne pieśni o dobroci Stwórcy lub' wszechłaskawej Opatrzności. Zwróciła się całą siłą do dawnego pojmowania i dawnych myśli, pragnęła być na powrót tą próbantką, któ-

ra w życiu klasztorным widziała swój cel, szczęście i przeznaczenie na świecie. To wszystko jednak na próżno; raz obudzona zasnąć nie mogła powtórnie. Wymuszone ciało drgało już konwulsyjnie resztą życia, ale duch w tym odosobnieniu rósł i olbrzymiał, odzywając się bezustannie, zapytując, badając cel, dla którego drzemać mu kazano. I siostra Maria Rafaelina z rozpaczą rozumiała, że wszystkie użyte przez nią środki są niczym i że męczarnie jej trwać będą do nieskończoności.

Wtedy wmówiła w siebie pychę i zaczęła dążyć do wyniesienia się ponad inne siostry. Wiedziała, że popełnia tym grzech ciężki, ale wołała już skompromitować zbawienie duszy, byleby mieć cel, dla którego wstaje się rano, a kładzie się wieczorem. I stało się, czego za' dała. Po kilku latach włożono na nią papierową koronę, a siostry poklekały kornie naokoło jej krzesła. Siedziała tuż pod srebrną puszką, w której oprawne było serce królowej-fundatorki, a razem z tym szczątkiem królewskim jakiś majestat spłynął na jej ramiona. Z wyrazem dumy spoglądała dokoła, a ciemne oczy pomimo woli zdradzały rozkosz z wyniesienia nad inne, maluczkie. Gdy skończył się obrząd koronacji, siostra Maria Rafaelina, a obecnie matka-przełożona, zezwoliła łaskawie, aby in gratiam tej uroczystości poobiednia kawa wypita została w ogrodzie z dodatkiem jednego ptysiowego obwarzanka na osobę.

Zgromadziły się siostry w przeznaczonym na ten festyn miejscu i obsiadły zieloną trawę jak stado czarnych, milczących wron. Ptysiowe obwarzanki zachwycaly swym nieporównanym smakiem, co jednak nie przeszkadzało niektórym, bardziej dbającym o zbawienie, siostrom maczać ciasta w piasku i spożywać w ten sposób łakocie, zapewne na większą chwałę Pana Jezusa.

Matka-przełożona w swej tekturowej koronie, włożonej na sam wierzch głowy, siedziała wyprostowana i sztywna, spoglądając na swe poddane.

Promienie słońca przedzierały się przez gęste liście drzew i ozłacały powiędle i zasuszone twarze „siostr rzeczywistych”. Każda z tych twarzy miała żółtość pergaminu, a bladość warg — bezkrwistość młodych dziewcząt. Wszakże gromadka „siostr kołowych” śmiała się świeżością i jakimś wdziękiem dziewczęcym. Było ich trzy, wszyst-

kie młode i wesołe, z oczami świecącymi jakimś fosforycznym blaskiem i z kibicią kształtną i pełną. Wychodząc bezustannie na ulicę i załatwiając sprawunki klasztorne, miały w fałdach swych habitów jakąś miejską swawolę, gwar ulic i turkot dorożek. Stanowiły one jasną nutę na tle tej ciemnej pieśni, którą nuciły zawiedłe siostry wśród promieni sierpniowego słońka. Dalej siedziały dwie próbantki, dwie młode siostry, aspirantki na „siostry domowe”, to jest siostry bez dyplomów szlacheckich.

Była bowiem za tym ciemnym murem, gdzie wszystko tchnęło równością, arystokracja z wariacjami, był stan pośredni i motłoch w białych welonach. Ponad wszystkie wszakże górowała matka przełożona w swej karmazynowej koronie. Piła kawę z godnością wielką i usiłowała być szczęśliwą.

Na próżno, i tu biedna kobieta nie znalazła spokoju. Mimowolnie wzrok jej zwracał się w stronę, gdzie na uboczu siedziała jedna z sióstr — samotna, z głową opartą o pień drzewa. Była to kobieta wysoka, o tęgich, silnych ramionach, pełnym gorsie i szerokiej szyi. Życie klasztorne nie zdołało zniszczyć potęgi zdrowia i nadmiaru sił, którą ta kobieta ze sobą na świat przyniosła. Był to wyborny materiał na żonę urzędnika i matkę sześciorga dzieci. Dwa purpurowe rumieńce na twarzy zdały się tryskać ogniem wobec tych żółkłych twarzyczek, z których rumieniec znikł bez śladu. Oczy tej dziwnej siostry miały wyraz szklany, trupi. Była ona ciemną i umysł jej był mocno nadwreżony. Nie obliczywszy się z siłami wstąpiła do klasztoru w całej pełni młodości i rozwoju sił fizycznych. Gorący strumień krwi, nurtujący jej żyły, przebiegał po niej bezustannie, nie mogąc znaleźć nigdzie choćby chwilowej ochłody. Nagle uderzył do głowy i pozostał zastygły na tych szerokich, pełnych policzkach, odbierając zarazem wzrok i samowiedzę tej nieszczęśliwej kobiecie. Dziś siedzi ona zdrowa i czerstwa jak przed laty. Rzekłbyś, wybornie rozwinięta dziewczyna śmieje się z tej czterdziestoletniej kobiety. W

niedoleństwie umysłowym nie czuje bolesnej ślepoty, która ją na wieczną noc skazuje. Jest teraz szczęśliwa, strasząc nocami inne siostry i błędząc po korytarzach. I mimo woli siostra Maria

Rafaelina patrzy na ociemniałą, a w sercu czuje zazdrość, że to nie ona dotknięta tą nieuleczalną chorobą.

— Byłabym spokojna — myśli sobie — nie cierpiałabym tyle... I biedna przełożona czuje, że nawet z koroną nie przyszło do niej szczęście i spokój upragniony.

— Co mi jest? Czego mi brakuje? — pyta siebie, szarpiąc nerwowym ruchem zieloną gałązkę.

Nagle siostra-furtianka przybiega zaaferowana z miną gonionej kozy i klęka przed przełożoną. To siostra „Jej miłości” jest u kraty i pragnie widzieć nową matkę klasztoru.

Maria Rafaelina wstaje i idzie do parlatorium wraz z siostrą-asystentką. Jest bowiem i mąż siostry, a regulamin nie dozwala pokazywać się oczom męskim samej zakonnicy.

Na środku parlatorium stoi owa Kazia, która przed dziesięciu laty płakała rzewnie, przynosząc białą sukienkę dla dwudziestoletniej próbantki. Jest to teraz jasna, miła kóbięcinka, ubrana skromnie, ale z dziwnym gustem, w słomianym kapelusiku na złotych włosach. Po śmierci babki pracowała ciężko nad zbieraniem skromnego fundusiku, ażeby połączyć się wreszcie z tym, którego wybrało jej serce. Czekali długo, aż on osądził za dostateczną kwotę zbieraną z oszczędności obojga. I poszli przed ołtarz majowego ranka, uśmiechnięci, spokojni jak żeglarze, gdy zdążają do portu. Przysięgli sobie miłość i wiarę, a teraz żyją spokojnie, pracując i kochając się na przemiany.

Młoda kobieta rozwinęła się jak kwiat cudny pod tchnieniem miłości.

Różowa jej jutrzeńka niesie zapach świeżości w zatechłą atmosferę klasztorną. Przy niej wysoki, przystojny mężczyzna wita nową przełożoną przyjaznym skinieniem głowy. Ma on pod ciemnym wąsem uśmiezek ironiczny i ciekawymi oczami spogląda na dwie czarne postacie majaczące za kratą.

Siostra Maria Rafaelina wita nowoprzybyłych znakiem krzyża świętego i rozsiada się w fotelu. Kazia mówi dużo, a mówiąc patrzy ciągle na męża. Jest w tym spojrzeniu tyle miłości, tyle pragnień, tyle mimowolnej

kokieterii, że Maria Rafaelina czuje się zmieszana, a pomimo tego zmieszania oczu od siostry oderwać nie może. I w miarę gdy Kazia opowiada przebyte troski i kłopoty, a potem roztacza

przed nią obraz domowych rozkoszy, w umyśle matki-przełożonej powstaje cały szereg porównań, które mimowolnie nasuwają się przed jej oczy. I widzi siostrę swą uśmiechniętą, różową, pełną życia i zdrowia, żyjącą istnieniem drugich, zapatrzoną w oczy człowieka, któremu się oddała na wieki i poszła z nim na dolę złą i dobrą. Widzi tę siostrę rozpromienioną uczuciem żony i matki, bo trzymiesięczne dziećko płacze za nią w domu. W opowiadaniu Kazi słyszy całą harmonię miłosną, do jakiej Bóg przeznaczył kobietę, czuje, że ta siostra spełnia swą powinność mimo niejednego bólu i cierpienia, jakie jasną jej główkę ku ziemi pochyliło.

I minio woli zwraca się myślą ku sobie, patrzy na swe wychudłe ręce i z trwogą spogląda w zmarnowane życie. Była... niczym i jest... niczym!... Ma tekturową koronę na głowie i kilkanaście sióstr, które przed nią kłękają. Jestże to dosyć? — o, nie, nie!... i wśród srebrnego uśmiechu Kazi serce Marii Rafaeliny rwie się w buncie szalonym, który jej przez tyle lat na chwilę nie dawał spokoju. A więc o to chodziło?

Nagle Maria Rafaelina uspokaja się trochę; Kazia opowiada właśnie urodzenie dziecka, swoją długą i ciężką chorobę, potem kłopoty z małością, szczepienie ospy i tym podobne macierzyńskie przygody. Maria Rafaelina z chciwością słucha o tych bólach i cierpieniach, których ona, szczęściem, nie znała nigdy.

Tworzy sobie z tego rodzaj pociechy i w egoizmie starej panny chwyta drobniejszy szczegół, aby w chwilach samotności i tęsknoty roztaczać przed sobą obrazy pełne bólu i smutku. Kazia skarży się ciągle, a jej srebrny głosik przybiera rzewne odcienia. Tak, wycierpiała wiele, p, nie zapomni tego nigdy! Mąż jej przecież zbliża się ku niej i nie zważając na świętość miejsca uspokaja rozzaloną pocałunkiem.

— Wiem, żeś wiele przeżyła — mówi obejmując ją silnym ramieniem — ale za to wiesz, jak kocham cię.

I słowo to, wiodące z sobą cały szereg zmysłowych pokuszeń i idealnych zachwyków, rozległo się wśród białych ścian parlatorium prawdą i najzupełniej szą dokładnością.

Maria Rafaelina podniosła głowę. Krew zastygła w jej żyłach. O, teraz wie, czego brakowało jej za klasztorną kratą: ta jedna chwila oświeciła ją należycie. Bezwiednie pragnęła usłyszeć to słowo, które spadło na nią jak grom spoza kraty, za którą uciekła przed łąty dziesięciu.

Gdyby wtenczas, zamiast perswazji, siostra jej tuliła się z tą miłością wielką do piersi swego męża, gdyby wtedy on, nachylony, pełen uczucia rzucił to słowo, to cudne, promienne słowo, byłaby dla tego „kocham cię” porzuciła ciemne mury klasztorne. Dziś za późno, może ona tylko z bólem patrzeć na innych szczęśliwszych i powtarzać w duszy „kocham cię”.

Gdy siostra wraz z mężem opuściła parlatorium, Maria Raiaelina: nie wróciła więcej do siostrzyczek biesiadujących pod drzewami. Zamknęła się w swej celi i płakała, długo, długo bardzo.

Tuląc głowę do zimnej, żelaznej kraty, która dzieliła od świata okno jej celi, powtarzała bezustannie to jedno słowo, co przyszło do niej niespodziewanie, a przecież tak upragnione, tak gorąco pożądane:

I minęło lat dziesięć od tej chwili; siostra Maria Rafaelina klęczy przed statuą Bogarodzicy, kąpiąc się w promieniach słońca. Patrzy na bzy i jaśminy, słucha szmeru liści, a w głębi jej duszy odzywa się mimo woli jedno słowo, które stanowi zawsze konieczną nutę z zapachem kwiatów i błękitem nieba.

Przez lat dziesięć prześladowe tę biedną kobietę „kocham cię” z dziwnym uporem i zaciętością niezwalczoną. Upomina się o swoje prawa i ciśnie na wybladłe wargi.

Znużona postem i bezustanną modlitwą głowa Marii Rafaeliny opada ku ziemi, ale klasycznie wykrojone usta z jakąś rozpaczą szepcą „kocham cię, kocham cię! ...”

DOBRANA PARA

O wpół do pierwszej zaledwie Fanny otworzyła oczy.

Przeciągnęła się leniwie, ziewnęła i wyjąwszy na chwilę rękę spod stosu wełnianych kołder, schowała ją czym prędzej.

— Boże mój! jak zimno!... — jęknęła żałośnie. Po czym przymknęła znów oczy i leżała tak długą chwilę, sapiąc i wykrzywiając się jak kłowny w cyrku.

Wreszcie wrzaskliwym, ochrypłym głosem wołać zaczęła:

— Smoluchu, smoluchu!...

W kuchni poruszyło się „coś”, zatykającego masy drzazg w malutkie fajerki. To „coś” wykrzywiło znów twarz w ohydny sposób i uderzyło się po udzie.

— Pęknij!... — zamruczała bona, słysząc głos pani. Wreszcie „coś”, będące boną i nazywane „smołuchem”, oderwało się powoli od komina i przecisnęło się z prawdziwym mistrzostwem przez wąskie przejście, które Francuzi pompatycznie „przedpokojem” nazywają. Tymczasem pani Fanny ze złości potargała rzadkie włosy, sterczące w śmieszny sposób dokoła czoła.

— Dlaczego nie wchodzisz, kiedy cię wołam? — zawołała, zobaczywszy służącą.

— Robię śniadanie — odparła bona i podskakując jak wróbel, ciężkie szmaty, pokrywające okno sypialni, odrywać zaczęła.

Szmaty, trzymające się tylko za pomocą szpilek, szyb-

ko opadły, wpuszczając do pokoju całe snopy białawego światła, pocętkowanego gdzieniegdzie żółtą plamą. Fanny zasłoniła oczy.

— Oślepnę! oślepnę! — wrzasnęła.

Bona tymczasem zdzierła zasłony z drugiego okna. — Czy trzeba zapalić? — spytała, stając przy drzwiach. Fanny namyślała się chwilę.

— Nie! nie! — odparła szybko — wystarczy ogień w jadalnej salce.

Bona wyszła, trzaskając drzwiami.

Wtedy Fanny powoli z łóżka podnosić się zaczęła.

W bladym świetle dziennym ukazała się bardzo nędzną, mizerną, pożółkłą, tak zniszczoną, jak tylko nimi być Francuzki umieją. Ze stosu kołder, pierzyn puchowych i grubych prześcieradeł wysunęła się, jak karykatura kobieca, owinięta w włóczkowe trykoty, bez żadnych kształtów, przypominająca brakiem bioder i biustu uliczników paryskich. Twarz jej wychudła z małymi oczkami, biegającymi filuternie pod zsiniałymi powiekami, miała wyraz zwierzęcy, coś na kształt wiewiórki i jakiegoś z ptasząt.

Nogi wielkie, płaskie, ręce duże, o trywialnych połączeniach, tworzyły z Fanny typ przeciętnej paryżanki.

Wylazłszy z łóżka, drżąc z zimna, wsuwała nogi w przydeptane pantofle i włożywszy flanelową różową bluzę, za ręczne lustro ujęła.

Zbliżyła się do okna i długo przypatrywała się swej twarzy i szyi.

— Fichtre! — mruknęła wreszcie, rzucając lustro na rozkopane łóżko.

Potem przez chwilę gładziła włosy połamanym grzebieniem.

— Fichtre — powtórzyła, rzucając grzebień na kominek. Teraz szukała pudru długą chwilę pomiędzy stosami

prześcieradeł, zalegającymi półki lustrzanej szafy.

— Nom de nora — zakłęła grubym głosem i szarpnąwszy silnie, całą masę bielizny wyrzuciła na ziemię.

Razem z prześcieradłami wypadło pudełko veloutiny Dorina.

— Ouiche — zawołała Fanny, chwytając puszek i umoczywszy go w pudrze, nie umyła twarz bielić zaczęła.

Dokończywszy w ten sposób ubrania, skropiła stłuszczoną bluzę wodą Lubina i spojrzawszy na łóżko i stopy kołder, porozrzucanych na materacu, wzruszyła ramionami.

— Fichtre! — powtórzyła raz jeszcze i poszła do jadalnej salki.

Ogień palił się w maluchnym piecyku stojącym w rogu maluchnego pokoiku, nazywanego salką jadalną.

Bona ustawiła talerze na stole, zajmującym środek pokoju.

Z otwartego bufetu dolatywał zapach roquefortu, sardynek i homara.

Fanny zatrzymała się koło pianina stojącego obok bufetu i machinalnie po klawiszach przebierać zaczęła. Nie umiała grać, ale lubiła stukać palcami po klawiszach. Dlatego wzięła na kredyt pianino i ustawiła je w salce jadalnej. Skoro tylko znajdzie nauczyciela, który zechce udzielać jej lekcji z miesięczną wypłatą, zacznie się uczyć.

To już ułożone.

Bona tymczasem z hałasem ustawia szklanki do wina i kieliszeczki likierowe. Na jej zasmolonej twarzy widać brak dobrego humoru i abnegację czystości.

— Nie ma wina — odzywa się wreszcie, przeglądając do światła pustą butelkę.

— Trzeba wziąć dwa litry — odpowiada Fanny, nie przestając stukać po klawiszach.

Bona wzrusza ramionami.

— Nie dadzą!

— Fichtre — brzmi odpowiedź. Bona wychodzi, trzaskając drzwiami. Fanny uśmiecha się z zadowoleniem.

— Nie dadzą!... hm, tak! zapewne — łatwo to powiedzieć, ale nie łatwo wykonać. Fanny wie, że fournisseurs to naród zuchwały, ale mimo to, tak od razu nie odmawiają kredytu. Wreszcie, Fanny ma trochę pieniędzy, wczoraj przysłano jej przedostatnią ratę należnego jej po ojcu działu spadkowego, ale trudno zapłacić długi, skoro się ma setki innych wydatków na głowie.

A smoking dla Emila, a kapelusz demi sezonowy dla niej, a laska męża, dana do wygrawerowania, a zadatek na dwa wiosenne kostiumy u Redferna .

Gdzież tu myśleć o piekarzu, rzeźniku, meblarzu i całej falandze tych brudasów, wiszących u jej kłamki dzień cały. Wreszcie ta materia japońska na ulicy Amsterdam aż oczy ciągnie do siebie i prawie darmo jest do wzięcia. Rzadka okazja! Brudasy mogą czekać...

Drzwi się uchylają i, uchyliwszy portiery, wsuwa się do pokoju młody człowiek, w palcie, cylindrze i z papierosem w ustach.

— Dzień dobry! — woła od progu.

Głos jego jest czysty i pełen wesołych tonów. Fanny odwraca się szybko.

— Dzień dobry!

Mężczyzna trzyma w ręku pęk fezu białego. — Dla ciebie! — woła, rzucając bukietem w twarz żony. Ona śmieje się, cała zmoczona wodą, którą kwiaty są spryskane.

— Wariacie! — woła, wciągając w siebie rozkoszną woń, zapelniającą ciasną przestrzeń jadalnej salki.

— Prawie darmo kupiłem te kwiaty — mówi mężczyzna siadając w kapeluszu do stołu — sto su... prawda? prawie za nic?...

— Tak, tak! — przyświadcza Fanny, kładąc kwiaty w wazon, stojący na pianinie.

W tej chwili wchodzi bona z próżną butelką pod pachą. — No i cóż, wino?

— Odmówili — proszą o wyrównanie rachunku. Emil odwraca się szybko.

— Kanalie! drą człowieka ze skóry, jeszcze się zuchwałą — idź gdzie indziej.

Bona kołysze się, spoglądając z ironią na snop bzu...

— Gdzież pójde? — mówi wreszcie, cedząc powoli słówka — państwo winni wszędzie...

Tego już nadto.

Emil podskakuje na krześle, cylinder przekrzywia mu się na lewe ucho.

— Winni — woła, dławiąc się homarem — winni? skoro winni, to po to, aby płacić, brudasico jedna! Podaj śniadanie i nie pokazuj się 'bez wina. Wychodź!...

Wspaniałym gestem wskazał drzwi bonie. Gest ten widział w „Komedii Francuskiej” i zapamiętał go sobie.

Teraz od czasu do czasu używał go, znajdując się niezrównanie wspaniałym i efektownym. Zwłaszcza w kantorze, gdzie pracuje pięć godzin i pobiera pensji miesięcznej sześćdziesiąt franków, chłopak pałacy w piecu zdaje się być gestem tym na wskroś sterroryzowany.

Bona wychodzi do kuchni, po chwili wraca niosąc półmisek fasoli.

— Cóż to? — pyta Fanny, kosztując nożem potrawę.

Lecz sługa nie odpowiada, tylko stawia na stole salaterkę, pełną potrawki z królika.

— A teraz po wino! — woła Emil, rozkładając na kolanach wykrochmaloną płachtę, która ma wszelkie podobieństwo do prześcieradła, obrusa, ale nigdy do serwety stołowej.

I śmiejąc się, dodaje:

— A la bonne franquette!

Refrain kawiarnianej piosenki rozlega się wśród ścian małego pokoiku.

Fanny, nachmurzona na widok fasoli, rozjaśnia swą twarz, a nawet bona, podrygując, wychodzi na poszukiwanie wina.

Bez tymczasem wydaje duszącą woń, a Emil, oczekując na petit rouge, zakrapia się koniakiem.

Złączeni ze sobą tylko podczas godzin śniadania lub obiadu, Emil i Fanny siedzą naprzeciw siebie, mając sobie wiele do powiedzenia. Pomiedzy tym

mężem i żoną, którzy lat temu trzy złożyli wizytę panu merowi, nie istnieje na pozór nic, żaden węzeł moralny, oprócz wspólnej sypialni, obowiązkowej pieśczości i fars, wyrządzanych "fournisseurom".

On udawał, że pracuje, zajmując nędzną posadę w kantorze komisowym; ona przejadała z nim resztę kapitału, który ratami nadsyłał jej notariusz z Rouet, małej miejsciny nad brzegami Garonny.

Umysły ich błąkały się w dziwnie ciasnym kole. Oboje zajmowali się plotkami, wrzucącymi w łoża portierki, oboje wieczorami przerzucali stare dzienniki, czytając dział zbrodni ze szczególną uwagą, oboje mówili z równą przyjemnością o nowych modach i handlarkach noszonej odzieży. Ona ukończyła pensję, on — zdobył z trudem nazwę bacheliera. Ona — nie umiała pisać ortograficznie i nie wiedziała dokładnie o kształcie ziemi, on — bez zajäknie-

nia umieściłby Indie w Afryce, a Childeryka zrobiłby Biczem Bożym. Zresztą było to dla nich rzeczą zupełnie obojętną czy istniało cośkolwiek przed nimi i co będzie istniało po nich. Ona umiała fryzować sobie czub jak nikt na świecie i miała dar wyszukiwania wyzywających kapeluszy, on w brasseries, do których uczęszczał, był ideałem usługujących dziewczyn z powodu dowcipów, którymi zasypywał ich wytłuszczone staniki, i umiejętności mieszania ze sobą najróżnorodniejszych likierów, amerpiconów, wermutów, absyntów, grenadin, syropów, finów i innych brzydactw, pobudzających żołądki Francuzów do apetytu i wiecznego kataru.

Fanny i jej mąż żyli bez jutra, bez zastanowienia żadnego.

Żyli, byle żyć, dzieląc czas pomiędzy domem i kawiarnią.

Głównym wypadkiem ich życia był jakikolwiek skandal, zaszły w kamienicy, lub bójka wyborców na bulwarach zewnętrznych.

Fanny oprócz tego zajmowała się gorąco różnieniem lokatorów pomiędzy sobą i podpatrywaniem prywatnego życia sąsiadów. Książki nie istniały dla nich wcale.

W Luwrze byli raz w niedzielę, odnaleźli Kermess Rubensa, zdeklarowali go cochon; pokazali język Pięk-

nej ogrodniczce Rafaela, wyśmiali się z Madonny Murilla, a przed Godami w Kanie Veronesa pokładali się ze śmiechu.

Wychodząc z muzeum, Fanny oświadczyła, że woli magazyny Luwru, a Emil oznajmił, że drugi raz go już na takie farsy nie złapią.

Poszli jednak do Cluny, ze względu na sanki i karety tam wystawione: znaleźli rzeczy te rudement chics; wracając, dali szcztka Henrykowi IV, którego biust wyzierał spomiędzy dwóch rozślniętych portier.

— Attrape bonhomme!

Henryk IV ani drgnął, co wprawiło w niesłychaną dumę i radość Emila.

Wyszędłszy z Cluny, wstąpili na grenadinę słodką pomieszana z grenadiną gorzką i było im nierównie lepiej za stołem przedmieściowej kawiarni, niż pomiędzy dziełami sztuki.

Wycieczkę tę odbyli właśnie wczoraj i dziś jeszcze żałują „straconego czasu”.

— Co ci ludzie widzą, chodząc tam tak często? — pyta Fanny, obgryzając ogon królika.

— Ciepło tam, ogień się pali, chodzą się ogrzać! — odpowiada Emil. Nie zdjął z głowy kapelusza, ani palta z ramion. Zjadł cały półmisek fasoli, pochłonawszy przedtem pół szklanki wermutu. Oczka mu się błyszczą, z wąsów sos fasoli kapie. Ułamał kawałek chleba i wyciera półmisek, zlizując resztki sosu.

Fanny macza znów ogon 'królika w salaterce z potrawką i obmazuje przy tym końce nie umytych palców.

— Wiesz — odzywa się wreszcie — praczka, ta z dołu, nie ta z góry, nie chce już prać bielizny żonie pułkownika. Podobno jej nie zapłacili ostatniej noty!

Emil podnosi z ciekawością głowę.

— Naprawdę?

— Słowo ci daję! — mówiła ml, że nawymyśla i całą scenę -zrobi...

Śmieją się oboje na myśl o podobnym skandalu.

— Byleby tylko się to wydarzyło, gdy ja będę w domu — mówi Emil, podrygując na krześle.

Fanny mruży oczy z miną pewnej siebie osoby.

— Nie lękaj się — odpowiada — już ja to w twoich godzinach urządzę.

— Od kilku dni o czwartej staje fiakier przed domem i czeka do wpół do piątej — dodaje po krótkim milczeniu.

— No i co? i co? — nalega zaciekawiony Emil.
— Zdaje się, że jakiś stary dekorowany wysiada i wchodzi do domu.
— Ależ do kogo?
— Nie wiem.
— Trzeba się spytać portierki.
— Nie chcę!... jeszcze mnie obmówią, że robię plotki. :

— Ależ skąd znowu!... Znają nas dostatecznie. Zaproś portierkę na kropelkę i wyciągnij z niej... proszę cię.

Fanny znów mruży oczy z miną kobiety, pewnej swej siły.

— Nie lękaj się — odpowiada — już ja to urządzę. Emil zaciera z zadowoleniem ręce.

Tak! tak! on wie, że jego żonka potrafi urządzić całe farsy, sceny, od których nieraz oboje pokładają się ze śmiechu.

Po co mają chodzić do teatru, skoro mają cały teatr w domu.

— A żona fotografa znów cały dzień ze swym psem w oknie siedzi...

— Ci ludzie nic nie robią, niczym się nie zajmują...

— Straszne!...

— Okropne!

Dolali sobie chartreusy i przegryzali ją serem; malucłmy piecyk gorzał cały od rozpalonego koksu.

Fanny pod warstwą pudru miała na policzkach dwie czerwone plamy.

— Mój pryncypał dziś miał czerwone oczy — mówi coraz wolniej Emil

— i spał, siedząc w swym gabinecie.

— Musiał hulać noc całą — odpowiada Fanny.

Teraz milkną oboje, wyczerpawszy już cały zasób pozbieranych wiadomości.

Z kuchni dochodzi odgłos uderzanych o siebie blach i potrącanej porcelany.

Bona, powróciwszy od handlarza win, wywiera na swych przyborach kuchennych wściekłość, w jaką ją wprawia grubiaństwo niezaspokojonego wierzyciela.

Nagle w przedpokoju rozlega się gwałtowny odgłos dzwonka.

— Kto to być może? — pyta Emil. Lecz Fanny łapie go gwałtownie za rękę.

— Pst!... znów cicho! to węglarz przynosi pewnie notę...

Emil nacisnął cylinder na oczy.

— Byleby smoluch powiedział, że nie ma nikogo. Fanny spogląda na męża przymrużonymi oczami.

— Bądź spokojny... ja to już urządziłam.

Przez grubą tkaninę wschodnich portier, maskujących drzwi jadalni, dolatuje niski ochrypy głos węglarza, sprzeczącego się gwałtownie z boną. Dziewczyna broni się miękko: ależ tak, mój Boże! państwa nie ma w domu, wyszli oboje. — On brutalnie upomina się o swoją należność, dławiąc się po prostu z gniewu, sypiąc obelgi, obiecując zapłacić sobie należność na skórze pani w jakikolwiek sposób.

Tymczasem Emil kończy spokojnie chartreuse, a Fanny obgryza jabłko, wypluwając pożute łupiny na obrus.

— Wyjdiesz po południu? — pyta szeptem mąż.

— Naturalnie, idę przymierzyć mój surdut u Redferna — odpowiada żona

— nie masz pojęcia, jaki jest oblepiony... Będę musiała sobie biodra kupić...

— Zapewne — potwierdza Emil bez cienia wszakże ironii w głosie.

— Muszę wykupić twoją srebrną laskę, dać małe a conto na twój smoking, kupić abażur koronkowy i jeszcze cokolwiek. Nie wiem sama, może nowy czub dla siebie, bo ten mi się wytarł; litr anti-bolbosu dla nas obojga, bo coś cera się nam popsowała wśród zimy. Wreszcie zobaczę... mam jeszcze trochę pieniędzy...

Milknie na chwilę, podrażniona hałasem dolatującym z przedpokoju.

— Fichtre! — mówi, bębniąc po stole palcami — jeśli mam trochę pieniędzy, to pewnie nie na to, aby temu brudasowi ręce napychać. Jeśli mam, to po to, aby sobie coś za to sprawić...

— Naturalnie — potwierdza Emil, przekrzywiając cylinder na lewe ucho.

A tymczasem węglarz wszczyna po prostu hałas piekielny, napelniając mały przedpokój potokami swej wymowy.

Hałas ten z przedpokoju przedostaje się na ciasną

klatkę wschodową i wywołuje ciekawych sąsiadów, uszczęśliwionych taką sceną.

Tu i ówdzie otwierają się drzwi i pojawiają się w nich kobiety rozczochrane, nie umyte, poowijane w długie bluzy z różnokolorowej

flaneli lub barchanu. Kobiety te mają na swych twarzach smugi pudru i pyłu koksowego, a na ustach uśmiech, taki sam, jaki zdobi wargi Fanny, mówiącej do męża o scenie, jaką praczka ma wyprawić żonie pułkownika.
— Już ja to urządzę!

W długiej smudze światła, bijącej z okien magazynów i sklepów drobna figurka Fanny pojawiała się, jak czarna plamka, i znikła co chwila. Fanny ubrana w krótki piaskowy żakiecik, opiętą spódniczkę, z czubem, uroczyście zafryzowanym i wielkim dyrektoriatem, okrytym wualką, wypchana, wywatowana, wykorkowana, zmieniła się do niepoznania. Szła, flanując, zatrzymując się przed każdą prawie wystawą, rozmawiając sama ze sobą, gdy jakiś przedmiot zwrócił jej baczną uwagę.

— Tiens, c'est gentil — mówiła półgłosem, uśmiechając się do porannej bluzy z białej flaneli w błękitne paski i zawieszanej na sztywnym manekinie, którego podstawa tonęła w stosie koronek, jedwabiu, błękitnej i różowej bielizny porozrzucanej dokoła.

Fanny widziała tę bluzę po raz setny, lecz wiecznie zatrzymywała się przed sklepem i zawsze powtarzała jednakowe słowa:

— Tiens, c'est gentil.

Szła dalej zatrzymując się znów przed wystawą bro-

kantera, uśmiechając się do rycin, przedstawiających ks. Lamballe w olbrzymiej peruce i Marię Antoninę z wiankiem róż na głowie. Znała je dobrze. — okrągłą twarz księżnej i kozi profil królowej, pokrywający się już szarą warstwą ulicznego kurzu. Lecz ona w beczynności głupiej kobiety wolała zatrzymywać się przed tymi znanymi jej rycinami niż przeglądać nowe wystawki. Umysł jej ospały, rozleniwiały, włókł się po znanych przedmiotach, jak po gładkim torze; coś nowego, drażniącego, wymagającego jakiegokolwiek wysiłku Fanny stanowczo odsuwała od siebie.

I znów szła dalej, szukając oczyma episjera, który W świetle gazu umiejętnie wystawiał pudełka pralin, fiołków smażonych i pomadek o tęczowych kolorach.

Fanny na pamięć umiała gamę barw i deseni, w jakie migdały na tle srebrnego groszku były układane. Pomimo to stanęła znowu, bezmyślnie w okno wpatrzona.

Musiała zabić czas do obiadu.

W domu siedzieć nie chciała, wreszcie cóż robić miała, sama pomiędzy czterema ścianami? Wyglądać oknem? tak! — zapewne — ale rozrywkę tę trzeba schować na czas dżdżysty, gdy wyjść z domu niepodobna... Nic innego nie przeszło jej przez głowę. Bona zajmuje się obiadem, a wreszcie...

Kurczę kupi się już upieczone u rôtitseura, bulion

u episjerki, purée z grochem u mleczarki, od glaciera przyniesie się gotowy torcik — obiad skończony!

Voilà` !...

Teraz Fanny wydostaje się na Bulwary.

Całe setki beczynnych kobiet włączają się z rękami zwieszonymi wzdłuż fałdów spódnicy. Niektóre siadają przy stolikach kawiarnianych i piją wermut z wodą. Inne zachodzą do buwetek i stojąc przy kontuarze, obitym blachą, wolna sączą filiżanki mleka lufo czarnej kawy.

Wiele z nich prowadzi za rękę dzieci małe, ubrane w dość lekkie sukienki. Dzieci te, przeważnie dziewczynki, mają wygląd znudzonych kobiet, wleczonych przemocą na spacer. Idą pochylone naprzód, chmurne, skrzywione, jak ich matki. Wermut lub czarna kawa ożywia na chwilę te znudzone twarze; wraz z wypróżnieniem filiżanki lub kieliszka ożywienie znika — i znów wloką się dalej, zbite w gromadę, głupie, nędzne, śmieszne, trywialnie leniwe, pozbawione wdzięku w tym swoim far niente popołudniowym.

Pomiędzy gromadami tych kobiet uwijają się mężczyźni, dość wytwornie ubrani, z brodami krótko przystrzyżonymi, z głowami niemal ogolonymi. Niektórzy szukają tu łatwej miłości ze znudzoną mężatką, inni — oprócz miłości, pragną ocenić wartość kolczyków, migocących w świetle gazu. Rastaquouerzy o słodkim wyrazie twarzy ścigają lepiej ubrane kobiety, szepecząc słowa zachwyty. Kobieta zwalnia szybkość kroku, słucha, wreszcie się uśmiecha podbita, zwyciężona.

Niektóre z trwogą dotykają bransoletek, błyszczących na rękach lub pragną się upewnić o istnieniu kolczyków

pod koronką wirniki; mężczyzna wtedy znika, widząc te środki ostrożności.

Lecz dzieje się to bardzo rzadko.

Czasem przez tłum przesuwa się powoli siwowłosy starzec, dekorowany, z teką pod pachą. Spod krzaczastych brwi bystre wybiega spojrzenie. Ocenia przechodzącą kobietę z miną znawcy. Ona przystaje, poprawiając czuby — kto wie? może to który z ministrów!

I cała nędza głupoty kobiecej, kłamstwa i przewrotności mężczyzn, krąży po tych Bulwarach, obwiedzionych festonami gazu.

Strupieszali starcy, zestarzałe dzieci, znikczemni mężczyźni, znudzone kobiety — wloką się bez celu jedno obok drugiego, nie czując nawet podrażnień zmysłowych pomimo bezustannych usiłowań w tym kierunku. Fanny okrążyła Operę i, wydostawszy się na bulwar des Capucines, przed szeregiem kawiarni defilować zaczęła.

Szła, przeginając się dziwacznie, wysuwając sztuczny biust, sznurując usta.

Idąc, rzucała okiem na obie strony.

Nie zatrzymywała się już przed wystawami sklepów... Według niej, na Bulwarach rzeczy takie nie uchodzą. Szła więc, ocierając się brzegiem żakiecika o marmurowe płyty stolików, przy których pili absynt i mazagrany przystrzyżeni i wygoleni mężczyźni.

Fanny miała w uszach fałszywe brylanty, które spod czarnej wualki rzucały wspaniałe blaski.

Ten i ów obejrzał się za nią.

Wreszcie, siedzący przed Brébantem wysoki i przystojny brunet, wstał i zaczął iść w ślad za Fanny.

Ona instynktem kobiecym przeczuła zrobioną konkietę i uśmiechała się zadowoliona.

— U est gentil — szepnęła sama do siebie, spoglądając na idącego obok niej bruneta.

W blasku gazu zamigotał fałszywy brylant, tkwiący w krawatce rastaquouera.

— Fichtrel... — mruknęła Fanny podbita. Cały snop blasków padł spod wualki Fanny. — Ficlitel... — wyrzekł w duchu rastaquouer. I wzrok ich spotkał się.

Jego czarne, południowe źrenice wyrażały w tej chwili wielką i nagle zbudzoną — miłość; jej wiewiórcze spojrzenie badało ciekawie, ciągnęło i odpychało zarazem, a odmawiając, zdawało się przyrzekać — wiele!

— Wiesz, pryncypał mój miał rozdrapane ucho.

— Hm! musiała mu to żona urządzić. — A cóż praczka?

— Zapłacona!

— A!... jaka szkoda! bylibyśmy się dobrze bawili! .

I Emil, szczerze zmartwiony, nałożył sobie na talerz drugą porcję krewetów.

Fanny spojrzała na niego przymrużonymi oczami. Wydawał się jej nie tak gentyl i nie tak rigolo, jak poprzednio.

Brunet z bulwaru był o całe niebo piękniejszy.

Emil nie zdawał się spostrzegać zmiany w usposobieniu Fanny.

— Nie pijesz? — zapytał, nalewając jej drugi kieliszek koniaku.

— Dziękuję! — odparła, czyszcząc sobie paznokcie widelcem.

— Napij się! — nalegał — w głowie ci się zakreści', zobaczysz jakie to przyjemne.

Fauny wypła.

— Gdy powracałem, spotkałem w loży portierki żonę kapelmistrza. Niosła w ręku całe kilo kalafonii... Pewnie na obiad...

Roześmieli się oboje. — Napij się jeszcze kieliszek! — nalegał Emil.

Fanny, nie opierając się nawet, wychyliła' koniak duszkiem.

Piecyk, rozpalony do czerwoności, wydzielał z siebie swąd rozgrzanego żelaza. Swąd ten mieszał się z wonią bzu, który wiądnął powoli, bielejąc jak jasna plama w ciemnym kącie pokoju. Purpurowy abażur, świeżo przez Fanny kupiony i zarzucony na lampę,- przepuszczał światło, barwiąc je krwawym odcieniem. Światło to rozlewało się dokoła stołu, na którym porzrzućane brudne talerze, widelce, szklanki, resztki sera i owoców.

Emil w kamizelce, z rękawami koszuli mocno nad łokcie podniesionymi, sączył powoli koniak i, skończywszy obiad, dogryzał jeszcze resztki krewetów.

Fanny w bluzie, z resztą rózu i blanszu używanego na ulicę, bez czuba, z czołem odsłoniętym, siedziała, opierając nogi o brzeg rozpalonego piecyka.

Sprawiało jej to ból dojmujący i zarazem rozkosz nieokreśloną.

Co wieczór powtarzało się to samo.

Fanny, rozmarzona koniakiem i gorącem, drzemała w ten sposób oparta o piecyk. Oczy jej zasnuwały się białą i delikatną gaza, usta otwierały się, jakby powietrza spragnione.

Emil znajdował ją wtedy bardzo rigolo, zresztą, on sam chętnie poddawał się takiemu rozmarzeniu.

Siadywali tak oboje długą chwilę wśród nieładu, sprawionego świeżo skończonym obiadem. Wyziwy krewetów, homara, roquefortu, ostre, drażniące zapachy pikli, były dla nich rozkoszną gamą zapachów.

Spoza spuszczonej ciężkich zasłon dolatywał gwar uliczny rozbawionego miasta. Oni siedzieli wciąż, ogłupieni ilością pochłoniętego spirytusu i duszną atmosferą pokoju.

Wreszcie Fanny przerwała milczenie.

— Miałam dziś list od notariusza — wyrzekła powoli i jakby w półsenna — pisze, że za miesiąc prześle nam ostatnią ratę...

Emil podniósł głowę.

— Jak to? ostatnią? — zapytał, przecierając oczy.

— Ostatnią! — odparła Fanny, nie zmieniając pozycji — przysłał nam już wszystko. Pozostało ostatnie pięćdziesiąt franków.

Twarz Emila wyrażała pewne zaniepokojenie.

— Cóż będzie? — zapytał po chwili. Fanny milczała.

W tej chwili przed jej oczyma migotał brylant, dostrzeżony w krawacie podbitego przez nią cudzoziemca...

Zapewne jakiś Brazylijczyk, sypiący garściami perły i klejnoty.

Fanny mimo woli uśmiechała się do siebie.

— Fichtre! — mruknęła, wzruszając ramionami.

Lecz Emil z uporem maniaka wracał do swego pytania, wyrwany nagle z błogiego stanu, w jakim go koniak pogrążył.

— Cóż będzie, Fanny? co będzie?...

Wtenczas Fanny powoli oderwała wzrok od krawędzi piecyka i, zmrużywszy zamglone oczy, spojrzała z rodzajem wyższości na męża.

— Nie bój się! — wyrzekła — już ja to urządzę!

DLACZEGO WIARY NIE MAJĄ?

Gdy Piotr Sroka dowiedział się, że kozacy już nadeszli do Dąbrowy i rozłożyli się taborem poza starą hutą, odezwał się do swej córki Julki:

— Tera z nami zrobią porządek!

Julka nie odparła nic, tylko przeciągle i smutnie popatrzyła na ojca. Była to młoda dziewczyna, zajęta robotą w kopalniach Dąbrowieckich, a teraz należąc do strejku górników, siedziała beczynnie koło okna małej stancyjki i patrzyła wciąż w okno, jakby się czegoś spodziewała, na coś czekała.

Piotr śledził córkę spod brwi zsuniętych i poprawiwszy się na barłogu, który zastępował mu miejsce łóżka, zapytał:

— Nie idziesz ich obejrzyć?

— Kogo?

— Kozaków!

— A mnie to po co? Ot, Moskale, juchy, jak Moskale. Jeszcze mnie nahajką przetrąca.

— Ale!... — rzucił pogardliwie Piotr — żaden by nie śmiał, oni będą stali śmirno i tylko porządku pilnowali.

Młoda dziewczyna westchnęła.

— Tak!... porządku... Tata niby nie wie, jak Moskale porządek z nami, robotnikami, robią. Oni się nie będą bawić w ceregiele, ino po głowach nahajką, a jak im się odpowie... to i strzelać będą.

Lecz Piotr uparcie potrząsał głową.

— Nie! nie!... naczelnik ich przysłał, żeby ułatwili strejkującym zgodę z panami, aby tych, którzy chcą już wrócić do pracy, chronili przed złością towarzyszy!...

— Nikt nie powróci do pracy! — wyrzekła z mocą Julka — dziś mi dziewczęta mówiły, że wczoraj trzy szyby robić przestały, odlewnie dziś także zastrejkowały. Przysięgaliśmy przecie na ogólną znowę!

— Ja ta nie przysięgał! — mruknął Piotr.

Był to silny i rosły, krępy mężczyzna, pochylony jak -koń roboczy, stoczony węglem, który mu się wżarł w ciało, z oczyma przymrużonymi, jakby widmo nędzy lub mara przeznaczenia przycisnęła mu powieki

niewidzialnymi palcami, po to, aby go raził jak kreta, ryjącego w cieniu, ten blask złotego słońca, ten blask świecącego na równi przecież dla wszystkich ludzi. Julka podniosła się wolno z ławy i podeszła ku ojcu.

Pochyliła się i spojrzała mu prosto w twarz poczerniała.

— Ty chcesz wracać do roboty, tatu? — spytała.

On nie spojrzał w twarz córki, tak jak nie patrzył w słońce.

—Może... — mruknął ponuro. Julka załamała ręce.

— A nasza zмова? a nasza przysięga? a towarzysze? Piotr machnął ręką.

— Co mi tam... strejk trwa za długo... o! titiuniu od trzech dni nie widziałem... Mam tego dosyć! Zresztą ja... byłem kontent. Jak mi zborgowali albo pożyczyci, to miałem strawę i titiuń na cały tydzień.

Julka usiadła obok ojca i starała się mówić pokornym głosem.

— Ale innym, ojcze, innym nie starczyło nawet na chleb suchy. Ty jesteś sam, bo ja także na chleb zarabiam,

ale inni, ci, co mają żony i dzieci, nie mogą wyżyć z tej płacy. Dlategośmy się zmówili, nie dla siebie... ale dla drugih!

— Owa! Co mnie drudzy obchodzą! Niech żyją sami, a nie gromadą. Po co im się żenić? Kto im kazał?

— Bóg kazał, ojcze! — odparła z prostotą dziewczyna.

— Nieprawda!

— A przecie, gdyby mama nam nie zmarła i ty miałbyś kogo ze swojej pracy do wyżywienia...

— Gdyby, gdyby... ale nie mam. A zresztą powtarzam ci, że mnie drudzy nie obchodzą. Oni mnie nie wspomagają, gdy mi brak... — Jeżeli oni źle czynią, to my powinniśmy inaczej względem nich postępować.

Piotr zaczął śmiać się długo i przeciągle.

— Nie! — wyrzekł wśród śmiechu — ja tam nie ksiądz na ambonie i nie święty, jak kto na mnie kamieniem, to i ja na niego kamieniem, a nawet dwoma, to już taki mój charakter.

Zaciemniło się nagle w oknie szyby.

Ktoś zastukał i Julka, oblana całą rumieńcem, poskoczyła, aby okienko czym prędzej otworzyć.

Młody człowiek w ciemnej sztygarskiej czapeczce z daszkiem, okolonej czarnym aksamitem, na którym widniały drobne narzędzia górnicze, ukazał się w okienku.

— Wiecie! — rzucił śpiesznie — kozacy przyszli...

— Wiemy! — odparła dziewczyna.

— Trzymajcie się ostro! — wyrzekł młody sztygar — teraz od waszej woli wszystko zależy... Dni męczeństwa przyszły, ale po nich polepszenie doli waszej i waszych braci. Bądźcie silni i wytrwali.

— Ja wytrwam! — szepnęła dziewczyna.

Lecz z barłogu dźwignął się Piotr i podszedł do okienka.

— Ja ta z kozakami mordować się nie będę — wyrzekł, patrząc w ziemię.

— Jeżeli siłą zechcą was zmusić, powinniście odpowiedzieć siłą — odparł sztygar.

Piotr roześmiał się ironicznie.

— Pewnie — wyrzekł — z gołymi rękami będę szedł na nich, co mam za broń? O! naga pierś, aby w nią strzelali?

Rozerwał koszulę na piersi i ukazał zapadłą dekę, pokrytą szerniałą od węgla skórą.

— A jakże! — mówił dalej — będę się z Moskalami handryczył, aby mi w tę jamę strzelali? Nie głupim!

Zawiesił głos i dodał z zuchwalstwem i siłą:

— Ja idę jutro do roboty!

— Wy?

— Tak, ja! Me chcę, aby kozacka nahajka mi spoczęła na grzbiecie, nie chcę, aby mnie pędzili do szybu, jak psa. Ja wolę sam pójść, bo wiem, że i tak się ta cała komedia na tym skończy i że robotnicy zejną czy prędzej, czy później...

— Co mówicie? co mówicie? — zawołał prawie z rozpaczą sztygar — wytrzymaliście już tak długo, możecie przetrzymać jeszcze...

— Kozaków nie było nad karkiem, to dlategośmy wytrzymali.

— Boicie się?

Piotr podstąpił bliżej okienka i z ciężkością podniósłszy powieki w twarz sztygara spojrział.

— Boimy się! — odparł — boimy się, bo my wiemy, że jak kozaki na nas najadą i bić zaczną, to was, sztygarów, tam nie będzie, tylko my sami, my, górnicy! my, robotnicy! Wy, coście nas do tej zmowy namówili, schowacie się w kąty, a nas będą bić, kaleczyć, aresztować, w turmy zamykać i kto wie, może do nas strzelać i zabijać!...

Dolna szczeka drżała mu jak w febrze, gdy mówił te słowa. Podczas kilku dni strejku nagromadził w sobie tyle nienawiści do tych sztygarów, których mianował przyczyną wszystkiego złego, jakie się w Dąbrowie Górniczej dzia-

ło, że nie mogąc wyrzucić ze swej piersi tej nienawiści, dławił się nią po prostu tak, iż oddychać nie mógł..

A sztygar wiedział, iż. działając w sprawie polepszenia bytu dla tych robotników, był dla tego ogółu nienawistnym wrogiem. Czuł to dziś, gdy przechodził po kopalni, gdy rozmawiał ze strejkującymi. Przybycie kozaków osłabiło ducha w górnikach i i przejęło ich trwogą. Kobiety zanosily się z płaczu, widząc już w wyobraźni trupy z przestrzeloną piersią. Tam, na krańcu Dąbrowy, czerniała cała linia kozaków dońskich, stojących nieruchomo, każdy przy swoim koniu. W tej nieruchomości była groza olbrzymiej potęgi, gotowej rzucić się na garść zbuntowanych nędzarzy, którzy ośmielili się z nor swych podnieść protest i zażądać soli do suchego chleba i szerszej przestrzeni izb, w których mogliby odetchnąć swobodniej, gdy z głębi ziemi na świat wyjdą.

I najstraszniejsze było to, iż ten pułk nieruchomy był złożony tak samo z chłopów, z. ludu, z robotników, oderwanych od roli i zakutych w sołdackie szynele. Oni także w swych jarosławskich, tombowskich guberniach puchli od głodu, jedli słomę ze strzech i drzewo spróchniałe z belek sufitu. Oni wiedzieli, co to są podatki dla cara-batiuszki, oni wiedzieli, ile trzeba, rocznie krwi serdecznej utoczyć, aby zapłacić krwawy łańcuch podatkowy. I tych chłopów, tych robotników, spędzono tu, na krańce Królestwa, po to, aby zmusili nahajkami innych chłopów, innych robotników, do produkcji węgla, przy którym grzać się miała część społeczeństwa uprzywilejowanego, nie zajmująca się jednak myślą, kosztem jakich wysiłków i jakiej krwawej pracy węgiel ten z ziemi wydostawanym bywał.

Och, (ten węgiel grzał i oświecał, ale nie tych, którzy go pokrwawionymi pazurami z głębin rozpalonej ziemi dobyli! Dla nich było tylko parę groszy, tyle tylko, aby nie zginęli z głodu i mieli na kieliszek wódki, pozwalający im na chwilę zapomnieć, że i oni ludźmi się porodzili.

I ponad tym legionem strajkujących roboczych Polaków i nad tym pułkiem rosyjskich żołdatów, drżących od jesiennego deszczu i chłodu, unosiła się straszna, niezmierna potęga, która zdolna była tyle ludzkich istot ujarzmić i zmusić do posłuszeństwa. Batuszka-Car jest drobny i mały, ot, półdziecko o błękitnych oczach i niedbałych ruchach źle wychowanego chłopca, a jednak jest to olbrzym, którego ramiona, złożone z tysięcy żandarmów i czynowników, grają na duszach ludzkich, w okowy je pętają i do swych celów nakłaniać umieją.

I ludzi na ludzi wypuszczano, jak psy na jelenie tresowano i za pomocą nahajek lub pod groźbą kul skazywano domagających się lepszej zapłaty do schodzenia znów pod ziemię, gdzie czekała ich krwawa praca, ciemność wieczysta i wczesna śmierć w płucach przekrwionych.

Sztygar stojący przed domkiem, posłyszawszy słowa Piotra: — „Wy się schowacie po kątach, gdy do nas strzelać będą!” — porwał się i pobiegł ku drzwiom. Pchnął je i wszedł do wnętrza izdebki. Piotr sądził, że go sztygar rozjątrzony uderzy. Stał w pozycji obronnej. To samo widocznie sądziła i Julka. Lecz sztygar, który był najgorliwszym agitorem strejku, nie miał na myśli jakiegokolwiek zaczepki. On uczył, że w tej chwili stanie takie w okienku, skryte i tchórzliwe (po to, aby na pierwszy alarm rzeczywiście umknąć) dodawało prawdy słowom Piotra. Wpadł więc do izby i teraz nie wiedział sam, co mówić. Jedną ręką przytrzymał kłamkę, drugą pałto umundurowane, które mu spadało z ramion. Był ładny i młody i Julka patrzyła w niego jak w obraz. Twarz miał egzaltowaną namiętnego działacza.

Piotr, widząc, że sztygar stoi milcząc przy drzwiach, nabrał znów śmiałości.

— A jakże! — wyrzekł cofając się trochę — albo ja nie mam racji?

Tacy jak pan, inteligenty, namawiają nas, przedkładają, powiadają, że nam mato, że my służymy za zarobek innym bogatym... my to bierzemy do serca, strejk wybucha a co? Rząd się wmiesza... żandarmy się zwałą, kozaków ściągną... i cała morowa zaraz na biednych ludzi. A wy wtedy gdzie? W szkole albo po stancjach wygodnie... jecie, pijecie.

— Nieprawda! — przerwał sztygar — to, co miałem, oddałem strajkującym.

— Ale pan dziś jadł i titiuń pan ma? — zawołał tryumfująco Piotr — ale ja ani jadłem, ani titiuniu nie mam!

— Ja wam przyniosę!

— Obejdzie się, ja nie żebrak! Ja mogę zapracować — odparł hardo Piotr.

— Nie przeszkadzajcie nam jutro zejść do kopalń, bo wy do nas nic nie macie! Wy, panowie, wy... inteligenty, my się już tak porodzili, żeby w pracy zamrzeć... Niech już tak zostanie!

Usiadł znów na barłogu z gestem upartego nawet w nędzy chłopca, przeciwny walce, choćby ta walka poprawienie bytu miała na celu.

Ściemniało się, Julka chciała zapalić świecę. Nie było nic, tylko maleńki ogarek. Dziewczyna postawiła go na brzegu stołu i zaświeciła. Słaby płomyk oświetlił twarz sztygara. Reszta izby tonęła w cieniu.

— Dlaczego wy nie macie do nas wiary? — zaczął (Szytgar — dlaczego nie chcecie wierzyć, że my pragniemy, aby wam lepiej płacono, aby wam lepiej było?

— Nie mamy w was wiary! — odezwał się głos Piotra z ciemności — bo wy chowacie się za nasze plecy, nie wyjdziecie jawnie, nie przyznacie się, że to wy nas do strejków zmawiacie.

— Jakże chcecie? — tłumaczył sztygar — przecież ktoś rozumniejszy od was musi was prowadzić. Jeżeli nas wyłapią, to wy sobie w strejku bez nas nie poradzicie!

Śmiech szyderski był całą odpowiedzią. I w blasku dogasającej świecy sztygar pobladał cały od tego śmiechu, tak krwawa ironia, taki zarzut tchórzostwa krył się i smagał twarz chłopca jak różgą bolesną i upokarzającą.

— Lepiej idź pan stąd —. odezwał się wreszcie Piotr —

żandarmi patrolem chodzą. Skoro pana u mnie w izbie przyłapią, oskarżą pana o podfountowywanie mnie do strejku. Bez tego się obejdzie... Idź pan lepiej do swoich, a nas zostaw naszej doli. Może nas zaaresztują i do turmy powiozą, może nas kozacy wystrzelają... co tam! my! ale pan się schroń, bo kto do nowego strejku... poprowadzi ludzi, jak was nie stanie? I znów nowy wybuch śmiechu i chwilowe milczenie pełne jakiejś grozy, nieuchwytnych przeczuć.

Świeca dogorywa, zrywa się płomieniem, to gaśnie w konwulsjach.

Szytgar stoi wciąż w izbie jak przykuty. Julka przytuliła się w kącie do ściany i wciąż w ładnego chłopca jak w obrazek patrzy.

Nagle przez pozostawione otwarte okno zajęczał wiatr i zadzwoniły o flizy ciężkie kroki.

Z barłogu porwał się Piotr.

— Żandarmi! — zawołał — uciekaj pan!

Żandarm wsunął głowę w okno i przy blasku świecy dojrzał sztygara. Zniknął z okienka i znów wiatr zajęczał i kilka par ostróg zadzwoniło w sieni.

Otwarły się szybko drzwi i przez nie wszedł oficer żandarmski, młody, w wysokich, obłoconych butach. Za nim drzwi zaległo kilku silnych chłopów, w długich żandarmskich szynelach. Kołpakami sięgali sufitu izdebki. Nogi mieli oblepione błotem.

Oficer zwrócił się natychmiast do sztygara:

— Czto wy zdieś diełajecie? — zapytał ostro. — Wy propagandow zanimajecie? ha?!... ja was pojmał.

Sztygar milczał. Wiedział, iż żandarmeria głównie dziś zajmuje się pojmaniem sztygarów, będących w konszachtach ze strajkującymi.

Czuł, że był zgubiony.

Nagle z ciemności odezwał się głos Piotra:

— Pan naczelnik daruje... choć mnie to boli, ale ja muszę powiedzieć całą prawdę.

— Gawori! — rzucił oficer.

— Ten pan... bałamuci mi córkę i właśnie, wróciwszy do domu, zastałem ich oboje razem, pomimo że zakazywałem... Ale z mojej córki wielkie ładaco i...

Cichutki jęk dał się słyszeć z kąta; w którym się kryła Julka.

— No... i musiałem ją zbić, a temu panu właśnie mówiłem, żeby się wynosił, gdzie pieprz rośnie... Pan naczelnik na to nadszedł i...

— Nie podmawiał was do buntu? — zapytał oficer, patrząc bystro w twarz Piotra.

— Ale! — zaśmiał się Piotr — temu panu same romanse w głowie, a nie bunt, on mi dziewczynę już od pół roku bałamuci... i jak tylko upilnuje, że mnie w domu nie ma, zaraz myk do mieszkania. Ale dziś ich przyłapał...

Urwał na chwilę i wreszcie dodał:

— Nie! nie! to nie o bunt chodziło, ale o romanse... bo to taki pan, taki... inteligent!

I przeciągłym, siekącym śmiechem zakończył Piotr swoje zdanie. Śmiech ten był nowym uderzeniem krwawej ironii w duszę sztygara.

Rozległ się przejmująco, wbił się w serce chłopca uderzeniem sztyletu.

Cała pogarda, cała nienawiść, cała niewiara i całe oskarżenie tchórzostwa było w tym śmiechu, którym górnik zapieczętował swe kłamliwe zniesławienie własnej córki dla ocalenia sztygara.

Krótką walkę przeżył sztygar ze sobą. Było to mgnienie oka, tyle, ile potrzebuje samobójca dla pociśnięcia cyngla rewolwerowego.

Błysnęło mu przed oczyma słońce, wolność, przyszłość stargana...

Egzaltacja młodzieńcza wzięła górę, harda dusza ozwała się i zapragnęła przekonać tę drugą hardą duszę robotnika, który go chciał ocalić, że tchórzostwo nie jest równoznaczne z inteligencją.

— Panie poruczniku! — wyrzekł sztygar, zamykając oczy, jakby stał nad krawędzią przepaści — ten człowiek skłamał. Ja rzeczywiście zajmuję się propagandą, ja tu przyszedłem, aby podniecać go do wytrwania w strejku, tak, jak poprzednio namawiałem go do przystąpienia do strejku... ja...

— Haraszo! dawolno! — przerwał żandarm — resztę zeznań pan złoży w guberni.

I zwróciwszy się do żandarmów, dodał:

— Wziat!

Sztygar podsunął się w cień, gdzie stał koło barłogu Piotr i zapytał:

— Czy teraz wierzysz we mnie, Piotrze?

Nie było odpowiedzi.

Żandarmi otoczyli sztygara i wzięli go pomiędzy siebie. Gdy z brzękiem ostróg przestępowali prób izby, świeca zagasła i nastąpiła ciemność, tak jakby z wyjściem sztygara zagasło i światło w tej ciemnicy, gdzie w agonii wlokły się dnie wolnych najmitów.

Przez wpół otwarte okno wiatr jęczał przeraźliwie, wiatr smutny, jesienny.

A w kącie o ścianę biła głową Julka i jęczała:

— Oni go w turnię zamkną! oni go w turmę zamkną, tatuniu!..